

New York Times
Bestselling Author

LINDA HOWARD



"You can't just
read one Linda Howard!" — Catherine Coulter

MIDNIGHT RAINBOW

LINDA HOWARD

MIDNIGHT RAINBOW

Tłumaczenie : bikki

Wszystkie tłumaczenia w całości należą do autorów książek jako ich prawa autorskie, tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym służącym do promocji twórczości danego autora. Ponadto wszystkie tłumaczenia nie służą uzyskiwaniu korzyści materialnych, a co za tym idzie każda osoba, wykorzystująca treść tłumaczenia w celu innym niż marketingowym, łamie prawo.

ROZDZIAŁ 1

Zrobiłem się już za stary na tego rodzaju bzdury - myślał Grant Sullivan z irytacją. Co on do cholery robił tutaj kucając, kiedy obiecał sobie, że już nigdy więcej jego noga nie postanie w dżungli?

Miał uratować pustogłową panienkę z wyższych sfer, ale z tego, co zobaczył w ciągu dwóch dni, siedziała w tej dżunglowej twierdzy pod nadzorem, i wydawało mu się, że raczej nie chce być uratowana.

Wyglądała, jakby przeżywała wakacje swojego życia: śmiechy, flirty, leżenie przez całe, upalne dni przy basenie. Kładła się spać późno, pijąc szampana na kamiennym patio. Jej ojciec prawie oszalał ze zmartwienia, myśląc, że niewypowiedzianie cierpi torturowana w rękach swoich porywaczy. Zamiast tego próżnowała tak, jakby była na wakacjach na Rivierze. Na pewno nikt jej nie torturował. Jeżeli kogoś tutaj torturowano, pomyślał z gniewem Grant, to właśnie jego. Był pogryziony przez muchy, pokłuty przez komary, pot spływał z niego rzeką a nogi bolały od długiego nieruchomego siedzenia. Znowu musiał jeść polowe racje żywnościowe, a całkiem zapomniał, że ich nienawidzi. Wilgotność spowodowała, że odezwały się wszystkie stare rany. A on miał całe mnóstwo starych ran. Jedno było pewne: zdecydowanie był już na to wszystko za stary.

Miał trzydzieści osiem lat, i ponad połowę swojego życia spędził biorąc udział w jakiś wojnach, nie wiadomo gdzie. Był zmęczony, wystarczająco zmęczony, że rok wcześniej zrezygnował, nie chcąc niczego więcej niż obudzić się każdego ranka w tym samym łóżku. Nie chciał firmy, porady lub czegokolwiek, za wyjątkiem tego, by zostawiono go w spokoju. Gdy się wypalił, to do końca.

To nie było tak, że całkiem wycofał się w góry, żeby żyć w jaskini, gdzie nie będzie musiał widzieć lub rozmawiać z innymi ludźmi, ale rozważał to. Jednak zamiast tego, kupił zaniedbaną farmę w Tennessee, leżącą w cieniu gór, i pozwalał, żeby uzdrawiała go zielona mgła. Wypadł z interesu, ale najwyraźniej nie wypadł na tyle daleko, że wciąż wiedzieli jeszcze, jak go znaleźć. Przypuszczał, ze znużeniem, że jego reputacja zmusiła niektóre osoby, do tego, by wiedzieć o miejscu jego pobytu w każdym momencie. Ilekroć potrzebowali kogoś z wiedzą i doświadczeniem w dżungli, wzywali

Granta Sullivana.

Jego uwagę zwrócił ruch na patio, więc ostrożnie, o ułamek cala, podniósł szeroki liść, żeby usunąć go z linii wzroku. To była ona, od rana ubrana we frywolną sukienkę i obcasy, z ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi zasłaniającymi jej oczy. Niosła książkę i wysoką szklankę z czymś, co wyglądało rozkosznie chłodno; rozłożyła się na jednym z leżaków przy basenie, przygotowując się do spokojnego spędzenia dusznego popołudnia. Pomachała do strażników, którzy patrolowali teren plantacji i błysnęła uśmiechem, ukazując dołeczki.

Do diabła z jej urodą, niepotrzebnie mała zakryta! Dlaczego nie mogła siedzieć pod skrzydłami tatusia, zamiast telepać się po całym świecie, żeby udowodnić, jak jest "niezależna"? Wszystko, co udowodniła, to to że ma niezwykle talent do lądowania w kłopotach.

Słaba, głupia, mała kretynka, pomyślał. Ona chyba nie zdaje sobie sprawy, że jest jednym z głównych bohaterów w paskudnej małej szpiegowskiej zabawie, którą bawią się co najmniej trzy rządy i kilka innych frakcji, a wszystkie wrogie, starające się znaleźć zaginiony mikrofilm. Jediną rzeczą, która uratowała jej życie do tej pory było to, że nikt nie był pewien, jak dużo wiedziała; czy wiedziała coś, czy w ogóle nic. Zastanawiał się, czy była zaangażowana w działalność szpiegowską George'a Persalla, czy może była tylko jego kochanką - jego wysokiej klasy "sekretarką"? Czy ona wiedziała gdzie był mikrofilm, czy też ma go Luis Marcel, który zniknął? Jediną rzeczą, którą wiedział na pewno, to że George Persall posiadał mikrofilm. Ale zmarł na atak serca – w jej sypialni - i mikrofilm nie został znaleziony. Czyżby Persall przekazał go wcześniej Luisowi Marcelowi? Marcel zniknął z oczu na dwa dni przed śmiercią Persalla - gdyby miał mikrofilm, na pewno – nie chciałby o tym mówić. Amerykanie go chcieli, Rosjanie go chcieli, Sandiniści¹ go chcieli, i każda grupa rebeliantów w Środkowej i Południowej Ameryce go chciała. Cholera, pomyślał Sullivan, o ile wiedział, nawet Eskimosi go chcieli.

Więc gdzie był mikrofilm? Co George Persall z nim zrobił? Gdyby rzeczywiście przekazał go Luisowi Marcelowi, który był jego normalnym

¹ Frente Sandinista de Liberación Nacional (FSLN), Sandinistowski Front Wyzwolenia Narodowego (sandiniści) – centrolewicowa, lewicowo-chrześcijańska i socjaldemokratyczna partia polityczna w Nikaragui, wywodząca się z ugrupowania partyzanckiego, które zdobyło władzę w wyniku powstania narodowego w 1979 roku, zwanego rewolucją nikaraguańską lub sandinistowską. Swoją nazwę przyjęła na cześć Augusto Sandino, lidera nikaraguańskiego ruchu oporu walczącego z okupacją Stanów Zjednoczonych w latach 30. W 2006 roku wygrała wybory a prezydentem wywodzący się z nich został Daniel Ortega. (źródło Wikipedia)

kontaktem, to gdzie był Luis? Czyżby Luis postanowił sprzedać mikrofilm za najwyższą cenę? To wydawało się mało prawdopodobne. Grant znał Luisa osobiście; byli razem w wielu trudnych sytuacjach i ufał Luisowi, mając go za swoimi plecami, co wiele mówiło.

Agencje rządowe goniły tym szczególnym mikrofilmem od około miesiąca. Wysoko postawieni ludzie z firmy badawczej w Kalifornii zawarli umowę na sprzedaż rządowi tajnej technologii laserowej którą ich firma opracowała, technologię, która w najbliższej przyszłości mogła umieścić broń laserową w kosmosie. Ludziom z ochrony tej firmy wydało się to podejrzane i ostrzegli odpowiednie organy rządowe; razem mieli zatrzymać osoby odpowiedzialne w środku sprzedaży. Ale dwóch nabywców uciekło, zabierając mikrofilm ze sobą. Potem jeden z nich oszukał drugiego i wywiózł mikrofilm do Ameryki Południowej, żeby zawrzeć własną umowę. Agenci w całej Ameryce Środkowej i Południowej, zostali ostrzeżeni, a amerykański agent w Kostaryce nawiązał kontakt z tym człowiekiem, tworząc "zasadzkę", żeby kupić mikrofilm. I w tym momencie wszystko się pogmatwało. Umowa się posypała, a agent został ranny, ale uciekł z mikrofilmem. Film powinien już dawno zostać zniszczony, ale tak się nie stało. W jakiś sposób agent przekazał go George'owi Persallowi, który poruszał się swobodnie po Kostaryce z powodu swoich powiązań biznesowych. Któż mógł podejrzewać, George Persalla o bycie szpiegiem? Zawsze wydawał się tylko nudnawym biznesmenem, aczkolwiek z pasją do pięknych "sekretarek" – słabością, którą każdy Latynos jest w stanie zrozumieć. Persall był znany tylko kilku agentom, wśród nich Luisowi Marcelowi, i to czyniło go niezwykle skutecznym. Jednak w tym przypadku, George`a pozostawiono samemu sobie; z powodu gorączki spowodowanej ranami agent nie powiedział George`owi, żeby zniszczył film.

Luis Marcel powinien skontaktować się z George`m, ale zniknął. Potem George, który zawsze wydawał się być obrzydliwie zdrowy, zmarł na atak serca... i nikt nie wiedział, gdzie się mikrofilm podział. Amerykanie chcieli mieć pewność, że technologia nie wpadnie w ręce kogokolwiek innego; Rosjanie chcieli tę technologię aż za bardzo, a każdy rewolucjonista na tej półkuli chciał mikrofilm w celu sprzedaży za najwyższą cenę. Ilość broni,

za którą można było kupić, mogła wywołać rewolucję - tyle wynosiła wartość małego kawałka folii na otwartym rynku.

Manuel Turego, był szefem bezpieczeństwa narodowego w Kostaryce.

Był to bardzo inteligentny człowiek; był też draniem, myślał Grant, ale sprytnym. Natychmiast ujął Panią Priscillę Jane Hamilton Greer i zaprowadził do tej silnie strzeżonej "plantacji" wewnątrz kraju. On by pewnie powiedział jej, że bierze ją pod opiekę, a ona prawdopodobnie była na tyle głupia, że była mu bardzo wdzięczna za tą "ochronę". Turego rozgrywał to na zimno; ale jak na razie, jej nie krzywdził. Najwidoczniej wiedział, że jej ojciec jest bardzo bogatym, bardzo wpływowym człowiekiem, i był wystarczająco mądry, żeby nierozwścieczać bogatych, wpływowych ludzi, chyba, że to będzie absolutnie konieczne. Turego grał na zwłokę; czekał, aż Luis Marcel wypłynie na powierzchnię, aż mikrofilm wypłynie na powierzchnię, jak to w końcu się stanie. W międzyczasie miał Priscillę; mógł sobie pozwolić na czekanie. Czy wiedziała coś, czy nie, była dla niego sporo warta jako narzędzie negocjacyjne, jeżeli nie czymś innym.

Od chwili zniknięcia Priscilli, jej ojciec oszalał. Zaczął twardą ręką domagać się politycznych przysług, ale żaden z winnych mu przysług nie mógł wydostać Priscilli od Turego. Dopóki Luis nie zostanie znaleziony, amerykański rząd nie ruszy palcem, żeby uwolnić młodą kobietę.

Zamieszanie wokół tego, czy ona coś wie, czy nic, stwarzało kuszące możliwości, że może znać lokalizację mikrofilmu, wydawało się, spowalniać intensywność poszukiwania Luisa. Jej niewola może dać mu przewagę, której potrzebował, odciągając uwagę od niego.

Wreszcie zdesperowany ze zmartwienia i rozwścieczony brakiem odpowiedzi od rządu, James Hamilton postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Wydał małą fortunę na wytropienie miejsca przetrzymywania jego córki, a następnie został zatrzymany przez niedostępność dobrze strzeżonej plantacji. Uświadomił sobie, że jeśliby wysłał wystarczającą ilość ludzi by przejąć plantację, to istniało duże prawdopodobieństwo, że jego córka zginie w walce. Wtedy ktoś wspomniał nazwisko Granta Sullivana.

Człowiek tak bogaty, jak James Hamilton mógł znaleźć kogoś, kto nie chce być odnaleziony, nawet jeśli jest to ostrożny, wypalony ex-agent rządowy, który zakopał się w górach Tennessee. W przeciągu dwudziestu

czterech godzin Grant siedział naprzeciwko Hamiltona, w bibliotece ogromnego domu, który aż krzyczał od starych pieniędzy. Hamilton zaoferował mu sumę, którą będzie mógł całkowicie spłacić kredyt hipoteczny za swoją farmę. Wszystko, czego ten człowiek pragnął, to mieć córkę z powrotem, całą i zdrową. Jego twarz była pomarszczona i napięta ze zmartwienia, i była w niej desperacja, która sprawiła, że nawet bardziej niż z powodu pieniędzy, Grant niechętnie przyjął tę robotę.

Trudności w ratowaniu jej wydawały się być ogromne, może nawet nie do pokonania; gdyby był w stanie przeniknąć do ochrony plantacji - coś, w co naprawdę wątpił - żeby ją wydostać będzie musiał zrobić coś zupełnie innego. Nie tylko to, ale z własnego doświadczenia Grant wiedział, że nawet jeśli ją znalazł, to okoliczności są wielce przeciwko niej - żyjącej i rozpoznawalnej. Nie pozwalał sobie myśleć o tym, co mogło się z nią dzieć od dnia, kiedy została porwana.

Jednak dotarcie okazało się śmiesznie łatwe; tak szybko, jak opuścił dom Hamiltona, otrzymał nowego kolegę. Nie przejechał nawet mili w dół autostrady z osiedla Hamiltona, kiedy spojrzał we wsteczne lustro i zauważył zwyczajny niebieski sedan siedzący mu na ogonie. Ironicznie unosząc brew zjechał na pobocze drogi.

Zapalił papierosa i zaciągnął się spokojnie, czekając, aż obaj mężczyźni zbliżą się swoim samochodem.

- Cześć, Curtis.

Ted Curtis pochylił się i zajrzał w otwarte okno, uśmiechając się.

- Zgadnij, kto chce się z tobą widzieć?

- Do diabła, - zaklął Grant z irytacją. - Dobrze, prowadź. Ale nie muszę jechać, aż do Wirginii, prawda?

- Nie, tylko do następnego miasta. Czeka w motelu.

Fakt, że Sabin czuł konieczność opuszczenia siedziby, powiedział Grantowi bardzo dużo. Znał Kella Sabina z dawnych lat; ten facet miał nerwy ze stali, a w żyłach płynęła mu lodowata woda. Dla otoczenia nie był przyjemnym człowiekiem, ale Grant wiedział, że sam mógł to o sobie powiedzieć. Obydwaj byli ludźmi, co do których nie można było zastosować zwykłych zasad, ludźmi, którzy mieli gruntowną wiedzę o piekle, którzy żyli i polowali w tej szarej dżungli, gdzie nie było żadnych

praw. Różnica między nimi była taka, że Sabinowi odpowiadała ta zimna szarość; to było jego życie - a Grant już tego nie chciał. To wszystko posunęło się za daleko; coraz mniej czuł się człowiekiem. Zaczął tracić poczucie tego, kim był i dlaczego tam był. Nic nie wydawało się już ważne. Żywy czuł się tylko wtedy, kiedy był w trakcie pościgu, gdy adrenalina pompowała w żyłach i stawiała wszystkie zmysły do ostrej świadomości. Pocisk, który prawie go zabił, paradoksalnie ocalił go, bo zatrzymał na tyle długo, by pozwolić mu zacząć znowu myśleć. Wtedy właśnie zdecydował się odejść.

Dwadzieścia pięć minut później, z ręką okręconą wokół kubka mocnej, gorącej kawy, i obutymi stopami opartymi wygodnie na stoliku z tworzywa sztucznego imitującego drewno, który był standardowym meblem w motelach, Grant mruknął: - No cóż, jestem tutaj. Mów.

Kell Sabin miał równo sześć stóp wzrostu², był niewiele niższy niż Grant, i mocna muskulatura jego ramion ujawniała, że pozostaje w formie, mimo że nie działa już w terenie. Miał czarne włosy, czarne oczy, cerę oliwkową – rozłączał wokół siebie silną energię, która była jak zimny ogień. Miał nieczytelną twarz, i był sprytny niczym skradająca się pantera, ale Grant mu ufał. Nie mógł powiedzieć, że go lubi; Sabin nie był tego typu człowiekiem. Przed dwudziestu laty ich życia zostały splecione tak, że nie można było oddzielić jednego od drugiego. W swoim umyśle, Grant zobaczył błysk czerwono - pomarańczowych strzałów, i nagle poczuł grube, wilgotne ciepło dżungli, zapach gnijącej roślinności, zobaczył błysk strzelającej broni... i poczuł to, na swoich plecach, tak blisko, jak poczuł obejmujące go ramiona mężczyzny, tego samego faceta, który siedział teraz naprzeciwko niego. Takie rzeczy pozostały w pamięci człowieka.

Niebezpieczny człowiek, Kell Sabin. Wrogie rządy chętnie zapłaciłyby fortunę, aby dostać się do niego, ale Sabin był niczym więcej niż cieniem uciekającym od słońca, tak jak wyłaniał się ze swoim oddziałem z szarej mgły.

Bez zmrużenia swoich czarnych oczu, Sabin studiował mężczyznę, który siedział naprzeciwko niego leniwe rozwalony – i wiedział, że on był zwodniczo leniwie rozwalony. Grant, o ile to w ogóle możliwe, był nawet

² 1,83 m.

szczuplejszy niż przedtem. Rok hibernacji nie zrobił z niego mięczaka. Nadal było jeszcze coś dzikiego w Grancie Sullivanie, coś niebezpiecznego i nieokiełznanego. To był ostrożny, niespokojny blask jego bursztynowych oczu - oczu, które świeciły zacięte i złote jak u orła, pod ciemnymi prostymi brwiami. Jego ciemnoblonde włosy były zmierzwiłone, zwijając się na końcach, na kołnierzu z tyłu, podkreślając, że nie był tak całkiem cywilizowany. Był mocno opalony; mała blizna na brodzie nie była bardzo widoczna, ale cienka linia, która biegła przez jego lewy policzek była srebrna na tle jego opalonej skóry. Blizny nie były szpecące, ale były za to wspomnieniem stoczonych bitew.

Gdyby Sabin miał wybierać kogoś, żeby pójść po córkę Hamiltona, to wybrałby właśnie tego człowieka. W dżungli Sullivan był tak zwinny jak kot; potrafił stać się częścią dżungli, wtapiając się w nią, używając jej. Był przydatny w konkretnych dżunglach, zbyt przydatny, tak, we wszystkich zielonych pieklach świata, że nikt nie mógł mu dorównać.

- Idziesz po nią? - zapytał wreszcie Sabin spokojnym tonem.

- Tak.

- Pozwól mi więc wprowadzić cię w temat.

Zupełnie nie zważając na fakt, że Grant nie ma już uprawnień i klauzul poufności, Sabin powiedział mu o zaginionych mikrofilmach. Opowiedział mu o George Persallu, Luisie Marcelu, całej tej śmiertelnej grze w kotka i myszkę, i głupiej, małej Priscilli siedzącej w środku. Użyto jej jako zasłony dymnej dla Luisa, ale Kell był bardziej niż trochę zaniepokojony Luisem. To nie był człowiek, który zniknął, a Kostaryka nie była najbardziej spokojnym miejscem na ziemi. Mogło się mu przydarzyć wszystko. Jednakże gdziekolwiek się teraz znajdował, na pewno nie był w rękach żadnego rządu lub frakcji politycznej, ponieważ wszyscy wciąż go szukali, i wszyscy za wyjątkiem Manuela Turego i rządu amerykańskiego poszukiwali Priscilli. Nawet rząd Kostaryki nie wiedział, że Turego ma kobietę; on działał na własną rękę.

- Persall był czarnym koniem, - przyznał Kell z irytacją. - Nie był profesjonalistą, nie mam nawet jednego pliku o nim.

Jeśli Sabin nie ma nic na niego, Persall był więcej niż czarnym koniem; on był zupełnie niewidoczny. - Jak to, wszystko wybuchło? - zapytał Grant

przeciągle, zamykając oczy, dopóki nie były niewiele większe niż szczeliny. Wyglądał, jakby miał zamiar zasnąć, ale Sabin wiedział, że jest inaczej.

- Nasz człowiek był śledzony. Zbliżali się do niego. Przez gorączkę nie myślał jasno. Nie mógł znaleźć Luisa, ale przypomniał sobie, że może skontaktować się z Persallem. Do tego czasu nikt nie wiedział nic o Persallu, albo jak go znaleźć, jeśli jest potrzebny. Nasz człowiek ledwo przekazał film Persallowi zanim rozpętało się piekło. A Persall uciekł.

- Co z naszym człowiekiem?

- Żyje. Mamy go, ale Turego dostał go w swoje ręce wcześniej.

Grant chrząknął. - Więc Turego wie, że nasz facet nie kazał Persallowi zniszczyć filmu.

Kell wyglądał na całkowicie zniesmaczonego. - Każdy to wie. Tam nie stosuje się żadnych zabezpieczeń. Zbyt wielu ludzi chce sprzedawać każdy kawałek informacji, jaką mogą znaleźć. Turego ma przecieki w swojej organizacji, tak więc rano było już wiadomo. Również rano, Persall zmarł na atak serca, w pokoju Priscilli. Zanim jednak wykonaliśmy jakikolwiek ruch, Turego zabrał dziewczynę.

Ciemno brązowe rzęsy zasłoniły złoty blask oczu Granta prawie całkowicie. Wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał zacząć chrapać.

- No więc? Czy ona wie coś o mikrofilmach, czy nie?

- Nie wiemy. Domyślam się, że nie. Persall miał kilka godzin, aby ukryć mikrofilm zanim poszedł do jej pokoju.

- Dlaczego, do cholery, nie mogła zostać z tatą, gdzie jest jej miejsce? - mruknął Grant.

- Hamilton poruszył piekło, żeby ją stamtąd wydostać, ale oni trzymają ją bardzo blisko. Ona jest imprezową dziewczyną. Rozwódką, bardziej zainteresowana dobrą zabawą, niż robieniem czegokolwiek konstruktywnego. Faktycznie, Hamilton odciął ją z własnej woli kilka lat temu, a od tego czasu ona wędruje po całym świecie. Była z Persallem kilka lat. Nie byli dyskretni w tym związku. Persall lubił mieć reprezentacyjną kobietę na swoim ramieniu, i mógł sobie na nią pozwolić. Zawsze wydawał się być niefrasobliwym dobrym facetem, doskonale pasującym do jej typu. Jestem pewny, jak cholera, że nigdy nie typowali go

na kuriera, zwłaszcza takiego, który byłby na tyle ostry, żeby mnie oszukać.

- Dlaczego wy nie pójdziecie i wydostaniecie dziewczyny? - zapytał nagle Grant, i otworzył oczy, wpatrując się w Kella, wzrok miał zimny i żółty.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie sędzę, że ona wie coś o tym filmie. Muszę skoncentrować się na znalezieniu filmu, i myślę, że to oznacza znalezienie Luisa Marcela. Po drugie, jesteś najlepszym człowiekiem do tego zadania. I tak myślałem, kiedy ja... ah ... załatwiłem ci uwagę Hamiltona.

Więc Kell działał, żeby wydostać dziewczynę mimo wszystko, ale robił to w swój określony sposób. Cóż, pozostawanie za kulisami było jedynym sposobem w jaki mógł być skuteczny.

- Nie będziesz miał żadnych problemów z dostaniem się do Kostaryki, - powiedział Kell. - Ja już wszystko załatwiłem. Ale jeśli nie uda ci się dostać dziewczyny...

Grant wstał, brutalny, wspaniały dziki, cichy i zabójczy. - Wiem, - powiedział cicho. Żaden z nich nie musiał tego mówić, ale oboje wiedzieli, że kula w głowie będzie dużo miłsza niż to, co się z nią stanie, jeśli Turego zdecyduje, że ona znała lokalizację mikrofilmu. Na razie trzymał ją tylko jako środek bezpieczeństwa, ale jeśli mikrofilm nie wypłynie na powierzchnię, to mogła ewentualnie tylko przypominać mu o tym. Wtedy jej życie nie byłoby warte złamanego centa.

No więc teraz był w Kostaryce, głęboko w lesie deszczowym i zbyt blisko cholernej granicy z Nikaraguą, dla wygody. Włóczące się bandy rebeliantów, żołnierzy, rewolucjonistów i zwykłych terrorystów, którzy sprawiali nieszczęścia ludziom, którzy chcieli żyć prosto i w spokoju, ale na razie nic z tego nie dotknęło Priscilli. Ona może sobie być tropikalną księżniczką, sączącą delikatnie lodowaty napój, ignorując dżunglę, która pożerała ciągle granice plantacji i musiała być regularnie wycinana.

Cóż, zobaczył wystarczająco dużo. Dziś była noc działania. Poznał już jej plan dnia, znał rutynę strażników, i znalazł wszystkie trasy podróży. Nie lubił podróżować przez dżunglę w nocy, ale nie miał żadnego wyboru. Musiał zyskać co najmniej kilka godzin, i zabrać ją stąd, zanim ktokolwiek się zorientuje, że jej nie ma; na szczęście, zawsze spała do późna, co

najmniej do dziesiątej. Nikt nie będzie o niczym myśleć, gdyby nie pojawiła się przed jedenastą. Ale wtedy oni będą już daleko. Pablo odbierze ją helikopterem w wyznaczonym miejscu jutro rano, zaraz po świcie.

Grant wycofał się powoli na skraj dżungli, posuwając się powoli w gęstej zieleni tak długo, aż utworzyła solidną zasłonę oddzielającą go od domu. Dopiero wtedy mógł wstać na nogi, i iść po cichu i mając pewność, że jest bezpieczny poza siatką linii i czujników, które znalazł. Był w dżungli od trzech dni, poruszając się ostrożnie po obwodzie plantacji, starannie poznając układ domu. Wiedział, gdzie dziewczyna spała, i wiedział, jak ma zamiar dostać się do środka. Nie mogło być lepiej; Turego nie było w domu. Zostawił ją wczoraj i jeszcze nie wrócił, Grant wiedział, że dzisiaj nie przyjedzie. Zapadł już zmierzch, a nie było bezpiecznie podróżować rzeką w ciemności.

Grant wiedział dokładnie, jak zdradliwa ta rzeka była; i to dlatego zamierzał zabrać dziewczynę przez dżunglę. Nawet biorąc pod uwagę jej niebezpieczeństwa, rzeka będzie logiczną trasą ucieczki. Jeśli przypadkiem odkryto by jej ucieczkę zanim Pablo by ją zabrał, poszukiwania będą skoncentrowane wzdłuż rzeki, przynajmniej przez chwilę. Wystarczająco długą chwilę, miał nadzieję, która pozwoli im dotrzeć do helikoptera.

Musiał odczekać jeszcze kilka godzin, zanim będzie mógł wejść do domu i zabrać dziewczynę. To daje mu czas, żeby się wypocząć, wynudzić się i zasnąć. Udał się na małą polankę, gdzie ukrył swoje zapasy, i ostrożnie sprawdził, czy nie ma węży, zwłaszcza brązowej aksamitnej żararaki lancetowatej³ która lubiła leżeć na polanach i czekać na swój następny posiłek. Po upewnieniu się, że jest bezpieczne, usiadł na zwalonym drzewie, aby zapalić papierosa. Napił się wody, ale nie był głodny. Wiedział, że nie będzie aż do jutra. Kiedy miał iść na akcję, nie mógł jeść; był zbyt podekscytowany, wszystkie jego zmysły były wyostrzone tak, że nawet najmniejszy dźwięk dżungli rozbijał się o jego bębny jak grzmot. Adrenalina krążyła mu w żyłach, podkręcając go tak, że mógł zrozumieć, dlaczego wikingowie wpadali w szal podczas bitwy. Oczekiwanie było prawie nie do zniesienia, ale to było to, co musiał zrobić. Ponownie spojrzął na zegarek, podświetlane, cywilizowane cyfry wyglądały trochę dziwne

³ Bothrops atrox (wąż z rodziny grzechotnikowatych należącej do żmijowatych) – po angielsku fer-de-lance.

w dżungli, która połykała ludzi żywcem, i zmarszczył brwi, kiedy zobaczył, że minęło tylko nieco ponad pół godziny.

Musiał wymyślić sobie coś do zrobienia, żeby uspokoić swoje mocno napięte nerwy, i zaczął metodycznie pakowanie, układając wszystko tak, żeby wiedzieć dokładnie, gdzie co było. Sprawdził swoją broń i amunicję, mając nadzieję, że nie będzie musiał z nich korzystać. Jeśli chciał wydostać dziewczynę żywą, to to, co było mu najbardziej potrzebne, była całkowicie cicha praca. Gdyby miał korzystać ze swojego karabinu lub pistoletu automatycznego, to zdradziłby swoją pozycję. Wolał nóż, który był cichy i zabójczy.

Czuł pot spływający mu po plecach. Boże, żeby tylko dziewczyna miała wystarczająco rozumu, żeby mieć zamknięte usta i nie zacząć skrzeczeć, kiedy będzie ją stamtąd wyciągnął. Jeśli będzie musiał, to ją ogłuszy, ale jej bezwładny ciężar do przeniesienia przez roślinność, będzie hamował go w dżungli i owijał się wokół nóg jak żywe palce.

Zdał sobie sprawę, że pieści swój nóż, jego długie, szczupłe palce przesuwają się nad śmiertelnym ostrzem niczym dotyk kochanka, więc wsunął go do pochwy. Do cholery z nią, pomyślał z goryczą. Przez nią, był z powrotem w środku tych wszystkich przeżyć, i czuł, że znowu go chwytają. Pęd niebezpieczeństwa był wciągający jak narkotyk, i krążył w jego żyłach ponownie, piekąc go, paląc jak kwas - zabijając go i intensyfikując znowu poczucie życia. Niech ją szlag, niech idzie do piekła. To wszystko przez zepsutego, głupiego bachora z wyższych sfer, który lubił bawić się w różnych łózkach. Chociaż, może jej wysokie obcasy zachowały ją przy życiu, ponieważ Turego wyobrażał sobie, że jest dobrym kochankiem.

Nocne odgłosy dżungli zaczęły narastać wokół niego: krzyki wyjców, szelesty, ćwierkanie i powarkiwania nocnych mieszkańców zajmujących się własnymi sprawami. Gdzieś w pobliżu rzeki usłyszał ryk jaguara, ale był to jeden z normalnych odgłosów dżungli. Czuł się tutaj jak w domu.

Osobliwe połączenie genów i umiejętności, które nabył jako chłopiec na bagnach południowej Georgii sprawiło, że stał się częścią dżungli, jak ten jaguar, który krążył na brzegu rzeki. Choć gruby baldachim roślin blokował całe światło, nie zapalił ogniska czy włączył latarki; chciał, by oczy

dopasowały się doskonale do zmroku, kiedy wyruszy w drogę. Polegał na uszach i swoich instynktach, dzięki którym wiedział, że w pobliżu nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo mogło nadejść od ludzi, nie od płochliwych zwierząt w dżungli. Tak długo, jak otaczały go te uspokajające dźwięki, wiedział, że nie było w pobliżu żadnych ludzi.

O północy wstał i zaczął poruszać się po trasie, którą miał wytyczoną w umyśle, a zwierzęta i owady były tak nie zaniepokojone jego obecnością, że nadal hałasowały bez przerwy. Obawiał się jedynie, że żararaka lub groźnica niema⁴ może polować na drodze, którą wybrał, ale to było ryzyko, które musiał podjąć. Trzymał długi kij, którym zamiatał spokojnie drogę przed nim. Kiedy dotarł na skraj plantacji odłożył kij na bok, przykucnął nisko przy ziemi i sprawdził czy wszystko było zgodnie z jego oczekiwaniami, nim przeniósł się dalej.

Z miejsca gdzie przykucnął, mógł zobaczyć, że strażnicy byli na swoich normalnych stanowiskach, prawdopodobnie śpiąc, za wyjątkiem jednego, który patrolował granice, ale i on wkrótce udał się na drzemkę. Byli niechlujni, pomyślał z pogardą. Oczywiście nie spodziewali się żadnych gości w tak odległym miejscu jak ta plantacja w górze rzeki. Podczas trzech dni, które spędził na obserwacji, zauważył, że dużo stali, rozmawiali i palili papierosy, nie pilnując specjalnie niczego. Ale wciąż tam byli, z karabinami naładowanymi prawdziwymi kulami. Jednym z powodów, że Grant dożył trzydziestu ośmiu lat było to, że miał zdrowy szacunek dla broni i tego co może zrobić z ludzkim ciałem. Nie wierzył w brawurę, bo kosztowała życie. Czekał. Przynajmniej teraz coś widział, noc była jasna, a gwiazdy wisiały nisko rozsiane na niebie. Nie przeszkadzało mu światło gwiazd; było wiele cieni, które maskowały jego ruchy.

Strażnik w lewym rogu domu nie ruszył się nawet o centymetr od kiedy Grant zaczął go obserwować; spał. Strażnik chodzący na ziemi oparł się o jeden z filarów z przodu domu. Słaby czerwony blask w pobliżu ręki strażnika powiedział Grantowi, że palił i jeśli zrobi swój kolejny zwykły ruch, to po spaleniu papierosa obciągnie czapkę na oczy i zaśnie.

Cicho jak widmo Grant opuścił kryjówkę w dżungli i przeniósł się na teren plantacji, przemykając się od drzewa do krzewu, niewidoczny

⁴ Lachesis muta - inaczej bushmaster, po indiańsku: surukuku, surukusu, shushupe – gatunek jadowitego węża z podrodziny grzechotników w rodzinie żmijowatych.

w czarnych cieniach. Bezgłośnie, dotarł do werandy, która biegła obok domu, przyłgnał płasko do ściany i ponownie sprawdził otoczenie. Było cicho i spokojnie. Strażnicy za bardzo polegali na tych czujnikach ruchu, nie zdając sobie sprawy, że mogą być zdemontowane.

Pokój Priscilli znajdował się z tyłu. Miał podwójne przesuwane szklane drzwi, które mogły być zamknięte, ale nie martwiło go to; radził sobie z zamkami. Zbliżył się do drzwi, wyciągnął rękę i cicho pociągnął. Drzwi otworzyły się łatwo, a on uniósł brwi. Nie zamknęła ich. Miło z jej strony.

Delikatnie, bardzo delikatnie, o ułamek cała na raz, rozsunął otwarte drzwi, aż było wystarczająco dużo miejsca dla niego, aby się wkraść. Kiedy się znalazł się w pokoju zatrzymał się, czekając aż jego oczy przywykną do ciemności ponownie. Po świetle gwiazd, w pokoju wydawało się być ciemno jak w dżungli. Nie drgnął ani palcem, ale czekał, gotowy słuchając.

Wkrótce wzrok przyzwyczał mu się do ciemności. Pokój był duży i przestronny, z chłodną, drewnianą podłogą pokrytą matami ze słomy. Łóżko stało pod ścianą po jego prawej stronie, z powiewającymi lekko fałdami moskitiery umieszczonej wokół niego. Poprzez siatkę widział pomarszczone przykrycie i mały kopiec na drugiej stronie łóżka. Krzesło, mały okrągły stół i lampa podłogowa stały po tej stronie łóżka. Cienie były głębsze po jego lewej stronie, ale dostrzegł, drzwi prawdopodobnie otwarte, do łazienki. Ogromna szafa stała pod ścianą. Powoli, tak cicho, jak tygrys śledzący swoją zdobycz, przeniósł się po ścianie, kryjąc się w ciemności, w pobliżu szafy. Teraz widział krzesło po drugiej stronie łóżka, tam gdzie spała. Długa biała szata, być może jej szlafrok, leżała w poprzek fotela. Myśl, że ona może spać nago, spowodowała, że się uśmiechnął, chociaż nie był to grymas rozbawienia. Jeśli rzeczywiście spała nago, może walczyć jak dziki kot, kiedy ją obudzi. Tylko tego jeszcze potrzebował. Z tych dwóch względów, miał nadzieję, że była ubrana.

Zbliżył się do łóżka, patrząc na małą postać. Była taka spokojna... nagle włosy zjeżyły mu się na karku w ostrzeżeniu więc bez zastanowienia rzucił się w bok, przyjmując cios w ramię, zamiast w szyję. Przeturlał się i wstał, oczekując spojrzenia w twarz napastnika, ale w pokoju było nadal ciemno i spokojnie. Nic się nie poruszało, nawet kobieta na łóżku. Grant cofnął się z powrotem w cień, próbując usłyszeć miękki szept oddechu, szelest

ubrania, cokolwiek. Cisza w pokoju był ogłuszająca. Gdzie był napastnik? Tak jak Grant, przeniósł się w cień, które był na tyle głęboki, żeby chronić kilku mężczyzn.

Kim był napastnik? Co robi w sypialni kobiety? Czy został wysłany, by ją zabić, czy też próbował wykraść ją Turego?

Jego przeciwnik prawdopodobnie chował się w czarnym rogu obok szafy. Grant wyjął nóż z pochwy, a następnie pchnął nim przed sobą; jego ręce były równie ciche jak nóż.

Tam... to był tylko moment, najmniejszy ruch, ale wystarczył, aby dokładnie określić pozycję mężczyzny. Grant przykucnął następnie ruszył w ogromnym pośpiechu, łapiąc mężczyznę nisko i przerzucając go. Nieznajomy upadając przekręcił się i wstał ze zwinnym skretem, szczupła ciemna postać rysująca się na białym tle moskitiery. Kopnął, ale Grant uniknął ciosu, czując jak powiew kopniaka owiewa mu brodę. Przesunął się, złapał za ramię mężczyzny powodując jego błyskawiczne odrętwienie. Widział jak ręka opada bezużytecznie wzdłuż boku mężczyzny. Chłodno, bez emocji, nawet nie oddychając ciężko, Grant rzucił szczupłą sylwetkę na podłogę i ukląkł z jednym kolanem na ramieniu i a drugim przyciśniętym do drobnej piersi mężczyzny. Kiedy podniósł rękę do mocnego cios, który zakończyłby tą cichą walkę, Grant zauważył coś dziwnego, coś miękkiego i pulchnego pod kolanem. Wtedy zrozumiał. Ta zbyt spokojna postać na łóżku nadal tam była, ponieważ był to zakryty uformowany kształt, a nie człowiek. Dziewczyny nie było w łóżku; zauważyła go przechodzącego przez przesuwane drzwi i ukryła się w cieniu. Ale dlaczego nie krzyczała? Dlaczego zaatakowana, wiedząc, że nie ma szans na obezwładnienie go? Zdjął kolano z jej piersi i szybko wsunął rękę między miękkie kopyły, żeby upewnić się, że jego waga nie odcięła jej oddechu. Czuł uspokajające unoszenie się piersi, usłyszał cichy, zaskoczony okrzyk kiedy poczuła jego dotyk, wtedy on odsunął się trochę od niej.

- Wszystko w porządku, - zaczął szeptać, ale ona nagle skręciła się na podłodze, wyrywając się spod niego. Jej kolano uniosło się w górę; był niestrzeżony, całkowicie bezbronny, a jej kolano uderzyło w jego krocze z siłą, która przetoczyła się agonią przez całe jego ciało. Przed oczami zatańczyły mu czerwone światła, a on osunął się na bok, powstrzymując

odruch wymiotny gorzkiej żółci, która zgromadziła się mu gardle, rękami automatycznie zasłonił swoje bolące ciało, kiedy zacisnął zęby żeby powstrzymać jęk, który walczył o uwolnienie.

Wygramoliła się z dala od niego i usłyszał niski szloch, być może przerażenia. Poprzez ból rozmazanych oczu widział jak podniosła coś ciemnego i dużego; potem przedarła się przez otwarte szklane drzwi i zniknęła. Czysta wściekłość przeszła go aż do stóp. Cholera, ona właśnie ucieka na własną rękę. Miała zamiar zrujnować cały plan! Ignorując ból w kroczu, ruszył za nią. Miał porachunki do wyrównania.

ROZDZIAŁ 2

Jane właśnie chwyciła torbę z zapasami na drogę, kiedy jakiś instynkt pozostały po jaskiniowych przodkach powiedział jej, że ktoś jest w pobliżu. Nie usłyszała żadnego dźwięku, który by ją ostrzegł, ale nagle zdała sobie sprawę z innej obecności. Włosy na karku i przedramionach podniosły się, a ona zamarła, obracając przerażone oczy w stronę podwójnych szklanych drzwi. Drzwi rozsunęły się bezgłośnie, a ona zobaczyła ciemniejszy cień człowieka przez moment majaczący się w ciemności nocy. Był potężnym mężczyzną, ale takim, który poruszał się w całkowitej ciszy. To było niesamowite, ta bezdźwięczność jego ruchów, która przeraziła ją bardziej niż cokolwiek, powodując dreszcze czystego przerażenia przechodzące na jej skórze. Od kilku dni żyła nerwami, trzymając przerażenie na wodzy i czując się jakby spacerowała po linie, z jednej strony próbując uspić podejrzenia Turego, z drugiej będąc stale gotową do próby ucieczki. Ale nic nie przeraziło jej bardziej niż ten ciemny cień wślizgujący się do jej pokoju.

Wszelka słaba nadzieja, że zostanie uratowana umarła gdy Turego ją tutaj umieścił. Musiała ocenić sytuację realistycznie. Jediną osobą, która spróbowała by ją stąd zabrać mógł być jej ojciec, ale to nie było w jego mocy. Mogła liczyć tylko na siebie i swój rozum. W tym celu, flirtowała, schlebiała i wręcz kłamała, robiąc wszystko, co mogła, żeby przekonać Turego że była zarówno bezmyślna jak i nieszkodliwa. I już, pomyślała, że się jej udało, ale czas uciekał. Kiedy pracownik przyniósł pilną wiadomość do Turego dzień wcześniej, Jane podsłuchiwała; lokalizacja Luisa Marcela została odkryta, a Turego bardzo chciał dostać Luisa.

Ale teraz Turego pewno by odkrył, że Luis nie ma wiedzy na temat zaginionego mikrofilmu, co wskazywało ją jako jedyne podejrzanego.

Musiała uciec, dziś w nocy, zanim Turego wróci.

Nie próżnowała, odkąd się tu znalazła; dokładnie zapamiętała trasy strażników, szczególnie w nocy, kiedy przerażenie wywołane przez ciemność uniemożliwiało jej spanie. Spędzała noce stojąc w podwójnych drzwiach, obserwując strażników, mierząc im czas, studiując ich zwyczaje. Utrzymując umysł czymś zajęty, była w stanie kontrolować strach.

Zasypiała kiedy świt zaczynał rozjaśniać niebo. Od pierwszego dnia tutaj przygotowywała się na możliwość umknięcia do dżungli. Wykradała żywność i niezbędny ekwipunek, przygotowując się do tego, co ją czeka. Nawet teraz, czysty strach na myśl o tym, co czeka ją w rękach Turego dodał jej odwagi do udania się w czarną dżunglę, gdzie czekały na nią nocne demony.

Ale nic z tego nie było tak złowrogie, tak zabójcze, jak ciemny kształt przemykający się poprzez jej sypialnię. Schroniła się w głębokie cienie, nawet nie oddychając z przerażenia. Boże, modliła się, co mam teraz zrobić? Dlaczego on tu jest? Chce ją zamordować we własnym łóżku? Czy to jeden ze strażników, który akurat wybrał sobie dzisiejszą noc i przyszedł ją zgwałcić?

Kiedy przeszedł obok niej, poruszając się w lekkim kucnięciu w kierunku jej łóżka, dziwna wściekłość nagle wypełniła Jane. Po wszystkim, co przeżyła, będzie przeklęta, jeśli pozwoli mu zepsuć swoją ucieczkę! Przekonała się do tego, pomimo okropnego strachu przed ciemnością, a teraz on to rujnuje!

Zacisnęła szczęki, zacisnęła pięści, tak jak nauczyła się na zajęciach samoobrony. Uderzyła w kark, ale on nagle zniknął - cień umykający od ciosu, a jej pięść uderzyła go w ramię. Natychmiast ponownie opanowało ją przerażenie, i cofnęła się do kryjówki przy szafie, wyęzając wzrok, by go zobaczyć, ale on zniknął. Czy był widmem, wytworem jej wyobraźni? Nie, jej pięść uderzyła w bardzo solidne ramię, i słaby ruch białych zasłon nad szklanymi drzwiami wskazywał, że drzwi były rzeczywiście otwarte. On był gdzieś w pokoju, ale gdzie? Jak tak potężny mężczyzna może tak całkowicie zniknąć?

Potem, nagle, jego waga uderzyła ją w bok, zbijając z nóg, aż ledwo powstrzymała instynktowy krzyk, który wzrósł w jej gardle. Nie miała szans. Próbowwała go automatycznie kopnąć w gardło, ale przesunął się jak błyskawica, blokując jej atak. Następnie zadał cios w jej ramię, które zdrętwiało aż do łokcia, a ułamek sekundy później została rzucona na ziemię, z przyciśniętym kolanem do piersi, uniemożliwiającym oddychanie. Mężczyzna uniósł rękę i Jane napięła się, teraz chętna do krzyku, ale nie mogła wydać dźwięku. Nagle mężczyzna zatrzymał się, i z jakiegoś

powodu zdjął ciężar z jej piersi. Powietrze wpadło do jej płuc, wraz z oszałamiającym poczuciem ulgi, a potem poczuła jak jego dłoń porusza się śmiało na jej piersiach i zrozumiała dlaczego zmienił pozycję. Zarówno przerażona jak i wściekła, na to co się z nią dzieje, uniosła się instynktownie, w ułamku sekundy zrozumiała jego błąd i uderzyła w górę swoim kolanem. Opadł na bok, trzymając się za krocze tak, że aż poczuła absurdalne uczucie litości. Wtedy zdała też sobie sprawę, że nawet nie jęknął głośno. Ten mężczyzna nie jest człowiekiem! Dławiąc szloch przerażenia, zerwała się na nogi, chwyciła swoje zapasy, a następnie rzuciła się przez otwarte drzwi. W tym momencie nie chciała uciec od Turego tak bardzo jak od tego ciemnego, cichego demona w jej pokoju.

Nierozważnie, rzuciła prosto przez środek plantacji; jej serce waliło tak mocno, że dźwięk pompowania krwi przez jej żyły brzmiał jak ryk w jej uszach. Jej płuca bolały, i zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Próbowwała przypominać sobie, że ma być cicho, ale chęć ucieczki była silniejsza od ostrożności; potknęła się na nierównym kawału ziemi i upadła na ręce i kolana. Kiedy starała się podnieść na nogi, nagle została przytłoczona czymś wielkim i ciepłym, co wbiło ją z powrotem w ziemię.

Zimny, czysty strach zamroził jej krew w żyłach, ale jeszcze zanim instynktownie mogła krzyknąć, jego ręka znalazła się na jej karku i wszystko stało się czarne.

* * *

Jane stopniowo odzyskiwała przytomność, zmylona tym, że wisi głową w dół, podskoki potęgowały cierpienie, i dyskomfort w ramionach. Dziwne odgłosy zaatakowały jej uszy, dźwięki, które próbowała zidentyfikować i nie udało jej się. Nawet wtedy, kiedy otworzyła oczy widziała tylko ciemność. To był jeden z najgorszych koszmarów, jaką kiedykolwiek miała. Zaczęła kopać i starała się obudzić, aby zakończyć ten sen, i nagle ostry klaps ukąsił ją w pośladki.

- Uspokój się, - powiedział zirytowany głos gdzieś wyżej i za nią. Głos należał do nieznanego, ale było coś w tym lakonicznym akcencie, że posłuchała go od razu.

Powoli wszystko zaczęło przybierać znajome formy, a jej zmysły powróciły do równowagi. Była przerzucona przez ramię mężczyzny, który

niósł ją przez dżunglę. Jej nadgarstki zostały związane taśmą z tyłu, również jej kostki były tak zabezpieczone. Inne szerokie pasmo taśmy zakrywało jej usta, uniemożliwiając jej nic więcej niż chrząkanie lub buczenie. Nie czuła się jak ogłuszona, więc użyła swojego buczonego głosu by wychrząkać dokładnie, co o nim myśli, w języku, który wprowadziłby jej elegancką matkę w szok. Twarda ręka ponownie nawiązała kontakt z tyłem jej spodni.

- Zamkniesz się w końcu? - warknął. - Brzmisz jak świnia chrząkająca przy korycie.

Amerykanin! pomyślała, oszołomiona. Był Amerykaninem! Przyszedł, aby ją uratować, chociaż był niepotrzebnie surowy w tym... ale czy on był jej wybawcą? Uspokajając się, pomyślała o tych wszystkich różnych frakcjach, które chciałyby dostać ją w swoje ręce. Niektóre z tych frakcji były w pełni zdolne do zatrudniania amerykańskiego najemnika, aby ją dopaść, lub wyszkolić jednego z nich, żeby naśladował amerykański akcent i zdobył jej zaufanie.

Zdała sobie sprawę, że nie odważy się zaufać nikomu. Nawet jednej osobie. Była w tym wszystkim sama.

Mężczyzna zatrzymał się i zdjął ją z ramienia, stawiając na nogi. Jane zamrugła oczami, a następnie rozszerzyła je, starając się coś zobaczyć, ale pod tym gęstym baldachimem panowała całkowita ciemność, tak że nie widziała niczego. Noc naciskała na nią, dusiła w pełnej ciemności. Gdzie on był? Czy miał po prostu przynieść ją tutaj do dżungli i zostawić jako śniadanie dla jaguara? Mogła wyczuć ruch wokół siebie, ale nie odgłosy, które mogłaby zidentyfikować jako jego, słyszała wycie, świergotanie, skrzeczenie i szeleści dżungli, które wypełniały jej uszy. Skarga wzrosła jej w gardle, i starała się przesunąć, żeby oprzeć się o drzewo lub coś innego w celu ochrony pleców, ale zapomniała, że ma związane stopy, potknęła się i upadła na ziemię, drapiąc sobie twarz o krzaki.

Ciche przekleństwo dotarło do jej uszu, a potem została brutalnie chwycona i postawiona na nogi.

- Stój spokojnie do cholery!

Więc on wciąż tu był. Jak mógł cokolwiek zobaczyć? Co teraz robi? Bez względu na to, kim był i co robił, w tym momencie Jane była wdzięczna za

jego obecność. Nie mogła pokonać lęku przed ciemnością, ale fakt, że nie była sama trzymał jej przerażenie w ryzach. Westchnęła, gdy nagle podniósł ją i ponownie zarzucił sobie na ramię, tak bez wysiłku, jakby była szmacianą lalką. Czowała, teraz wielki plecak, którego nie było tam wcześniej, ale nie wyczuła, żeby miało to dla niego jakąś różnicę. Poruszał się przez te styksowe ciemności z osobliwą zwinnością, gibko, z wielką gracją, która nigdy nie słabnie.

Jej plecak z ukradzionymi zapasami wciąż był zarzucony na jej ramiona, paski trzymały go, pomimo że zsunął się w dół i uderzał ją z tyłu głowy. A może to będzie waliło ją w czaszkę tak; że ona chyba dostanie wstrząsu mózgu, jak ten głupawy macho nie odpuści. Co on myśli, że to jest, maraton w dżungli? Jej żebra były posiniaczone o jego twarde ramiona, i czuła różne bóle na całym ciele, prawdopodobnie w wyniku jego brutalności przy rzuceniu jej na podłogę. Jej ramię bolało aż do kości od jego chwytu. Nawet jeśli to był prawdziwy ratunek, pomyślała, będzie miała szczęście jeśli to przeżyje.

Odbijała się już na jego ramieniu, wydawało się, że od wieków, ból w jej skrępowanych kończynach wzrastał z każdym jego krokiem. Zaczęły w niej narastać nudności i wzięła głęboki oddech, starając się powstrzymać wymioty. Jeśli zaczęłaby wymiotować, z ustami zaklejonymi taśmą, mogła się udusić. Rozpaczliwie zaczęła walczyć, wiedząc jedynie, że musi znaleźć się w pozycji pionowej.

- Spokojnie, Pris. - Jakoś zdawał się wiedzieć, jak się czuje. Zatrzymał się i zdjął ją z ramienia, kładąc ją na plecach na ziemi. Kiedy jej waga przycisnęła jej związane ramiona, nie mogła stłumić skowytu bólu.

- Wszystko w porządku, - powiedział mężczyzna. - Mam zamiar teraz rozciąć więzy, ale jeśli zaczniesz się szamotać, znowu obwiążę cię jak indyka na święta i zostawię w ten sposób. Zrozumiano?

Gwałtownie skinęła głową, zastanawiając się, czy mógłby zobaczyć ją w ciemności. Najwyraźniej mógł, bo odwrócił ją na bok i poczuła nóż przecinający taśmę, którą miała związane nadgarstki. Łzy pociekły jej z oczu z bólu, gdy chwycił jej nadgarstki i zaczął szorstko masować, aby rozruszać jej zdrtwiałe mięśnie.

- Twój ojciec wysłał mnie żeby cię stamtąd wyciągnął, - wycedził

spokojnie, kiedy zaczął łagodnie odklejać taśmę z jej ust. Zamiast zrywania taśmy wraz ze skórą, był ostrożny, i Jane była rozdarta między wdzięcznością i oburzeniem, odkąd po raz pierwszy zakleił jej taśmą usta.

Jane poruszyła ustami, tam i z powrotem, przywracając je do stanu używalności. - Mój tatuś? - spytała ochryple.

- Taa. No dobrze, teraz, Pris, mam zamiar uwolnić ci nogi, ale jeśli chociaż przez chwilę myślisz o kopnięciu mnie ponownie, to nie pójdzie ci tak łatwo, jak ostatnim razem. - Pomimo przeciągania głosek, było coś groźnego w jego głosie, i Jane nie wątpiła w jego słowa.

- Nie kopnęłabym cię i za pierwszym razem, gdybyś nie zaczął mnie obmacywać jak uczeń drugiej klasy szkoły średniej! - syknęła.

- Sprawdzalem tylko, czy oddychasz.

- Jasne, nie wątpię, że znalazłeś czas i na to.

- Zakneblowanie cię to był cholernie dobry pomysł, - powiedział w zamyśleniu, a Jane się zamknęła. Nie widziała go jako coś więcej niż cień. Nie знаła nawet jego imienia, ale wiedziała już o nim tyle, że on by znowu ją związał i zakneblował bez żadnych skrupułów.

Przeciął taśmę wokół jej kostek, i znów poddał ją swojemu szorstkiemu, ale skutecznemu masażowi.

Tylko przez moment czuła nacisk na nogi; potem rozłożyła je na chwilę zanim odzyskała poczucie równowagi.

- Nie mamy wiele czasu, musimy iść dalej; trzymaj się tuż za mną i nic nie mów.

- Poczekaj! - wyszeptała Jane gorączkowo. - Jak mogę iść za tobą, kiedy nie mogę cię zobaczyć?

Wziął ją za rękę i podniósł do pasa. - Trzymaj się za mój pasek.

Zrobiła nawet więcej. Doskonale zdając sobie sprawę z ogromnej dżungli wokół niej, i tego, że tylko jego obecność chroniła ją od nocnych strachów, chwyciła palcami pasek materiałowy spodni w śmiertelnym uścisku.

Ścisnęła materiał tak mocno, że aż mruknął w proteście, ale nie miała zamiaru go puścić.

Może to nie wydawało się zbyt długo dla niego, ale dla Jane, holowanej za nim, potykającej się o korzenie i kłaczka których nie widziała, wydawało się, że przeszli mile, zanim się zatrzymał.

- Poczekamy tutaj, - wyszeptał. - Nie chcę podchodzić bliżej, zanim nie usłyszę nadlatującego helikoptera.

- Kiedy to będzie? - zapytała Jane szeptem, zakładając, że jeśli on mógł mówić, to ona też.

- Zaraz po świcie.

- A kiedy nadejdzie świt?

- Za pół godziny.

Wciąż trzymając za pasek w spodniach, stanęła za nim i czekała na świt. Sekundy i minuty płynęły, ale dały jej szansę zrozumieć po raz pierwszy, że ona naprawdę uciekła Turego. Była bezpieczna i wolna... no prawie. Wyrwała się z jego szponów, i była jedyną, która wiedziała, że to był ostatni dzwonek na ucieczkę. Turego prawie na pewno wróci na plantację rano, i dowie się, że jego więzień uciekł. Przez chwilę była zaskoczona własnym brakiem uniesienia, ale potem zdała sobie sprawę, że nie jest jeszcze bezpieczna. Ten człowiek twierdził, że jej ojciec wysłał go po nią, ale nie zdradził jej swojego imienia i nie dał na to żadnego dowodu. Wszystko, co miała, to było jego słowo, a Jane była bardziej niż trochę nieufna. Dopóki nie znajdzie się na amerykańskiej ziemi, dopóki nie przekona się ponad wszelką wątpliwość, że jest bezpieczna, zamierza przestrzegać żelazną zasadę biednego George'a Persalla: gdy masz wątpliwości, kłam.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie, przyciągając jej uwagę.

- Słuchaj, kochanie, myślisz, że możesz poluzować uchwyt na moich spodniach? Chyba, że starasz się dokończyć to, co zaczęłaś swoim kolanem?

Jane poczuła krew napływającą do policzków, i szybko poluźniła uchwyt.

- Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, - wyszeptała. Stała sztywno przez chwilę, ramiona zwiesiła po bokach; zaraz potem zaczęła w niej narastać panika. Nie mogła go zobaczyć w ciemnościach, nie mogła usłyszeć jego oddechu, a teraz, kiedy już go nie dotykała, nie była pewna, czy jej nie opuścił. Czy on był tu jeszcze? A co jeśli została sama? Powietrze stało się gęste i ciężkie, a ona starała się głęboko oddychać, żeby zwalczyć strach, wiedziała, że to nierozsądne, ale nie przekonała o tym swojego umysłu. Nawet wiedza o źródle strachu nic nie pomogła. Ona po

prostu nie mogła znieść ciemności. Nie mogła spać bez światła; nigdy nie wchodziła do pokoju bez uprzedniego dosięgnięcia i włączenia włącznika światła, zawsze zostawiała światło, gdy wiedziała, że będzie późno wracać do domu. I teraz ona, ta która zawsze podejmowała nadzwyczajne środki ostrożności przeciwko pozostawaniu w ciemności, stała w środku dżungli w ciemności, tak kompletnej, że czuła się jak ślepa.

Jej krucha kontrola złamała się i wyciągnęła gwałtownie ręce, szukając go, żeby się upewnić, że nadal tu był. Rozpostarte palce dotknęły tkaniny, a ona rzuciła się na niego, dysząc z zaprawionej paniką ulgi.

W następnej sekundzie stalowe palce chwyciły jej koszulę i została rzucona do góry, a potem płasko na plecy w śmierzącą, gnijącą roślinność. Zanim mogła się ruszyć, zanim mogła zassać powietrze z powrotem do płuc, została chwycona za włosy i ponownie poczuła duszący nacisk kolana na piersi. Jego oddech był niski i chrapliwy i brzmiał niewiele inaczej niż warczenie, kiedy powiedział.

- Nigdy - przenigdy – nie zachodź mnie ponownie od tyłu.

Jane wiła się, spychając jego kolano. Po chwili zdjął je, i zwolnił chwyt na jej włosach. Nawet bycie rzucaną przez ramię było lepsze niż pozostawanie samej w ciemności, więc chwyciła go ponownie, łapiąc w okolicach kolan. Automatycznie próbował się cofnąć przed jej oplatającymi ramionami, ale rzuciła się na niego. Zaklął zaskoczony, próbował odzyskać równowagę a potem upadł na ziemię.

Leżał tak spokojnie, że serce Jane zamarło. Co zrobi, jeśli został ranny? Ona nie mogła go nieść, ale tym bardziej nie mogła zostawić go leżącego, ranego, nie będącego stanie się obronić. Dotykając wciąż jego ciała, zerwała się, przykucnęła i chwyciła go za ramiona.

- Proszę pana, czy wszystko w porządku? - szepnęła, poruszając rękoma w górę ramion do jego twarzy, a następnie obmacując głowę w poszukiwaniu ran lub ewentualnych guzów. Wokół głowy miał okręconą elastyczną opaskę, którą sprawdziła palcami i odkryła dziwny rodzaj okularów na oczy. - Czy jesteś ranny? - zażądała ponownie głosem napiętym ze strachu. - Cholera, odpowiedz mi!

- Damulko, - powiedział mężczyzna niskim, wściekłym głosem: - jesteś bardziej szalona niż cholera. Gdybym był twoim ojcem, zapłaciłbym

Turego żeby ciebie zatrzymał!

Nie знаła go, ale jego słowa spowodowały dziwny mały ból w klatce piersiowej. Siedziała w milczeniu, zszokowana, że mógł zranić jej uczucia. Nie znała go, a on jej – więc w jaki sposób jego opinia mogła mieć znaczenie? Ale tak właśnie było, a ona czuła się dziwnie bezbronna.

Podniósł się do pozycji siedzącej, a kiedy się nie odzywała, westchnął.

- Dlaczego tak na mnie skaczesz? - zapytał z rezygnacją.

- Boję się ciemności, - powiedziała z godnością. - Nie słyszałam jak oddychasz i nic nie widziałam. Spanikowałam. Przykro mi.

Po chwili powiedział: - W porządku, - i wstał. Pochylając się, chwycił ją za nadgarstki i pociągnął w górę, żeby stanęła obok niego. Jane przybliżyła się jeszcze trochę do niego.

- Możesz wszystko zobaczyć, bo masz na sobie te okulary, prawda? - zapytała.

- Tak. Nie dają dużo światła, ale na tyle, że mogę widzieć, gdzie idę. Soczewki na podczerwień.

Nagle wyjec krzyknął gdzieś nad ich głowami, i Jane podskoczyła, wpadając na niego. - Masz może jeszcze jedną parę? - spytała drżącym głosem.

Czuła, że się zawahał, ale potem jego ręka owinęła się wokół jej ramion.

- Nie, tylko te. Nie martw się, Pris, nie zamierzam cię zostawić. W ciągu kolejnych pięciu minut lub coś koło tego, zrobi się jaśniej.

- Już wszystko w porządku, - powiedziała, i tak było, tak długo, jak mogła go dotykać, wiedziała, że nie jest sama. To był prawdziwy strach: bycie samą w ciemności. Przez lata walczyła o walkę z koszmarami, które zaczęły się, gdy miała dziewięć lat, ale w końcu musiała to zaakceptować, i tym samym wygrała spokój. Wiedziała, że tam był, kiedy się go spodziewać i co zrobić, aby zapobiec temu, i ta wiedza dała jej możliwość cieszenia się życiem ponownie. Nie pozwalała, żeby koszmar ograniczał ją. Może jej metody zwalczania tego były trochę niekonwencjonalne, ale znalazła równowagę w sobie i była z tego zadowolona.

Czując się wyjątkowo bezpiecznie w tym stalowym uścisku ramion, Jane czekała, stojąc obok niego, i w bardzo krótkim czasie, stwierdziła, że rzeczywiście może zobaczyć trochę więcej. Głęboko w lesie deszczowym

nie było cudownego świtu ogłaszającego dzień - nie było widać wschodu słońca spod baldachimu roślinności. Nawet podczas najgorętszego południa, światło, które docierało do ziemi w dżungli było słabe, sączące się przez warstwy zieleni. Czekala aż słabe jasnoszare światło powoli staje się silniejsze, aż była w stanie wyłowić więcej szczegółów bujnych liści, które ją otaczały. Czuła się niemal przytłoczona przez żyjące rośliny. Przedtem, nigdy nie była w dżungli; jej wiedza o niej pochodziła z filmów i z tego co, była w stanie zobaczyć podczas podróży w górę rzeki do plantacji. Podczas czasu spędzonego na plantacji zaczęła myśleć o dżungli jak o żywej istocie, ogromnej i zielonej, otaczającej ją, wyczekującej. Od początku wiedziała, że w razie ucieczki będzie musiała zagłębić się w tą pozornie nieprzeniknioną zieloną barierę, więc godzinami wpatrywała się w nią.

Teraz była głęboko w niej, i to nie było całkiem to, czego się spodziewała. To nie była nieprzebyta gęstwina, gdzie ścieżki należało wycinać maczetą. Podłoże dżungli pełne było gnijącej roślinności i płataniny pnączy i korzeni, ale poza tym było zaskakująco czyste.

Roślinność, rosnąca nisko ziemi była skazana na porażkę. Żeby dostać się do cennego słońca musiały rosnać i rozprzestrzeniać swoje szerokie liście tak, aby zebrać jak najwięcej światła. Patrzyła na paproć, która nie była całkiem paprocią; była drzewem z rozbudowanym systemem korzeniowym, dochodzącym do wysokości co najmniej ośmiu stóp, tylko na górze podobnym do paproci.

- Teraz możesz już wszystko widzieć, - mruknął nagle mężczyzna, zabierając rękę z jej ramion i zdzierając gogle noktowizyjne. Umieścił je ostrożnie w kieszeni z suwakiem w swoim plecaku.

Jane zaczęła się mu przyglądać z otwartą ciekawością, życząc sobie, żeby światło było lepsze i mogłaby naprawdę go zobaczyć. To co zobaczyła spowodowało, że poczuła jakby w brzuchu zatrzepotała jej setka motyli. Potrzeba by było odwagi, żeby spotkać tego mężczyznę w ciemnym zaułku, pomyślała z dreszczem przerażenia. Nie wiedziała, koloru jego oczu, ale błyskały na nią z zaciętością, spod ciemnych brwi. Jego twarz była poczerniona, więc sprawiała, że te oczy były jaśniejsze. Jego jasne włosy były zbyt długie, więc przewiązał pasek materiału wokół głowy, aby zabrać

je z oczu. Był ubrany w tygrysi mundur kamuflujący, i uzbrojony jak na wojnę. Ogromny nóż miał zatknięty niedbale za pas a pistolet przypasany na lewym biodrze, niósł jeszcze karabin przewieszony przez prawe ramię. Jej rozbiegane, zaskoczone oczy wróciły z powrotem do twarzy, o silnych, ostrych rysach, która nie ujawniała emocji, chociaż był świadomy, że go taksuje.

- Wzięłeś to na niedźwiedzia, tak? - zażartowała, ponownie spoglądając na nóż. Z jakiegoś powodu wyglądał bardziej śmiertelnie każdy z pistoletów.

- Nie chodzę nigdzie nieprzygotowany, - powiedział stanowczo.

No cóż, na pewno wyglądał na przygotowanego na wszystko. Spojrzała na niego ponownie, tym razem bardziej rozważnie; miał około sześć stóp wzrostu, i wyglądał jak... wyglądał jak... Jej umysł po omacku usiłował znaleźć określenie. To obrzucanie się wzrokiem prawie zamieniło się w żart, ale z tym człowiekiem, było śmiertelnie poważne. Wyglądał jak szczupła, wredna, walcząca maszyna, z twardymi mięśniami pokrywającymi każdy centymetr jego ciała. Jego ramiona były niesamowicie szerokie, i niósł ją nieprzytomną przez dżunglę, nawet bez cienia wysiłku. Powalił ją dwa razy, i zdała sobie sprawę, że jedynym powodem, z którego nie została poważnie ranna było to, że za każdym razem, nie używał całej swojej siły.

Nagle jego uwagę przyciągnęło coś innego, a jego głowa uniosła się szybkim, alarmującym ruchem, jak u orła. Jego oczy zwęziły się, kiedy nasłuchiwał.

- Helikopter nadlatuje, - powiedział. - Chodźmy.

Jane nasłuchiwała, ale nic nie mogła usłyszeć.

- Jesteś pewny? - spytała z powątpiewaniem.

- Powiedziałem, chodźmy, - powtórzył niecierpliwie, i odszedł. Tylko kilka sekund zajęło Jane, aby zdać sobie sprawę, że w dżungli, będzie całkowicie niewidoczny, zanim odejdzie na dziesięć jardów. Szybko pobiegła za nim.

- Hej, zwolnij! - wyszeptała gorączkowo, łapiąc go za pasek.

- Ruszaj się, - powiedział z całkowitym brakiem sympatii. - Śmigłowiec nie będzie czekać wiecznie, zresztą Pablo jest szybciej.

- Kim jest Pablo?

- Pilotem.

Właśnie wtedy dotarła do jej uszu słaba wibracja. Za moment odgłos zamienił się w rozpoznawalny rytm helikoptera. Jak mogła nie słyszeć go wcześniej? Wiedziała, że ma dobry słuch, ale jego zmysły musiały być niemal boleśnie wyostrzone.

Ruszył szybko, pewnie, jak gdyby dokładnie wiedział, dokąd idzie. Jane skoncentrowała się na utrzymywaniu za nim i unikaniu korzeni, które próbowały złapać ją za palce i nie zwracała uwagi na otoczenie. Gdy wspiał się, ona wspięła się za nim; to było proste. Była lekko zaskoczona, gdy zatrzymał się gwałtownie i uniosła głowę, by się rozejrzeć. Dżungla w Kostaryce była górzysta, i wspinali się skrajem małego klifu, patrząc w dół na wąską, ukrytą w dolinie naturalną polanę. Śmigłowiec wylądował tam, jego śmigła wirowały leniwie.

- To lepsze niż taksówka, - mruknęła Jane z ulgą, i zatrzymała się obok niego.

Zacisnął dłoń na jej ramieniu i szarpnął ją z powrotem za siebie.

- Cicho bądź, - nakazał a jego zwięzione spojrzenie poruszało się niespokojnie, badając teren.

- Czy coś jest nie w porządku?

- Zamknij się!

Jane spojrzała na niego, oburzona jego niepotrzebnym chamstwem, ale jego ręka wciąż była zaciśnięta na jej ramieniu w uchwycie, który był prawie bolesny. To było ostrzeżenie, że gdyby próbowała opuścić chroniącą ich dżunglę zanim on będzie pewny, że jest bezpiecznie, to on zatrzyma ją z prawdziwym bólem. Stała spokojnie, widząc wyraźnie, ale nie widziała nic złego. Wszędzie było cicho. Pilot stał oparty na zewnątrz helikoptera, zajęty czyszczeniem paznokci; na pewno nic go nie niepokoiło.

Mijały długie minuty. Pilot zaczął się wiercić, wyciągając szyję i wpatrując się w dżunglę, choć ktoś, kto stał zaledwie kilka metrów za drzewami był już całkowicie niewidoczny. Spojrzał na zegarek, a następnie ponownie przeskanował dżunglę, jego wzrok biegł nerwowo od lewej do prawej.

Jane wyczuła napięcie w człowieku stojącym obok niej, napięcie, które

było wyczuwalne w ręku, kiedy trzymał ją za ramię. Co było nie tak? Czego szukał, i dlaczego czekał? Był tak nieruchomy jak jaguar czyhający na zdobycz przechodzącą pod konarami drzewa.

- Coś tu śmierdzi, - mruknął nagle, cofając się w głąb dżungli i pociągając ją ze sobą.

Jane wybełkotała nieelegancko. - Śmierdzi? Dlaczego? Co się stało?

- Zostań tu. - Pchnął ją na ziemię, głęboko w zielono-czarny cień wystających korzeni ogromnego drzewa. Tak ją zaskoczył, że dopiero po chwili uświadomiła sobie, że została porzucona. On po prostu wtopił się w dżungłę, tak cicho i szybko, że nie była nawet pewna, w którą stronę poszedł. Rozejrzała się, ale nie zobaczyła nic, co wskazało by w którą stronę poszedł; żadnych kołyszących się pnączy, czy gałęzi.

Owinęła ręce wokół zgiętych nóg i oparła brodę na kolanach, wpatrując się w zamyśleniu w ziemię. Zielony kijek z nogami był wleczony przez dużego pająka na pożarcie. A co jeśli on nie wróci... kimkolwiek był.

Dlaczego nie zapytała go o imię? Jeśli coś by mu się stało, to chciałaby poznać jego imię, żeby powiedzieć komuś - zakładając, że uda jej się wydostać z dżungli samej. Cóż, teraz nie była w dużo gorszej sytuacji niż wcześniej. Uciekła od Turego, i tylko to się liczyło.

Poczekaj tutaj, powiedział. Ale jak długo? Do obiadu? Do zachodu słońca? Do swoich następnych urodzin? Mężczyźni dawali takie niedokładne instrukcje! Oczywiście, ten konkretny mężczyzna wydawał się trochę ograniczony w dziedzinie rozmów. Zdania: zamknij się, zostań tutaj i nie ruszaj się, zdawały się być podstawą jego repertuaru.

Zostawił ją pod dość dziwnym drzewem. Na ziemi było pełno splątanych korzeni, tworzących olbrzymie skrzydła, które owijały się wokół niej niemal jak ramiona. Jeśliby usiadła z powrotem przy drzewie, te skrzydła uczyniły ją niewidoczną dla kogokolwiek zbliżającego się pod dowolnym kątem, za wyjątkiem głowy.

Paski z jej plecaka wbijały się jej w ramiona, więc zsunęła go i przeciągnęła się, czując się znacznie lżej. Obróciła plecak dookoła i otworzyła go, i zaczęła przekopywać go w poszukiwaniu szczotki do włosów. Zdobycie tego plecaka było łutem szczęścia, pomyślała, mimo to żołnierze Turego naprawdę powinny bardziej pilnować swojego dobytku.

Bez tego, Musiałaby zawinąć rzeczy w koc, co byłoby niewygodne.

Wreszcie zlokalizowała szczotkę, i zaczęła gorliwie przebijać się przez splątaną masę, w którą w nocy zamieniły się jej długie włosy. Mała małpka z oburzonym wyrazem na pyszczku wisiała na gałęzi nad jej głową. Beształa ją i była ewidentnie zła, że Jane śmiała wtargnąć na jej terytorium. Machnęła na to ręką.

Gratulując sobie przenikliwości, spięła włosy i wyciągnęła czarną czapkę baseballową z plecaka. Ścisnęła daszek i pociągnęła go nisko na oczy, a potem uniosła z powrotem. Na dole nie było słońca. Wpatrując się w górę, widziała jasne punkciki słońca wysoko w drzewach, ale tutaj dochodziło tylko wyciszone zielone światło sączące się na ziemię. Byłoby jej lepiej z tymi fantastycznymi goglami. Czy jak tam one się zwa.

Jak długo już to siedzi? Czy on wpadł w tarapaty?

Zaczynały drętwieć jej nogi, więc wstała i zaczęła chodzić wokół żeby pobudzić krążenie. Im dłużej czekała, tym bardziej czuła się niepewnie i miała wrażenie, że przyjdzie moment, kiedy będzie musiała poruszać się szybko. Jane wierzyła w instynkt, była wrażliwa na nastroje jak barometr. Ta cecha pozwoliła jej utrzymać na dystans Turego co wydawało się niekończącym ciągiem kolejnych dni i nocy w odczytywaniu go, omijaniu, trzymaniu w gotowości, a nawet oczarowaniu. Teraz ten sam instynkt ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem. Była to jakaś niewielka zmiana w samym powietrzu, które gładziło jej nagie ramiona. Ostrożnie, pochyliła się, by podnieść swój plecak, wkładając ręce przez pasy i mocując trzecim paskiem wokół jej talii.

Nagle grzmot wybuchu automatycznej broni, zakręcił nią, jej serce skoczyło do gardła. Słuchając rytmicznych trzasków, wiedziała, że strzelano z kilku pistoletów, ale z czyich? Czy jej przyjaciel został wykryty czy było to coś zupełnie innego? Czy to te kłopoty wyczuł, co kazało mu uciekać z polany? Chciała, myśleć, że jest bezpieczny i niewidzialny obserwuje wszystko z punktu w dżungli, ale z nagłym chłodem zdała sobie sprawę, że nie może wziąć tego za pewnik.

Ręce zrobiły się jej zimne, i z pewnym zaskoczeniem uświadomiła sobie, że drżą. Co powinna zrobić? Czekać, czy uciekać? A co jeśli on potrzebuje pomocy? Zdała sobie sprawę, że bardzo niewiele mogła zrobić, ponieważ

była nieuzbrojona, a nie mogła tak po prostu uciec, jeśli on potrzebował pomocy. Nie był to najmilszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkała, i wciąż nie do końca mu ufała, ale był najbardziej zbliżoną rzeczą do przyjaciela, jaką tutaj miała.

Ignorując niechęć w nogach i lodowatą bryłę strachu w brzuchu, Jane opuściła schronienie olbrzymiego drzewa i zaczęła ostrożnie przedzierać się przez las, w kierunku polany. Teraz było słychać tylko sporadyczne odgłosy strzałów, wciąż pochodzące z tego samego kierunku.

Nagle zamarła, słaby dźwięk głosów przebił się przez las. W zimnej panice ona zanurkowała pod korzenie innego dużego drzewa. Co robi, jeśli oni idą w tym kierunku? Szorstka kora porysowała jej ręce, kiedy ostrożnie podniosła głowę aby rozejrzeć się wokół pnia.

Stalowa ręka zacisnęła się na jej ustach. Zanim zdążyła wydać jakikolwiek krzyk, głęboki, wściekły głos warknął jej do ucha.

- Cholera, mówiłem ci, żebyś się nie ruszała!

ROZDZIAŁ 3

Jane spojrzała na niego sponad ręki, która nadal zakrywała jej usta, jej strach zamienił się w spokojny gniew. Nie lubiła tego człowieka. Nie lubiła go w ogóle, i jak tylko wydobędą się z tego bałaganu, miała zamiar mu o tym powiedzieć!

Zdjął rękę z jej twarzy i popchnął ją na ziemię, żeby się położyła.

- Czołgamy się, - nakazał surowym szeptem, i wskazał na ich lewą stronę.

Jane zaczęła się czołgać, ignorując szarpiące ją gałęzie, które drapały ją kiedy wiała się przez zarośla, ignorując nawet obrzydliwą maź, kiedy przypadkowo coś rozgniotła ręką. Dziwne, ale teraz, kiedy był z nią ponownie, jej panika znikła; nie odeszła zupełnie, ale nie było to już łomotanie serca i mdłości. Niezależnie od błędów jakie popełnił, znał się na swojej robocie. Siedział dosłownie na jej ogonie, obok jej pleców i ud, przesuując ją dalej, kiedy myślał, że nie porusza się wystarczająco szybko. Raz zatrzymał ją w prosty sposób chwytając kostkę i szarpiąc jej ciałem, jego nagły uścisk był ostrzeżeniem, żeby być cicho. Wstrzymała oddech, wsłuchując się w lekkie szelesty, które zdradziły obecność kogoś lub czegoś w pobliżu. Nie odważyła się odwrócić głowy, ale mogła wykryć ruch kątem oka. Po chwili człowiek był na tyle blisko, że mogła go widzieć wyraźnie. Oczywiście był Latynosem, a ubrany był w mundur kamuflujący i czapkę z daszkiem na głowie. Przed sobą trzymał w pogotowiu automatyczny karabin. Za moment zniknął i nie mogła go już zobaczyć czy usłyszeć, ale oni pozostali bez ruchu w gęstym gąszczu paproci na długie męczące minuty. Potem jej kostka została uwolniona i ręką na biodrze popchnęła ją do przodu.

Odchodzili od żołnierza pod kątem prostym. Być może mieli spróbować dostać za swoich prześladowców, a następnie wsiąść do helikoptera, podczas gdy żołnierze szukali ich wciąż głęboko w dżungli. Chciała wiedzieć, dokąd idą, co zrobią, kim byli ci żołnierze i co chcieli - ale pytania musiały pozostać na razie bez odpowiedzi. Teraz zdecydowanie nie był czas na rozmowy, nie z tym człowiekiem – jakkolwiek miał na imię - praktycznie przepychającym ją przez zarośla.

Nagle las nieco się przerzedził, dzięki czemu widać było małe plamy

światła słonecznego, które przedostawały się przez gąszcz. Chwytną ją za rękę, pociągnął na nogi. - Biegnij, ale bądź tak cicho, jak to tylko możliwe, - syknął jej do ucha.

Cudownie. Biegnij, ale zrób to po cichu. Rzuciła mu złe spojrzenie, a następnie pobiegła, niczym spłoszony jelen. Najbardziej obrzydliwe było to, że był tuż za nią, a ona nawet nie mogła go usłyszeć, podczas gdy jej własne nogi zdawały się bić ziemię jak bęben. Ale jej ciało wydawało się nie przejmować małą ilością światła słonecznego, ponieważ czuła wzrost poziomu energii, mimo bezsennej nocy. Plecak na ramionach wydawał się lżejszy, a jej kroki stały się szybkie i łatwe, kiedy adrenalina zaczęła pompować w jej żyłach.

Gęstwina stała się grubsza, i musieli zwolnić swoje tempo. Po około piętnastu minutach zatrzymał ją kładąc rękę na jej ramieniu i ciągnąc za pień drzewa. - Odpocznij chwilę, - wyszeptał. - Wilgotność cię wykończy, jeśli nie jesteś do tego przyzwyczajona.

Do tego momentu Jane nie zauważyła, że była cała mokra od potu. Była zbyt skoncentrowana na ratowaniu swojej skóry, żeby się martwić o pocenie. Teraz zdała sobie sprawę z intensywnej wilgotności lasów tropikalnych, naciskających na nią i powodując, że każdy oddech wydobywał się ciężko z jej płuc. Otarła pot z twarzy, sól kłuła małe zadrapania na policzkach.

Wyjął z plecaka manierkę. - Napij się, wyglądasz jakby było ci to potrzebne.

Wiedziała bardzo dobrze jak wyglądała i uśmiechnęła się ironicznie. Przyjęła manierkę i napiła się trochę wody, a następnie zamknęła ją i oddała mu. - Dzięki.

Spojrzał na nią pytająco. - Możesz wypić więcej, jeśli chcesz.

- Czuję się dobrze. - Spojrzała na niego, widząc teraz, że jego oczy miały osobliwy złoto brązowy kolor, jak bursztyn. Jego źrenice wydawały się przenikliwie czarne na tym płowym tle. Miał smugi potu jak ona, ale nie dyszał jeszcze tak ciężko. Kimkolwiek był, cokolwiek robił, był w tym cholernie dobry. - Jak masz na imię? - spytała go, rozpaczliwie potrzebując jakoś go nazywać, jakby dać mu więcej istoty, uczynić go bardziej znajomym.

Wyglądał na trochę nieufnego, i wyczuła, że nie lubił nawet dawać z siebie tyle. Imię było tylko małą rzeczą, ale to była szczelina w jego zbroi, połączenie z inną osobą, którego nie chciał.

- Sullivan, - powiedział w końcu niechętnie.

- To imię czy nazwisko?

- Nazwisko.

- A imię?

- Grant.

Grant Sullivan. Podobało jej się. Nie było to nic nadzwyczajnego; i on taki właśnie był. Bardzo różnił się od modnie wyrafinowanych mężczyzn, których zazwyczaj spotykała, ale ta różnica była ekscytująca. Był twardy i niebezpieczny, taki jak powinien być, ale nie był okrutny. Kontrast między nim a Turego, który był naprawdę okrutnym człowiekiem nie mógł być bardziej jednoznaczny.

- Chodźmy, - powiedział. - Musimy znaleźć się dalej od pościgu.

Posłusznie za nim poszła, ale okazało się, że zastrzyk adrenaliny już przeminął. Czowała się bardziej zmęczoną, niż była przed tym krótkim odpoczynkiem. Potknęła się, zahaczając nogą o korzeń liany, ale uratował ją szybkim chwytem. Posłała mu zmęczony uśmiech podziękowania, ale kiedy próbowała się od niego odsunąć nadal ją trzymał. Stał sztywny i to ją przeraziło. Szarpnęła się, żeby spojrzeć na niego, ale jego twarz była zimną, pustą maską, a on patrzył na coś za nią. Znow się odwróciła i spojrzała wprost w lufę karabinu.

Pot zakrzepł na jej ciele. Przez jedną chwilę mrozącego terroru oczekiwała na rozstrzelanie; ten moment minął, a ona wciąż żyła. Była wtedy w stanie spojrzeć obok lufy na twarzą, ciemną twarz żołnierza, który trzymał karabin. Jego czarne oczy były zwężone, zwrócone na Sullivana. Powiedział coś, ale Jane była zbyt zdenerwowana, aby teraz rozumieć po hiszpańsku.

Powoli, rozważnie, Sullivan wypuścił Jane i uniósł ręce, zakładając je na czubku głowy. - Odsuń się ode mnie, - powiedział cicho.

Żołnierz rzucił mu jakiś rozkaz. Jane wytrzeszczyła oczy. Jeśli przesunie się chociaż o centymetr, ten maniak pewnie ją zastrzeli. Ale Sullivan kazał się jej odsunąć, więc się odsunęła, jej twarz była tak biała, że widać małe

białe piegi na jej nosie, wyróżniające się jak jasne plamki koloru. Lufa karabinu przesunęła się gwałtownie w jej kierunku, a żołnierz powiedział coś jeszcze. Jane nagle zdała sobie sprawę, że był zdenerwowany. Napięcie w jego głosie było oczywiste, jak i w jego szarpiących ruchach. Boże, jeśli jego palec na spuście drgnie...! Następnie, nagle ponownie wycelował karabin w Sullivana.

Sullivan coś planował. Mogła to wyczuć. Głupiec! Zabije się, gdy spróbuje skoczyć na tego faceta! Patrzyła na drżące ręce żołnierza trzymające karabin, i nagle coś wskoczyło do jej świadomości. To nie był karabin automatyczny. Zajął jej chwilę, aby uświadomić sobie kolejne konsekwencje; potem zareagowała instynktownie. Jej ciało, wyćwiczone w tańcu, wytrenowane w pełnych wdzięku ruchach samoobrony, poruszyło się płynnie. On zareagował ułamek sekundy później, wymachując bronią, ale przez to, że była na tyle blisko, że jej lewa stopa przeszła w górę pod lufą pistoletu i strzał, który nastąpił trafił w baldachim nad ich głowami. Nie dostał szansy kolejnego.

Grant był już na nim, chwytając broń jedną ręką a drugą uderzając w nieosłoniętą szyję mężczyzny. Oczy żołnierza się zaszklily i osunął się bezwładnie na ziemię, jego oddech był chrapliwy, ale stabilny.

Grant chwycił rękę Jane. - Biegniemy! Ten strzał ściągnie tu wszystkich, którzy nas szukają!

Ponaglenie w jego głosie pozwoliło jej go posłuchać, choć szybko traciła swoje pozostałe rezerwy energii. Jej nogi były jak z ołowiu, a jej buty ważyły po pięćdziesiąt funtów każdy. Uda paliły ją w agonii, ale zmusiła się, by to zignorować; ból mięśni, nie były aż tak trwałe, jak bycie martwym. Ponaglana przez jego ręce na swoich plecach, potykała się na korzeniach i przedzierała przez krzaki, dodając kolejne zadrapania do swojej kolekcji. To był czysto naturalny mechanizm obronny, gdzie jej umysł się zamknął, a jej ciało działało automatycznie, jej stopy były w ruchu, a płuca pracowały rozpaczliwie w ciężkim, wilgotnym powietrzu. Była tak zmęczona, że nie czuła już bólu w swoim ciele.

Nagle ziemia uciekła jej spod stóp. Jej zmysły były stępione zarówno przerażeniem jak i zmęczeniem - nie była w stanie odzyskać równowagi. Grant chwycił ją, ale bezwładność jej ciała przesunęła ich na krawędź

wzgórza. Jego ramiona owinęły się wokół niej, i stoczyli się po stromym zboczu. Ziemia i drzewa obracały się szaleńczo, aż ujrzała skalisty, płytki strumień na dole stoku, i ochrypli krzyk wyrwał się z jej gardła. Niektóre z tych skał były na tyle duże, aby ich zabić a mniejsze mogły pociąć na kawałki.

Grant zaklął i zacisnął mocniej ramiona aż pomyślała, że jej żebra pękną pod tym naciskiem. Poczowała jak napiął mięśnie, wykonał desperacki skręt, i jakoś udało mu się przekręcić stopami do przodu. Co spowodowało, że zjeżdżali w dość wyprostowanej pozycji, ale się nie toczyli. Wbił pięty i zwolnili, a następnie zatrzymali się. - Pris? - zapytał szorstko, chwytając za jej brodę i odwracając twarz, aby mógł ją zobaczyć. - Nic ci nie jest?

- Nie, nie, - zapewniła go szybko, ignorując nowe bóle w swoim ciele. Jej prawa ręka nie była złamana, ale mocno posiniaczona; skrzywiła się, gdy próbowała ją ruszyć. Jeden z pasków w plecaku pękł, i wisiał krzywo się jej lewym ramieniu. Nie miała też czapki.

Grant poprawił karabin na ramieniu, i Jane zastanawiała się, jak się udało go utrzymać. Czy on nigdy nic nie upuścił, nic nie zgubił, nigdy nie był zmęczony, albo głodny? Nawet nie widziała, żeby wziął z łyk wody!

- Zgubiłam czapkę, - powiedziała, odwracając się by popatrzeć w górę zbocza. Szczyt był prawie trzydzieści metrów nad nimi a zbocze dość strome, więc to cud, że nie rozbili się o skały w potoku.

- Widzę ją. - Rzucił się w górę zbocza, zwinny i pewny. Zerwał czapkę z połamanej gałęzi i po chwili był z powrotem. Wkładając jej czapkę na głowie, zapytał: - Dasz radę przejść na drugą stronę?

Nie ma mowy, pomyślała. Jej ciało nie chciało już działać dłużej. Spojrzała na niego i uniosła podbródek. - Oczywiście.

Nie uśmiechnął się, ale zauważyła jak złagodniała mu twarz, jak gdyby wiedział, jak bardzo była zmęczona. - Musimy iść dalej, - powiedział, biorąc ją za rękę i popychając ją przez strumień. Nie obchodziło jej już, że buty były zmoczone; cała była zalana przez wodę, przesuając się w dół strumienia, podczas gdy on przeszukiwał brzeg żeby znaleźć łatwe miejsce do wspinania się. Na tej stronie strumienia, brzeg nie był ścięty; był prawie pionowy i pokryty czymś, co wyglądało jak nieprzenikniona płatanina pnączy i krzewów. Strumień stworzył wyrwę w liściach, która dawała

więcej światła słonecznego wlewającego się w dół i pozwalającego roślinom rosnać bardziej gęsto.

- Dobra, idziemy tędy, - powiedział w końcu, wskazując. Jane uniosła głowę i spojrzała na brzeg, ale nie zauważyła żadnej przerwy w dzikim gąszczu.

- Może jednak najpierw o tym porozmawiamy, - wykręcała się.

Westchnął z irytacją. - Posłuchaj, Pris, wiem, że jesteś zmęczona, ale...

Coś pękło w środku Jane, i odwróciła się do niego, łapiąc go za przód koszuli i chwytając w pięści. - Jeśli powiesz do mnie "Pris" choć jeszcze raz, to nakarmię tobą ryby! - ryknęła, bezzasadnie zła na ciągłe używanie przez niego tego znienawidzonego imienia. Nikt, ale to nikt, nigdy nie mówił do niej Priscilla, Pris, czy nawet Cilia więcej niż jeden raz. A ten cholerny komandos wycierał sobie tym twarz od początku. Siedziała cicho, bo stwierdziła, że była mu to winna za kop w krocze, ale była zmęczona, głodna, przestraszona i dość tego!

Poruszył się tak szybko, że nawet nie miała czasu, by mrugnąć. Jego ręka wysunęła się i złapał ją za zaciśnięte pięści, a palce drugiej ręki splótł wokół nadgarstka, usuwając uścisk ze swojej koszulki. - Cholera, nie możesz być ciszej? Nie ja dałem ci na imię Priscilla, twoi rodzice to zrobili, więc jeśli ci się nie podoba, powiedz to im. Ale do tego czasu masz się wpinać!

Jane zaczęła się wspinać, mimo że była pewna, że w każdym momencie może upaść na twarz. Chwytając za pnącza, używając korzeni, skał, krzewów i małych drzew, wiła się i poruszała przez listowie. Zieleń była tak gęsta, że nawet gdyby tutaj roiło się od jaguarów i nie byłaby w stanie zobaczyć ani jednego, dopóki nie wsunęłyby dłoni w jego pysk. Przypomniała sobie, że jaguary lubiły wodę, spędzając większość czasu na odpoczynku w pobliżu rzeki lub strumienia, i przysięgła zemstę Grantowi Sullivanowi za zrobienie jej tego.

Wreszcie dotarła na górę, i po przepchnięciu się jeszcze kilku metrów do przodu, gęstwina po raz kolejny z się rozrzedziła, a chodzenie stało się o wiele łatwiejsze. Poprawiła plecak, krzywiąc się, kiedy odkryła nowe sińce.

- Czy zmierzamy do helikoptera?

- Nie, - odpowiedział krótko. - Śmigłowiec jest obserwowany.

- Kim są ci ludzie?

Wzruszył ramionami. - Kto wie? Może sandiniści; Jesteśmy tylko kilka kroków od granicy Nikaragui. Może to być każdy odłam partyzantów. Ten cholerny Pablo nas sprzedał...

Jane nie traciła czasu na martwienie się dwulicowością Pablo; była zbyt zmęczona, żeby ją to naprawdę obchodziło. - Więc gdzie idziemy?

- Na południe.

Zacisnęła zęby. Uzyskiwanie informacji od tego człowieka przypominało wrywanie zębów. - Gdzie na południe?

- Może Limon. Teraz idziemy na wschód.

Jane wiedziała wystarczająco dużo o Kostaryce, aby wiedzieć, co leży na wschodzie, i nie podobało jej się, co usłyszała. Na wschodzie było wybrzeże Karaibów, gdzie las deszczowy zamieniał się w bagno. Jeśli byli tylko kilka kilometrów od granicy Nikaragui, to Limon było około stu mil stąd. Z jej zmęczeniem, poczuła, że równie dobrze może to być pięćset mil. Ile czasu zajmie im przejście stu mil? Cztery, pięć dni? Nie wiedziała, czy da radę wytrzymać cztery lub pięć dni z Panem Słonecznym. Znała go mniej niż dwanaście godzin, i była już bliska śmierci.

- Dlaczego nie możemy po prostu iść na południe i zapomnieć o wschodzie?

Kiwnął głową w kierunku, z którego nadeszli. - Ze względu na nich. To nie byli ludzie Turego, ale Turego wkrótce dowie się, że idziemy w tym kierunku, i przyjdzie po nas. On nie może sobie pozwolić, żeby rząd dowiedział się o jego małych tajnych operacjach. Więc... idziemy tam, gdzie on nie może nas łatwo śledzić.

To miało sens. Nie podobało jej się, ale miało sens. Nigdy nie była na karaibskim wybrzeżu Kostaryki, więc nie wiedziała, czego się spodziewać, ale to musiało być lepsze niż bycie więźniem Turego. Jadowite węże, aligatory, ruchome piaski, cokolwiek... wszystko było lepsze niż Turego. Będzie się martwić o bagna, kiedy się już na nich znajdzie. Ułożywszy to sobie w głowie, wróciła do najbardziej palącego problemu.

- Kiedy wreszcie odpoczniemy? I coś zjemy? I, szczerze mówiąc, Attyło, możesz sobie mieć pęcherz wielkości New Jersey, ale ja muszę iść dalej.

I znowu złapała jego niechcące drgnięcie na ustach, jakby prawie się uśmiechnął. - Nie możemy jeszcze się zatrzymać, ale możesz jeść idąc. Jeśli chodzi o inne rzeczy, możesz iść za drzewa, tam. - Wskazał palcem, i odwróciła się, żeby zobaczyć kolejne z tych wielkich drzew, z zabawnymi, ogromnymi podpierającymi się korzeniami. W przypadku braku toalety musiała to zrobić. Pograżyła się więc w schronie.

Gdy zaczęli iść ponownie, dał jej coś twardego i ciemnego do gryzienia; smakowało lekko jak mięso, ale po podejrzliwym zbadaniu, postanowiła nie wypytywać się zbyt dokładnie co to jest. Ta rzecz złagodziła bóle pustego żołądka, a po przepłukaniu kilku gryzów ostrożnymi łykami wody, zaczęła czuć się lepiej i ustąpiło gumowate uczucie z lewej nogi. Żucie przez niego tego samego, upewniło ją, co do jego człowieczeństwa.

Jednak po przejściu kilku godzin, Jane zaczęła tracić siły, które pochodziły z jej drugiego oddechu. Jej nogi poruszały się niezgrabnie, a ona czuła się tak, jakby brodziła w wodzie po kolana. Temperatura wzrastała stopniowo; teraz było ponad trzydzieści dwa stopnie, nawet pod grubą osłoną zieleni. Wilgotność wysuszała ją, kiedy pociła się, tracąc wodę, której nie mogła uzupełnić. Właśnie kiedy miała już mu powiedzieć, że nie zrobi kolejnego kroku, odwrócił się i obejrzał z bezosobowym profesjonalizmem.

- Zostań tu, a ja znajdę dla nas jakieś schronienie. Za chwilę zacznie padać, więc równie dobrze możemy to przeczekać. A tak poza tym, wyglądasz jeszcze całkiem nieźle.

Jane ściągnęła czapeczkę i wytarła przedramieniem spływającą potem twarz, zbyt zmęczona, żeby komentować, kiedy on rozmazywał się w jej oczach. Skąd wiedział, że zacznie padać? Oczywiście padało prawie codziennie, więc nie trzeba było być wróżką, by przewidzieć deszcz, ale nie słyszała grzmotów, które zwykle to poprzedzały.

Wrócił za krótki czas, wziął ją za rękę i zaprowadził na małe wzniesienie, gdzie leżało kilka rozproszonych głazów pochodzenia wulkanicznego. Wyciągnął zza pasa nóż, uciął małe gałęzie i przymocował je razem z kłaczami, a następnie oparł jeden koniec tego ustrojstwa poprzez zaklinowanie zdrewniałych części w rogach. Niczym magik wyciągnął zwinięty brezent ze swojego plecaka, przywiązał brezent nad szkieletem,

robiąc to wodoodporne. - Cóż, możesz się wczłogać i rozgościć, - warknął, kiedy Jane stała po prostu, patrząc w zdumieniu na schronienie, które zbudował w ciągu kilku minut.

Posłusznie wczłogała się, jęcząc z ulgi, kiedy zrzuciła plecak i rozluźniła bolące mięśnie. Jej uszy złapały pierwszy odległy huk gromu; cokolwiek robił w życiu, ten facet na pewno wiedział jak przeżyć w dżungli.

Grant zanurkował pod osłonę również uwalniając barki z ciężaru plecaka. Najwyraźniej zdecydował, że podczas czekania aż przestanie padać deszcz mogą zjeść, bo wyciągnął kilka puszek z racjami polowymi.

Jane usiadła prosto i pochyliła się, wpatrując się w puszki. - Co to jest?

- Jedzenie.

- Jakie jedzenie?

Wzruszył ramionami. - Nigdy nie patrzyłem na to wystarczająco długo, aby to zidentyfikować. Dobrze ci radzę: nie myśl o tym tylko jedz.

Położyła dłoń na jego, kiedy zaczął otwierać puszki. - Czekaj. Dlaczego nie zachowujemy ich do przymusowych sytuacji?

- To jest właśnie przymusowa sytuacja, - mruknął. - Musimy jeść.

- No tak, ale nie musimy jeść tego!

Rozdrażniony napiął swoje twarde rysy. - Kochanie, albo zjemy to, albo dwie kolejne puszki dokładnie tego samego!

- Oh, ty człowieku małej wiary, - wyśmiała go, przyciągając bliżej własny plecak. Zaczęła grzebać w nim, a po chwili wyciągnęła niewielką paczkę owiniętą w ukradziony ręcznik. Z westchnieniem triumfu odwinęła go pokazując dwie bardzo uszkodzone, ale nadal jadalne kanapki, po czym wróciła do plecaka, żeby pogrzebać w nim ponownie. Z zaczerwienioną od sukcesu twarzą, wyjęła dwie puszki soku pomarańczowego. - Masz! - powiedziała wesoło, podając mu jedną z puszek. - Kanapka z masłem orzechowym i galaretką oraz puszka soku pomarańczowego. Białka, węglowodany i witamina C. Czego więcej mogliśmy chcieć?

Grant wziął kanapkę i puszkę, którą mu ofiarowała, patrząc na nie z niedowierzaniem. Zamrugał raz, a potem stała się niesamowita rzecz: roześmiał się. To nie był głośny śmiech. Był raczej jak zardzewiały, ale ujawnił jego proste, białe zęby i zmarszczki w kącikach bursztynowych oczu. Szorstkość tego śmiechu spowodowało u niej trochę śmieszne

uczucie w klatce piersiowej. Było oczywiste, że rzadko się śmiał, że w jego życiu nie było zbyt dużo powodów do śmiechu i poczuła w tej samej chwili radość, że dała mu powód do śmiechu i smutek, że tak mało się śmiał. Bez śmiechu, nigdy nie zachowałaby swojego zdrowia psychicznego, więc wiedziała, jak cenne to było.

* * *

Żując swoją kanapkę, Grant rozkoszował się lepkością masła orzechowego i słodyczą galaretki. Co z tego, że chleb był już trochę czerstwy? Nieoczekiwana uczta sprawiła, że takie szczegóły stały się nieistotne. Odchylił się do tyłu i oparł o swój plecak, wyciągając długie nogi przed siebie. Pierwsze krople deszczu zaczęły uderzać o brezent. Byłoby to niemożliwością, aby ktokolwiek śledził ich w trakcie ulewy, która nadejdzie, nawet jeśli ci partyzanci mieli ze sobą indiańskiego tropiciela, w co wątpił. Po raz pierwszy, odkąd zobaczył helikopter z rana, zrelaksował się, i nie dręczyło go jego wysoko rozwinięte poczucie zagrożenia.

Skończył kanapkę i wlał resztę soku pomarańczowego do gardła, a potem spojrzał na Jane żeby zobaczyć jak delikatnie zlizuje resztki galaretki z palców. Spojrzała na niego, łapiąc jego wzrok, i posłała mu radosny uśmiech, który ukazał na moment dołeczki, a następnie wróciła do czyszczenia palców.

Wbrew swojej woli, Grant poczuł, że jego ciało skreśliło się w fali pożądania, które zaskoczyło go swoją siłą. Była urocza, okay, ale nie tak, jak się spodziewał. Spodziewał się zepsutej, bezradnej, rozdrażnionej debiutantki, a zamiast tego ona miała ducha i czystą odwagę, żeby rzucić się w głąb dżungli z dwoma kanapkami z masłem orzechowym i sokiem pomarańczowym jako zapasami. Ubrana była rozsądnie, w dobre solidne buty, zielone spodnie khaki i czarną bluzkę z krótkimi rękawami. Nie było to zgodne z zasadami mody, ale miał już kilka rozprasających momentów idąc za nią, widząc te spodnie wypychające jej zgrabne pośladki. Nie był w stanie zapobiec głębokiemu męskiemu uznaniu dla miękkich krągłości jej pośladków.

Była masą sprzeczności. Globtroterem, tak dzikim, że ojciec ją wydziedziczył i kochanką George'a Persall'a, ale nie zauważył żadnych

oznak ciężkiego życia na jej twarzy. Jeśli już, to jej twarz była tak otwarta i niewinna jak u dziecka, z takim samym entuzjazmem do życia, świecących w jej ciemnobrązowych oczach. Twarz wyrażała nieustającą psotność, ale widać też było szczerą zmysłowość. Jej długie brązowe włosy były tak ciemne, że prawie czarne, a wisiały na ramionach w warkoczach i supłach. Odgarnęła je z twarzy z całkowitą obojętnością. Jej ciemne brązowe oczy były długie i trochę wąskie, skośne w jej twarzy z wysokimi policzkami w sposób, który zastanowił go, czy może mieć trochę krwi indiańskiej. Odrobina małych piegów tańczyła po eleganckich kościach policzkowych i filigranowym nosie. Jej usta były miękkie i pełne, górna warga pełniejsza niż dolna, co dawało zadziwiająco zmysłowy wygląd. W sumie, nie była piękna, ale była w niej jakaś świeżość i zapał, która sprawiała, że wszystkie inne kobiety jakie znał, nagle wydały mu się mdłe.

Oczywiście, nie spotkał się też nigdy tak blisko z żadnym kobiecym kolanem.

Nawet teraz, myśl o tym sprawiała, że robił się zły. Część jego była upokorzona że naraził się na otwarte uderzenie; że został pokonany przez wagę piórkową! Ale inna część, instynktowna, była oparta na czysto męskiej złości, seksualna. Mógł teraz obserwować jej kolano, kiedy była w odległości uderzenia. Mimo to, fakt że broniła się sama, a ruchy miała precyzyjne, powiedział mu, że trenowała profesjonalnie, i to była kolejna sprzeczność. Nie była ekspertem, ale wiedziała, co robić. Dlaczego dzika, zepsuta imprezowiczka miałaby wiedzieć cokolwiek o samoobronie? Niektóre kawałki nie pasowały, a Grant był zawsze niespokojny, kiedy wyczuł, że dane nie są zgodne.

Czuł się dość ponuro na myśl o całej tej operacji. Teraz ich sytuacja była trochę beznadziejna, bez względu na to, że na razie byli raczej bezpieczni. Prawdopodobnie udało im się wstrząsnąć tymi żołnierzami, dla kogokolwiek pracowali, ale Turego to zupełnie inna historia. Teraz mikrofilm nie był jedynym problemem. Turego działał bez zgody rządu, a jeśli Jane powróci i złoży skargę przeciwko niemu, reperkusje będą kosztować go jego pozycję, a może i wolność.

Grant był odpowiedzialny za wydostanie jej, ale nie była to już prosta „wpadł – wypadł” sytuacja, którą zaplanował. Od chwili kiedy zobaczył

Pablo opartego tak niedbale o helikopter, czekającego na nich, wiedział, że sprawy poszły źle. Pablo nie był typem, który by czekał na nich, tak od niechcienia; w ciągu całego czasu, kiedy Grant go znał, Pablo był spięty, gotowy do jazdy, zawsze zostawiający wirniki śmigłowca w ruchu. Wyszukana poza relaksu była dla Granta znakiem tak wyraźnym, jak gdyby Pablo powiesił sobie znak na szyi. Może Pablo próbował go ostrzec. Nie było sposobu, żeby kiedykolwiek był tego pewny.

Teraz musiał wydostać ją z dżungli, przez góry, i na południe przez bagna, ze ścigającym ich Turego. Przy odrobinie szczęścia, za dzień lub dwa, powinni znaleźć wioskę i załatwić sobie transport, ale nawet to zależało od tego, jak blisko będzie Turego.

A na koniec, nie mógł jej zaufać. Rozbroiła tego żołnierza zbyt swobodnie, widział to z bliska, co się wydarzyło. Była o wiele bardziej zorientowana w tej sytuacji niż to się wydawało. Nie była tym, kim miała być i to czyniło ją niebezpieczną.

Był nieufny wobec niej, ale w tym samym czasie okazało się, że nie był w stanie przestać obserwować ją. Była cholernie seksowna, i tak bujna i egzotyczna jak orchidee rosnące w dżungli. Jak to będzie leżeć obok niej? Czy wykorzysta swoje bogate krzywizny ciała, aby człowiek zapomniał, kim jest? Ilu ludzi nabrało się na tą świeżą, otwartą twarz? Czyżby Turego pogubił się w tym, pragnąc jej i wiedząc, że może zmusić ją w każdej chwili - ale zjedzony żywcem przez wyzwanie próbując wygrać z nią, poprzez danie jej swobody? Jak jeszcze udało się jej go kontrolować? Może w ogóle tego nie robiła, chyba, że grała z mężczyznami w pewnego rodzaju grę ego, gdzie im bardziej niebezpieczny człowiek, tym większy dreszczyk przy kontrolowaniu go.

Grant nie chciał, żeby miała za duży wpływ na niego; nie była tego warta. Bez względu na to, jak urzekał go wyraz w jej ciemnych, skośnych oczu, po prostu nie było warto. Nie potrzebował tego rodzaju komplikacji; chciał po prostu wydostać ją stąd, wziąć pieniądze od jej ojca, i wrócić do samotności na farmie. Już czuł dżunglę wpływającą na niego, gorączkowo niebezpieczną, niemal seksualnie podniecającą. Karabin był przedłużeniem jego ciała, a nóż pasował do dłoni, jak gdyby nigdy go nie odkładał. Wszystkie stare ruchy, stare instynkty nadal istniały, a czerń wzrosła

w nim, kiedy zastanawiał się gorzko, czy kiedykolwiek będzie w stanie zostawić to życie za sobą. Żądza krwi była w nim, i być może, on by zabił tego żołnierza, gdyby ona nie wykopnęła karabinu.

Czy to była część zatrucia walką, która sprawiła, że chciał wciągnąć ją pod siebie i poruszać się w jej ciele, aż byłby bezmyślny z nieznośnej przyjemności? Część z niego działała właśnie tak, a druga część narodziła się kilka godzin temu, na podłodze w jej sypialni, gdy poczuł miękką, aksamitną krągłość jej piersi w dłoniach. Przypomniawszy sobie, że chciał się dowiedzieć jak jej piersi wyglądały, czy były jak stożki lub były w pełni okrągłe, czy jej sutki były małe czy duże, różowe czy brązowe. Pożądanie sprawiło, że stwardniał, i przypomniał sobie zgryźliwie, że dawno nie miał kobiety, więc to było naturalne, że jest pobudzony. Jeśli nawet nie będzie z tego nic więcej, powinien być zadowolony z dowodu, że nadal może funkcjonować!

Ziewnęła i zamrugała na niego swoimi ciemnymi oczami jak śpiący kot. - Idę się zdrzemnąć, - oznajmiła, i skuliła się na ziemi. Oparła głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy i ziewnęła ponownie. Popatrzył na nią, mrużąc oczy. Ta szybka zdolność adaptacji była kolejnym elementem układanki, który nie pasował. Powinna jęczeć i narzekać, jak jest jej niewygodnie, zamiast spokojnie zwinąć się na ziemi na drzemkę. Ale drzemka brzmiała teraz cholernie dobrze, pomyślał.

Grant rozejrzał się. Deszcz przeszedł w ulewę, wałąc w brezent i obracając podłoże dżungli w rzekę. Stałe, ulewne deszcze dostarczały składników odżywczych do gleby, powodując, że w dżungli istniały największe sprzeczności w świecie, różnorodność życia zwierząt i roślin powstawały nawet na najbiedniejszej glebie. W tej chwili deszcz sprawiał także, że prawie niemożliwością było ich znaleźć. W chwili obecnej byli bezpieczni, i po raz pierwszy pozwolił sobie odczuć zmęczenie w mięśniach. Równie dobrze mógłby się zdrzemnąć; obudzi się, kiedy deszcz przestanie padać, zaalarmowany przez całkowite ustanie hałasu.

Wchodząc, ścisnął jej ramię, a ona obudziła się i gapiła na niego sennie. - Przysuń się plecami do ściany, - rozkazał. - Daj mi też trochę miejsca do rozciągnięcia się.

Odczołgała się zgodnie z jego instrukcją a on wyciągnął się na całą

długość, wzdychając w ekstazie. Popchnął ich plecaki na bok, a następnie położył się obok niej, układając swoje wielkie ciało między nią i deszczem.

* * *

Leżał na plecach, z jednym potężnym ramieniem rzuconym za głowę. Nie było kręcenia się, ziewania czy wzdychania, nie u niego. On po prostu położył się, zamknął oczy i zasnął. Jane obserwowała go sennie, jej spojrzenie na sokołą linię jego profilu, zwracając uwagę na bliznę biegnącą wzdłuż jego lewego policzka. Jak ją otrzymał? Jego szczeka była ukryta przez kilkudniową brodę, a zauważyła, że jego broda była znacznie ciemniejsza niż włosy. Brwi i rzęsy były ciemne, przez co jego bursztynowe oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze, prawie żółte jak u orła.

Padający deszcz sprawiał, że czuła się trochę chłodniejsza po intensywnym upale dnia; instynktownie przysunęła się bliżej i poczuła ciepło emanujące z jego ciała. Był tak gorący... a ona poczuła się tak bezpiecznie... bezpieczniej niż czuła od kiedy skończyła dziewięć lat. Z ostatnim lekkim westchnieniem zasnęła.

* * *

Jakiś czas później, nagle, deszcz przestał padać, i Grant obudził się natychmiast, jakby ktoś włączył światło włącznikiem. Jego zmysły natychmiast stały się czujne i ostrożne. Zaczął podnosić się na nogi, tylko, że zaraz uświadomił sobie, że ona leżała zwinięta na boku, z głową ułożoną na jego ramieniu, a jej dłoń leżała na jego klatce piersiowej. Niedowierzanie uczyniło go napiętym. Jak przysunęła się tak blisko niego, nie budząc go? Zawsze spał jak kot, budząc się na najmniejszy hałas lub ruch - ale ta przekłeta kobieta praktycznie wlaźła na niego, a on nawet nie drgnął. Musiała być rozczarowana, pomyślał z wściekłością. Furię skierował pod swoim adresem tak samo jak i na nią, ponieważ ten incydent powiedział mu jak bardzo rozlaźł się przez miniony rok. Bycie rozlazłym może kosztować ich życie.

Leżał nieruchomo, świadomy jej pełnych jej piersi tuż przy nim. Była miękka i soczysta, a jedną z nóg przerzuciła przez jego uda. Wszystko, co musiałby zrobić, to przetoczyć się nad nią i znaleźć się między jej nogami. Wyobrażony obraz spowodował wilgoć na czole. Boże! Mogła być gorąca i ciasna, a on zacisnął zęby czując duży ucisk w lędźwiach. Nie była damą,

ale była przede wszystkim kobietą, a on pragnął jej nagiej i wijącej się pod nim z intensywnością, która ścisnęła jego napięcie w węzeł. Musiał wyjść, albo wziąłby ją tu, na tym skalistym gruncie. Zdegustowany sobą za to, że pozwolił jej dostać się do siebie jak chciała, wyjął swoje ramię spod jej głowy, a potem potrząsnął ją za ramię. - Ruszajmy, - powiedział krótko.

Ona mruknęła coś, zmarszczyła czoło, ale nie otworzyła oczu, i po chwili jej czoło wygładziło się, kiedy zapadła z powrotem w głęboki sen. Niecierpliwie, Grant potrząsnął ją ponownie. - Hej, obudź się.

Przewróciła się na brzuch i westchnęła głęboko, kładąc głowę na swoim ramieniu, złożonym jakby szukała bardziej wygodnej pozycji. - Chodź, musimy już iść, - powiedział, potrząsając ją mocniej. - Obudź się! - Nadal śpiąca pacnęła go, jakby był paskudną muchą, przesuwając rękę na bok. Zirytowany, Grant złapał ją za ramiona i podciągnął do pozycji siedzącej, potrząsając ją po raz kolejny. - Cholera, obudzisz się w końcu? Na nogi, kochanie; mamy spacer do odbycia.

Wreszcie otworzyła oczy, i zamrugła sennie, ale nie próbowała wstać.

Przeklinając pod nosem, Grant pociągnął ją na nogi. - Po prostu stań tam, i nie wchodź mi w drogę, - powiedział, obracając ją wokół i klepiąc ją w tyłek, zanim zajął się zdejmowaniem ich schronienia.

ROZDZIAŁ 4

Jane odwróciła się, jej ręka powędrowała do pośladka. Obudzona i zirytowana jego lekkim, okazjonalnym klapnięciem odwróciła się.

- Nie musiałeś tego robić!

- Czego? - zapytał z całkowitą obojętnością, już zajęty usuwaniem planeki od góry na dół, zwijaniem jej i wkładaniem do plecaka.

- Uderzać mnie! Proste "wstawaj" by wystarczyło!

Grant spojrział na nią z niedowierzaniem. - No cóż, przepraszam do wszystkich diabłów, - wycedził tak sarkastycznym tonem, że miała ochotę go udusić. - Pozwól, że zacznę od nowa. Przepraszam, Priscillo, ale czas drzemki dobiegł, i naprawdę musimy... - hej! Do cholery! - Uchylił się na czas, jednocześnie wyrzucając rękę i łapiąc jej nadlatującą pięść. Szybko wykręcił jej rękę, zablokował palce wokół nadgarstka, a potem chwycił ją za drugą rękę, zanim zdążyła go uderzyć. Ekspłodowała w furii, rzucając się na niego jak atakujący kot. Jej pięść uderzyła jego rękę z wystarczającą siłą, która mogłaby uszkodzić mu nos, jeśli cios dosięgłby celu. - Kobieto, co u diabła z tobą jest nie tak?

- Mówiłam, żebyś mnie tak nie nazywał! - wściekała się na niego Jane wypluwając słowa w furii. Walczyła dziko, próbując uwolnić rękę, żeby uderzyć go ponownie.

Dyszząc, Grant rzucił ją na ziemię i usiadł na niej okrakiem, trzymając jej ręce nad głową, tym razem cholernie się upewniając, że jej kolano nie znajdzie się blisko niego. Wiła się i falowała, a on poczuł, jakby starał się utrzymać ośmiornicę, ale w końcu udało mu się ją ujarzmić.

Patrząc na nią, powiedział: - Powiedziałaś mi, że mam nie nazywać cię Pris.

- Cóż, nie nazywaj mnie też Priscillą! - wściekała się, odbijając jego spojrzenie.

- Słuchaj, nie jestem jasnowidzem! To jak mam cię nazywać?

- Jane! - krzyknęła na niego. - Mam na imię Jane! Nikt nigdy nie nazywa mnie Priscillą!

- W porządku! Wszystko, co musiałaś zrobić, to powiedzieć mi o tym! Zaczynam być cholernie zmęczony kopnięciami na moich kostkach,

zrozumiałaś? Mogę cię skrzywdzić, zanim będę w stanie się powstrzymać, więc lepiej pomyśl dwa razy, zanim zaatakujesz mnie ponownie. A teraz, jeśli cię puszczę, będziesz się zachowywać?

Jane nadal na niego patrzyła, ale waga jego kolan na jej posiniaczonych ramionach była nie do zniesienia. - Dobrze, - powiedziała ponuro, a on powoli wstał, a potem zaskoczył ją, oferując jej rękę, żeby pomóc wstać. Zaskoczyła sama siebie przyjmując ją.

Nagły błysk zapalił ciemne złoto w jego oczach. - Jane, tak? - zapytał w zamyśleniu, patrząc na otaczającą go dżunglę.

Rzuciła mu groźne spojrzenie. - Tylko nie wyskakuj z teksem "Ja Tarzan, ty Jane," ostrzegła. - Słyszę go od podstawówki. - Zamilkła, a potem powiedziała niechętnie: - Ale to i tak lepsze niż Priscilla.

Mruknął w potwierdzeniu i odwrócił się, żeby dokończyć demontażu ich schronienia, a po chwili Jane zaczęła mu pomagać. Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział. Nie był zbyt rozmowny, jak zauważyła, i nie poprawiło się to przy bliższym poznaniu. Ale ryzykował własne życie, aby jej pomóc, i nie zostawił jej za sobą, choć Jane wiedziała, że sam poruszałyby się dużo szybciej, i byłoby to dla niego mniej ryzykowne. I było jeszcze coś w jego oczach, jakiś wyraz zmęczenia cynizmu i pustki, jakby widział zbyt wiele, aby mieć jakąkolwiek wiarę lub zaufanie. To sprawiało, że Jane chciała go objąć i ochronić. Spuszczając głowę tak, żeby nie był w stanie odczytać jej wyrazu twarzy, zbeształa się za uczucie potrzeby ochrony człowieka, który, co było oczywiście, radził sobie sam. Był taki czas w jej życiu, kiedy bała się zaufać komukolwiek poza rodzicami, i to był straszny, samotny czas. Wiedziała, co to strach i samotność i bolała nad tym.

Kiedy wszelkie ślady po ich schronieniu znikły, zarzucił swój plecak na plecy a następnie przewiesił karabin przez ramię, podczas gdy Jane upychała swoje włosy pod czapkę. Pochylił się, aby podnieść jej plecak, i na jego twarzy pojawiło się zdumienie; następnie ściągnął brwi. - Co do... - mruknął. - Co masz w tym przeklętym plecaku? Waży dobre dwadzieścia kilo więcej niż mój plecak!

- Wszystko o czym pomyślałam, że mi się przyda, - odpowiedziała Jane, biorąc go od niego i przewieszając go za ramię przez jeden dobry pasek, następnie mocując dodatkowy w talii tak dobrze jak mogła.

- Na przykład co?

- Różne rzeczy, - powiedziała z uporem. Może jej prowiant nie był całkiem właściwy według standardów wojskowych, ale zawsze wolała swoje kanapki z masłem orzechowym od jego puszek z czymś tam. Myślała, że on każe jej zrzucić plecak na ziemię, żeby sprawdzić zawartość i zdecydować, co zachować, a ona była zdecydowana, aby na to nie pozwolić. Uniosła szczękę i spojrzała na niego.

Położył ręce na biodrach i przyjrzał się jej zabawnej, egzotycznej twarzy, jej dolna warga wyduła się w buncie, jej delikatna szczeka była uniesiona. Spojrzała gotowa walczyć z nim ponownie, a on westchnął z rezygnacją. Do diabła, jeśli nie była to najbardziej uparta i pokrecona kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. - Zdejmij to, - warknął, zdejmując swój plecak.

- Poniosę twój, a ty możesz nieść mój.

O ile to możliwe, to jej szczeka uniosła się wyżej. - Poradzę sobie z moim własnym.

- Przestań marnować czas na kłótnie. Ten dodatkowy ciężar będzie cię spowalniać, a ty jesteś już zmęczona. Dawaj mi go, a ja jeszcze naprawię ten zerwany pasek, zanim wyruszamy.

Niechętnie chwyciła za paski i oddała mu plecak, gotowa do skoku, w razie gdyby chciał go rzucić. Ale on wyjął małe pudełeczko z własnego plecaka, otworzył je, wydobył igłę i nici i zręcznie zaczął zszywać dwa urwane końce paska.

Zdumiona, Jane obserwowała jego długie, zrogowaciałe palce dzierżące małą igłę ze zręcznością, która wywołała jej zazdrość. Przyszycie guzika było granicą jej umiejętności szycia, i jeszcze zwykle udawało jej się nakłuć przy tym palec. - Czy teraz w wojsku uczą szycia? - zapytała, przysuwając się, by lepiej widzieć.

Rzucił jej jeszcze jedno z tych jego zbywających spojrzeń. - Nie służę w wojsku.

- Może nie teraz, - przyznała. - Ale kiedyś byłeś, prawda?

- Dawno, dawno temu.

- Gdzie nauczyłeś się szyc?

- Po prostu się nauczyłem. Czasem to się przydaje. - Odgryzł nić, a następnie włożył igłę do pudełeczka. - Ruszajmy, zmarnowaliśmy na to

już zbyt wiele czasu.

Jane wzięła plecak i podążyła za nim; wszystko, co miała do zrobienia, to podążanie za nim. Jej wzrok błędził po szerokości jego ramion, a potem schodził w dół. Czy ona знаła kogoś równie fizycznie silnego, jak ten mężczyzna? Nie. Wydawał się być odporny na zmęczenie, i ignorował dużą wilgotność, która wysysała jej siły i zalewała jej ubranie potem. Jego długie, potężne nogi poruszały się bez wysiłku, a tkanina spodni opinała mocno jego mięśnie ud. Jane złapała się na tym, że obserwując jego nogi automatycznie dopasowuje swój krok do jego. Jego krok, i automatycznie jej krok. W ten sposób było jej łatwiej; mogła oddzielić umysł od ciała i w ten sposób ignorować swoje protestujące mięśnie.

W pewnym momencie zatrzymał i pociągnął duży łyk z manierki, a następnie bez komentarza przekazał Jane. Również bez komentarza i nie wycierając ustnika manierki, uniosła ją i piła łapczywie. Dlaczego miała by się martwić piciem po nim? Złapanie przeziębienia było najmniejszą z jej obaw. Po zakręceniu manierki, oddała ją z powrotem, i ruszyli ponownie.

W jego szaleństwie była metoda, lub tak jej się zdawało. Jeśli trzeba było wybrać pomiędzy dwiema ścieżkami, nieodmiennie wybierał bardziej trudną. Wybierał trasę prowadzącą przez najtrudniejszy teren, najgęstsza roślinność, nawet najwyższe i najbardziej nierówne zbocza. Jane rozdarła spodnie zjeżdżając ze stromizn, które z góry wyglądały jak czyste samobójstwo, i niewiele lepiej z dołu, ale szła bez narzekania. To nie było tak, że nie miała mnóstwa powodów, ale była zbyt zmęczona, by je wyrazić. Korzyści z jej krótkiej drzemki już dawno zniknęły. Bolały ją nogi i plecy a jej posiniaczone ramiona były tak bolesne, że ledwie mogła nimi ruszać, dodatkowo miała wrażenie, że oczy palą się w oczodołach. Ale nie poprosiła go, żeby się zatrzymali. Nawet gdyby to tempo miało ją zabić, ona nie zamierzała go jeszcze bardziej spowalniać, bo nie miała wątpliwości, że bez niej mógłby podróżować znacznie szybciej. Lekkie ruchy jego długich nóg powiedziały jej, że jego kondycja była znacznie lepsza niż jej; prawdopodobnie mógł iść tak całą noc, bez zauważalnego spowolnienia kroku. Czuła cichy podziw dla tego rodzaju siły i warunków, to było coś całkowicie poza jej doświadczeniami, zanim że go spotkała. Nie był jak inni mężczyźni; było to widoczne w jego wspaniałym ciele,

w niesamowitej kompetencji, z którą zajmował się wszystkim, w połyskujących złotem oczach.

Jakby zaalarmowany przez jej myśli, zatrzymał się i spojrzał na nią, oceniając jej stan tym ostrym spojrzeniem, które nic nie pomijało. - Czy dasz radę przejść kolejną milę lub więcej?

Gdyby szła sama, nie dałaby już rady, ale kiedy spojrzała mu w oczy wiedziała, nie było mowy, żeby przyznała się do tego. Uniosła podbródek, i ignorując coraz większy ból w nogach, powiedziała: - Tak.

Jakiś wyraz zamigotał na jego twarzy tak szybko, że nie mogła go odczytać. - Daj mi ten plecak, - warknął, odwracając się do niej i szarpiąc za paski żeby uwolnić je od sprzączek, a następnie zdjął plecak z jej ramion.

- Dam sobie radę, - zaprotestowała gwałtownie, chwytając za plecak i owijając ramiona wokół niego. - Przecież nie narzekam, nieprawdaż?

Jego ciemne brwi złączyły się razem w dezaprobacie, i siłą odebrał jej plecak z uścisku. - Rusz głową, - warknął. - Jeśli padniesz z wyczerpania, to będę musiał nieść też ciebie.

Logika tej wypowiedzi, uciszyła ją. Bez słowa odwrócił się i ruszył dalej. Bez ciężaru plecaka była w stanie lepiej trzymać się za nim, ale czuła się sfrustrowana, że nie jest w lepszej formie, żeby nie być dla niego ciężarem. Jane walczyła zaciekle o swoją niezależność, wiedząc, że jej życie bardzo od tego zależało. Nigdy nie była jedna z tych, które siadają i czekają na kogoś innego żeby robił jakieś rzeczy dla niej. Miała w głowie pomysł na życie, rozkoszując się wyzwaniem, które napotykała, ponieważ potwierdzała wtedy swoje ostre poczucie cudowności życia. Dzielila się radością, ale problemy rozwiązywała na własną rękę, i dlatego teraz ciężko jej było liczyć na kogoś innego.

Doszli do kolejnego strumienia, nie szerszego niż pierwszy który przeszli, ale głębszego. W niektórych miejscach woda mogła sięgać jej po kolana. Woda płynąca przez skały brzmiała super, i myślała o tym, jak niebiańsko byłoby odświeżyć swoje spocone ciało w strumieniu. Patrząc tęsknie, potknęła się o korzeń i wyciągnęła rękę, by złapać równowagę. Dłoń zsunęła się gwałtownie z pnia drzewa, i coś się zgmiotło pod jej palcami.

- Och, Fuj! - jęknęła, próbując wytrzeć martwego owada liściem.

Grant stanął. - Co się stało?

- Rozgniotłam ręką owada. - Liść nie oczyścił ręki zbyt dobrze; rozmazany owad wciąż barwił rękę, i spojrzała na Granta z niesmakiem rysującym się wyraźnie na jej twarzy. - Czy nic mi się nie stanie, jeśli umyję ręce w strumieniu?

Rozejrzał się, badając swoimi bursztynowymi oczami oba brzegi potoku.

- Ok. Chodź tutaj.

- Mogę i tutaj, - powiedziała. Brzeg miał tylko kilka metrów wysokości, ale zarośla nie były gęste. Ostrożnie wybrała sobie drogę nad korzeniami ogromnego drzewa, opierając rękę na pniu, żeby się uspokoić, kiedy zaczęła schodzić do strumienia.

- Uważaj! - Grant powiedział ostro, i Jane zamarła w pół kroku, odwracając głowę, by spojrzeć na niego z ukosa.

Nagle coś bardzo ciężkiego spadło na jej ramiona, coś długiego grubego, żywego, i wydała zduszony krzyk, gdyż zaczęło się owijać wokół jej ciała. Była bardziej zaskoczona niż przestraszona, myśląc, że spadła na nią duża liana; potem zobaczyła ruch dużej trójkątnej głowy i wydała kolejny jękliwy krzyk. - Grant! Grant, pomóż mi!

Terror chwycił ją za gardło, dusząc, kiedy zaczęła drapać węza, starając się go ściągnąć. Potwór był spokojny, pracując swoim ciałem wokół niej, powoli dokręcając śmiertelne mięśnie, które miażdżyły jej kości. Okręcił się wokół jej nogi i upadła, przewracając na ziemię. Słabo usłyszała przekleństwa Granta, i własne krzyki przerażenia, ale to brzmiało dziwnie odległe. Wszystko działo się jak w szalonym kalejdoskopie brązowej ziemi i zieleni drzew, oraz napiętej twarzy wściekłego Granta. Krzyczał coś do niej, ale nie mogła go zrozumieć; wszystko co mogła zrobić, to walczyć z żyjącymi mięśniami, które były zawinięte wokół niej. Jedno ramię i ręka było wolne, ale boa zaciskał się wokół jej klatki piersiowej i duża głowa zbliżała się do jej twarzy, jego paszcza była otwarta. Jane krzyknęła, próbując złapać głowę wolną ręką, ale wąż miażdżył jej oddech i krzyk był prawie bezgłówny. Wielka ręka, nie jej, złapała głowę węza, a ona zauważyła słaby błysk srebra.

Uścisk węza na niej zmałał, i wąż zwrócił się ku nowej ofierze, starając

się wyciągnąć Granta w swój śmiertelny uścisk. Ponownie zobaczyła błysk srebra i coś mokrego prysnęło jej w twarz. Niejasno zdała sobie sprawę, że błysk był nożem Granta. Klął zaciekle, kiedy walczył z wężem, głównie siedząc okrakiem na niej, kiedy ona wiła się na ziemi, próbując się uwolnić.

- Cholera, nie ruszaj się! - ryknął. - Mogę cię pociąć!

Niemożliwym było, by zachować spokój; została owinięta przez węża, i on skręcał się z nią w swoich ruchach. Była zbyt oszalała ze strachu, aby uświadomić sobie, że wąż był w agonii, nawet kiedy zobaczyła Grant odrzucił coś na bok i zaczął siłą usuwać grube sploty z jej całego ciała. Dopiero kiedy rzeczywiście poczuła nadchodzącą wolność od strasznego uścisku dusiciela, zrozumiała, że to koniec, że Grant zabił węża. Przestała walczyć i leżała bezwładnie na ziemi. Jej twarz była zupełnie biała za wyjątkiem kilku piegów na nosie i policzkach; jej oczy były utkwione w twarzy Granta.

- Już po wszystkim, - powiedział szorstko, przesuwając ręce po jej ramionach i klatce piersiowej. - Jak się czujesz? Masz coś złamane?

* * *

Jane nie była w stanie nic powiedzieć; jej gardło zostało zamrożone, a głos całkowicie zniknął. Wszystko, co mogła zrobić, to leżeć i patrzeć na niego z resztkami strachu w swoich ciemnych oczach. Jej usta drżały jak u dziecka, i było coś, błagalnego w jej wzroku. Automatycznie chciał wziąć ją w ramiona, tak jak przestraszone dziecko, ale zanim zdążył zrobić coś więcej niż podnieść rękę, ona odciągnęła swój wzrok od niego z widocznym wysiłkiem. Widział, ile siły woli ją to kosztowało, ale jakoś znalazła wewnętrzną siłę, aby powstrzymać drżenie warg, a potem jej podbródek uniósł się w charakterystycznym geście.

- Nic mi nie jest, - udało jej się powiedzieć. Jej głos był nierówny, ale kiedy wypowiadała te słowa, to wierzyła w nie. Powoli usiadła i odgarnęła włosy z twarzy. - Czuję się trochę posiniaczona, ale nic sobie nie zła...

Urwała nagle, patrząc na swoje zakrwawione dłonie i ramiona.

- Krwawię, - powiedziała zdezorientowanym tonem, a jej głos drżał. Spojrzała na Granta, jakby w potwierdzeniu. - Krwawię, - powtórzyła, rozczapierzając drżącą rękę, żeby zobaczył. - Grant, cała jestem we krwi!

- To krew węża, - powiedział, myśląc że to ją uspokoi, ale ona patrzyła

na niego z niekontrolowaną odrazą.

* * *

- O, Boże! - powiedziała cienkim, wysokim głosem, gramoląc się na nogi i patrząc na siebie. Jej czarna bluzka była mokra i lepka, spodnie khaki były poplamione czerwonawymi i dużymi plamami. Wzdłuż obu ramion miała rozmazaną krew. Żółć wzrosła jej w gardle, kiedy przypomniała sobie wilgoć, która opryskała jej twarz. Uniosła palce szukając i znajdując straszną lepkość na policzkach, a także plamy na jej włosach.

Zaczęła się trząść jeszcze mocniej, a łzy kapały po jej policzkach.

* * *

- Zdejmij to ze mnie, - powiedziała, jeszcze tym wysokim, chwiejnym głosem zupełnej hysterii. - Muszę to zmyć. Jestem cała we krwi i ona nie jest moja. Jestem cała we krwi; mam ją nawet we włosach... mam ją we włosach! - szlochała, chcąc zanurzyć się w strumieniu.

Przeklinając, Grant chwycił ją, ale ona w swojej szalonej potrzebie zmycia krwi szarpała się z nim daremnie, potykając się o ciało węża i upadając na ziemię. Zanim zdążyła spróbować jeszcze raz, Grant rzucił się na nią, trzymając ją w niemal bolesnym uścisku, podczas gdy ona walczyła i szlochała, błagając i klnąc na niego – wszystko w tym samym czasie.

- Jane, uspokój się! - powiedział ostro. - Zmyję z ciebie krew. Tylko się uspokój i pozwól mi zdjąć nasze buty, dobrze? - Musiał trzymać ją jedną ręką a drugą ściągać jej buty, ale do czasu, kiedy zdążył zdjąć swoje buty, płakała tak mocno, że leżała bezwładnie na ziemi. Jego twarz była ponura, kiedy patrzył na nią. Wytrzymała tyle bez oglądania włosów, że nie oczekiwał, że rozklei się aż tak. Trzymała się w sobie dopóki nie zobaczyła krwi na sobie, i najwyraźniej było to więcej niż mogła znieść. Skopał swoje buty, po czym odwrócił się do niej i szorstko rozpiął jej spodnie i ściągnął je. Unosząc ją w ramionach tak łatwo, jakby niósł dziecko, zszedł na brzeg i wszedł do strumienia, ignorując fakt, że zmoczył swoje własne spodnie.

Gdy woda dosięgała do środka łydek, postawił ją w strumieniu i pochylił, żeby pryskać wodą na jej nogi, zmywając plamy krwi z jej ciała. Następnie, zebrał wodę w dłoniach, umył jej ręce i dłonie, kapiąc chłodną wodą nad nią i moczając jej bluzkę. Podczas tego wszystkiego, stała posłusznie, a ciche łzy wciąż spływały jej po twarzy i drażąc kanały we krwi i rozmazując ją

jej policzkach.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie, - nucił kojąco, popychając ją, żeby usiadła w strumieniu, aby mógł zmyć krew z jej włosów. Pozwoliła mu lać wodę na głowę i twarz, mrużąc oczy, aby chronić je przed pieczeniem, ale z drugiej strony patrząc na jego twarde rysy. Wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę, zmoczył ją, a potem delikatnie oczyścił twarz. Była teraz spokojniejsza, nie płacząc ale milcząc cierpiąc w sposób fizyczny i emocjonalny, kiedy pomógł jej wstać.

- No już, jesteś cała czysta - zaczął mówić, ale zauważył, różowe strumyki wody opływające jej nogi. Jej bluzka była tak zakrwawiona, że będzie musiał ją zdjąć, żeby wyczyścić. Bez wahania, zaczął ją rozpinąć. - Zdejmijmy to i wypierzmy, - powiedział, zachowując swój głos spokojny i kojący. Ona nawet nie spojrzała w dół, kiedy rozpiął jej bluzkę i wyciągnął z niej jej ręce, a potem rzucił na brzeg. Nie odrywała oczu od jego twarzy, jakby był jej ostatnią deską ratunku do normalności a odwrócenie wzroku oznaczało powrót do szaleństwa.

Grant spojrział w dół, i zaschło mu w ustach, kiedy popatrzył na jej nagie piersi. Zastanawiał się, jak wyglądała, a teraz wiedział, i to było jak cios pięścią w brzuch. Jej piersi były okrągłe i nieco większe, niż się spodziewał, zwieńczone przez małe brązowe sutki, a on chciał się schylić i przyłożyć do nich usta, poznać ich smak. Równie dobrze mogłaby być naga; wszystko, co miała na sobie to para cieniutkich jak pajęczyna majtek, które w wodzie zrobiły się przejrzyste. Widział ciemne kręcone włosy pod cieniutką tkaniną, i poczuł jak jego lędźwie skręcają się i puchną. Była pięknie zbudowana, długonoga i szczupła w biodrach, z eleganckimi mięśniami tancerki. Jej ramiona były proste, ramiona szczupłe ale silne, piersi bujne; chciał się wcisnąć między jej nogi i wziąć ją tutaj, wpychając się w głąb jej ciała, dopóki nie straciłby zmysłów z przyjemności. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek pragnął kobiety tak bardzo. Chciał seksu, ale była to po prostu fizyczna przyjemność, i każde chętne kobiece ciało się nadawało. Teraz chciał Jane, całą; chciał jej nóg owiniętych wokół niego, jej piersi w swoich dłoniach, jej ust pod jego ustami, jej ciała okrytego przez jego.

Odwrócił gwałtownie od niej wzrok, pochylił się i znowu zanurzył

chusteczkę w wodzie. To było jeszcze gorsze; jego oczy były na poziomie górnej części ud, więc wyprostował się nagle. Umył delikatnie jej piersi, ale każda chwila była dla niego torturą, czuć jej jedwabiste ciało pod palcami, obserwując jej sutki zmieniające się w sterczące zaczerwienione małe zgrubienia, kiedy ich dotykał.

- Jesteś już czysta, - powiedział ochryple, odrzucając chusteczkę na brzeg, dołączając do bluzki.

* * *

- Dziękuję, - wyszeptała, a następnie w jej oczach zabłyszczały świeże łzy, i z cichym skomleniem rzuciła się na niego. Jej ramiona zamknęły się wokół niego i zamknęły się na jego plecach. Ukryła twarz na jego piersi, odzyskując pewność, przez stały rytm jego serca i ciepło jego ciała. Sama jego obecność odpychała strach; z nim była bezpieczna. Chciała odpocząć w jego ramiona i zapomnieć o wszystkim.

Jego ręce powoli uniosły się na jej nagie plecy, jego złączone palce głaskały jej skórę, jakby rozkoszował się jej fakturą. Jej oczy zamknęły się, a ona przysunęła się bliżej niego, wdychając wyraźnie męski zapach jego silnego ciała. Czowała się dziwnie pijana, zdezorientowana; chciała przyłgnąć do niego jako jedynej stałej rzeczy na świecie. Jej ciało skąpało się w dziwnych doznaniach, od pędzącej wody, mieszające się wokół nóg do lekkiego wiatru, owiewającego jej mokrą, nagą skórę, podczas gdy on był taki twardy i ciepły. Nieznane ciepło przetoczyło się wzdłuż jej ciała na drodze jego rąk, kiedy przesunął je z jej pleców na ramiona. Następnie jedną ręką pogładził jej gardło do krawędzi jej szczęki, przesuwając kciuk pod brodą potem wkładając palce we włosy i odwrócił jej twarz do niego.

Dając jej czas na wycofanie, pochylił się i zbliżył usta do jej, skręcając głowę do głębokiego i mocnego kontaktu. Jego język wślizgnął się spokojnie w jej usta, dotykając jej i domagając się odpowiedzi, a Jane poczuła się bezwolna, dając mu to, co chciał. Nigdy nikt nie całował jej w taki sposób, z taką pewnością i wiedzą, jak gdyby była jego, do wzięcia, jak gdyby powrócili do bardziej prymitywnych czasów, kiedy dominujący samiec wybierał sobie kobietę. Niejasno zaniepokojona, odepchnęła go lekko, aby uwolnić się z jego uścisku. Przytrzymał ją z lekką siłą i pocałował jeszcze raz, trzymając głowę nieruchomo naciskając na usta. Po

raz kolejny Jane otworzyła usta dla niego, zapominając, o co walczyła na początku. Od jej rozvodu całowało ją wielu mężczyzn, starając się ją rozbudzić. Nie udawało się to. Dlaczego ten szorstki... najemnik, lub kimkolwiek był, powodował dreszcze przyjemności krążące po całym ciele, podczas gdy niektórzy z najbardziej wyrafinowanych mężczyzn na świecie potrafiło tylko nudzić ją swoją pasją? Jego usta były ciepłe i twarde, smak jego ust mocny, jego język w niej odważny i poszukujący, a jego pocałunki spowodowały nieznany ból naprężający się w jej ciele.

Nieumyślny jęk zachwytu uciekł jej z gardła, miękki, kobiecy dźwięk, który spowodował, że jego ramiona zacisnęły się bardziej.

Jej ręce zsunęły się z jego ramion, a następnie objęły za szyję, wieszając się na nim dla wsparcia. Nie mogła się do niego wystarczająco zbliżyć, choć on miążdząc przyciągał ją do siebie. Guziki koszuli wbiły się w jej nagie piersi, ale ona nie zważała na żaden ból. Jego usta były dzikie i głodne pierwotnych potrzeb, które wyrwały się spod kontroli, siniacząc jej wargi siłą swoich pocałunków, ale jej to nie obchodziło. Zamiast tego rosło w niej przywiązanie do niego. Jej ciało było nagle żywe od doznań i potrzeb, których nie rozpoznawała, bo nigdy ich wcześniej nie czuła. Jej skóra faktycznie bolała do jego dotyku, i każdy kolejny dotyk jego twardych palców ten ból nasilał.

Śmiało ściskając jej piersi w dłoni, potarł szorstką opuszką kciuka jej mocno pomarszczoną sutkę, i Jane prawie krzyknęła głośno przez przelewający się przez nią skok ciepła. Nigdy przedtem tak nie czuła; potrzeba tej czystej, bezwstydnej zmysłowości we własnym ciele zaskoczyła ją kompletnie. Już dawno odkryła, że po prostu nie była zbyt zmysłową, potem o tym zapomniała. Seks nie był czymś, co bardzo ją interesowało. Sposób w jaki Grant ją dotykał sprawił, że czuła się całkowicie rozbita iż powodu nieznaności siebie. Była niczym dzika w jego ramionach, ocierając się o niego, czując i rosnąc w powiększającej się reakcji jego ciała, i kryjąc ból z pustki głęboko we wnętrzu.

* * *

Czas zniknął, kiedy stali w wodzie, późne popołudniowe słońce pokryło ich cętkami wzorców stworzonych przez światło pod osłoną drzew. Jego ręce swobodnie wędrowały po jej ciele. Ona nawet nie myślała, żeby się

mu opierać. Wydawało się, jakby miał prawo do jej ciała, jakby była jego w dotyku i smaku. Odchylił jej plecy do tyłu, przez co jej piersi sterczały ponętnie, a jego usta przesunęły się gorąco w dół jej gardła, aby pochwycić ciepłe i drżące kopy. Wziął jej sutek w usta i ssał mocno, a ona falowała jak dzikie stworzenie, spalające się i umierające ale chcące więcej.

* * *

Jego ręka przesunęła się w dół, palce wiły się między nogami pieszcząc ją przez jedwabne majtki. Śmiałość jego dotyku wstrząsnęła nią poza jej zmysłowy szal; automatycznie zeszywniała w jego uścisku i zdjęła swoje ręce z jego szyi i przeniosła na dół, żeby wcisnąć je między ich ciała i odepchnąć go. Niski, gardłowy dźwięk zadźwięczał mu w gardle, i przez krótką chwilę, pomyślała przerażoną, że nic go nie zatrzyma. Następnie, z przekleństwem, odepchnął ją z dala od siebie.

Jane zachwiała się nieco, a jego ręka wystrzeliła, żeby ją złapać i przyciągnąć z powrotem do niego. - Cholera, to gdzie podziałaś te swoje kopnięcia? - zapytał wściekły. - Czy chcesz zobaczyć, jak daleko możesz popchnąć mężczyznę?

Opuściła brodę i przełknęła. - Nie, to nie jest w ogóle tak. Przepraszam. Wiem, że nie powinnam się na ciebie tak rzucać jak...

- Cholerna racja, nie powinnaś, - przerwał brutalnie. Miał dziki wygląd; jego oczy zwęziły się i błyszczały z wściekłości, jego nozdrza falowały, a usta były zaciśnięte w cienką, ponurą linię. - Następnym razem, lepiej upewnij się, o co prosisz, bo jestem cholernie pewien, że ci to dam. Czy to jasne?

Odwrócił się i zaczął brodzić do brzegu, pozostawiając ją stojącą na środku strumienia. Jane skrzyżowała ręce na nagich piersiach, nagle i doskonale zdając sobie sprawę z własnej nagości. Nie chciała się z nim drażnić, ale była tak przerażona, a on był tak silny i spokojny, że wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie, by przylgnąć do niego. Te szalone pocałunki i pieszczoty zaskoczyły ją i wstrząsnęły wyprowadzając z równowagi. Mimo to nie zamierzała uprawiać seksu z mężczyzną, którego ledwie знаła, zwłaszcza, kiedy nie bardzo wiedziała, czy podobało jej się ta odrobina wiedzy, którą o nim miała.

Dotarł do brzegu i spojrzał na nią. - Idziesz, czy nie? - warknął, więc Jane

zaczęła brnąć ku niemu, nadal trzymując ręce na piersi.

- Nie przejmuj się, - poradził oschłym głosem. - Już je widziałem, i dotykałem. Dlaczego udawać, że jesteś skromna?

Wskazał na jej bluzkę leżącą na ziemi. - Może byś zmyła z tego krew, skoro jesteś taka wrażliwa.

Jane spojrzała pokrytą krwią na bluzkę, i ponownie zrobiła się trochę blada, ale teraz się kontrolowała. - Dobrze, zrobię to, - powiedziała cicho.

- Czy... mógłbyś podać mi moje spodnie i buty, proszę?

Parsknął, ale wspiął się na brzeg i rzucił jej na dół spodnie i buty. Odwracając się plecami do niego, Jane włożyła spodnie, drżąc kiedy zobaczyła, że też są poplamione krwią, ale przynajmniej nie były zmoczone w taki sposób jak jej bluzka. Jej majtki były mokre, ale teraz nie mogła nic z tym zrobić, więc zignorowała wilgotny dyskomfort. Kiedy częściowo się już ubrała, przysiadła w żwirze na brzegu strumienia i zaczęła próbować prać bluzkę. Czerwone plamy spływały z tkaniny, barwiąc wodę, która płynęła niżej. Tarła i tarła, zanim była zadowolona, a potem zebrała nią tyle wody, ile to możliwe i strząsnęła bluzkę. Kiedy zaczęła ją nakładać, powiedział z irytacją: - Masz, - trzymał przed nią swoją koszulę. - Noś to, dopóki twoja nie wyschnie.

Chciała odmówić, ale wiedziała, że fałszywa duma na nic się jej nie przyda. Przyjęła koszulę milcząc i włożyła na siebie. Była na nią za duża, ale była sucha i ciepła, niezbyt brudna i pachniała potem i piżmowym zapachem jego skóry. Zapach był trochę pocieszający. Nie było też rdzawych plam, przypominających jej, że on uratował jej życie. Związana poły w węzeł w talii i usiadła na żwirze, żeby włożyć buty.

Gdy się odwróciła, znalazła go stojącego tuż za nią, jego twarz nadal była ponura i zła. Pomógł jej wydostać się z brzegu, a potem podniósł plecaki do ramion. - Nie idziemy wcale znacznie dalej. Chodź za mną, i na miłość boską nie dotykaj niczego, czego ja nie dotknę i nie rób ani kroku w dowolnym miejscu za wyjątkiem moich śladów. Jeśli inny boa cię zechce, mogę pozwolić mu cię zjeść, więc nie przeginaj.

Jane odgarnęła mokre włosy za uszy, a następnie posłusznie, poszła tam, gdzie on poszedł. Przez chwilę patrzyła nerwowo na każdą gałąź na drzewach, które mijali, a następnie zmusiła się przestać myśleć o wężu. To

już minęło; nie było sensu się nad tym rozwodzić.

Zamiast tego patrzyła na jego szerokie plecy, zastanawiając się, jak jej ojciec znalazł takiego człowieka jak Grant Sullivan. Oni przecież bezsprzecznie żyli w dwóch różnych światach, więc jak się spotkali?

Potem coś zaskoczyło w jej umyśle, a chłód przeszył jej ciało. Czy oni się spotkali? Nie mogła sobie wyobrazić, że jej ojciec zna kogoś takiego jak Sullivan. Wiedziała też, w jakiej jest sytuacji. Każdy chciał dostać ją w swoje ręce, a ona nie miała możliwości dowiedzenia się po czyjej stronie był Grant Sullivan. Mówił do niej Priscilla, i to było jej pierwsze imię. Jeśli wysłałby go jej ojciec, to czy nie powinien wiedzieć, że ona nigdy nie była nazywana Priscilla, że od urodzenia nazywano ją Jane? A on nie znał jej imienia!

Zanim George umarł, ostrzegł ją, by nie ufać nikomu. Nie chciała myśleć, że była sama w środku dżungli z mężczyzną, który mógł swobodnie podciąć jej gardło, kiedy nie będzie mu już potrzebna. Mimo to, fakt pozostał, że nie miała żadnego dowodu, że to jej ojciec go wysłał. On po prostu ogłuszył ją, umieścił na ramieniu i pociągnął do dżungli.

I wtedy zdała sobie sprawę, że musi zaufać temu człowiekowi; że nie ma żadnej alternatywy. Był wszystkim co miała. Ufanie mu było niebezpieczne, ale nie tak niebezpieczne, jak próba ucieczki przez dżunglę na własną rękę. Poza tym pokazywał przebłycki dobroci. Poczowała śmieszny ucisk w piersi, kiedy sobie przypominała, jak się o nią troszczył po zabiciu węża. Nie tylko się troszczył, pocałował ją - ona wciąż przeżywała sposób w jaki to zrobił. Najemnik, czy nie, wróg, czy nie, sprawił, że go zapragnęła. Jej umysł nie był pewien, co do niego, ale jej ciało tak.

Pewnie byłoby to dla niej śmieszne, gdyby nie było tak przerażające.

ROZDZIAŁ 5

Ruszyli oddalając się od strumienia pod kątem czterdziestu pięciu stopni i nie minęło dużo czasu jak się zatrzymał i rozejrzył, po czym zrzucił plecaki ze swoich ramion. - Będziemy biwakować tutaj.

Jane stała w milczeniu, czując się niezręcznie i bezużytecznie, obserwując, jak otworzył plecak i wyjął mały, zwinięty tobołek. Pod jego wprawnymi rękami pakiet szybko przekształcił się w mały namiot, wraz z polietylenową podłogą i klapą, w którą mogła być wpięta kłódka. Kiedy namiot już stał, Grant zaczął zbierać liany i gałęzie z pobliskich drzew, żeby go okryć, co uczyniło namiot praktycznie niewidocznym. Nie zrobił nic więcej niż rzucenie spojrzenia w jej kierunku, i po chwili ruszyła się mu pomóc. Popatrzył na nią wtedy i pozwolił zebrać więcej gałęzi, podczas gdy on umieszczał je na namiocie.

Gdy praca została ukończona, powiedział: - Nie możemy ryzykować ognia, więc będziemy tylko jeść i spać. Po dzisiejszym dniu, marzę, żeby trochę pospać.

Jane także o tym marzyła, ale bała się nadchodzącej nocy. Światło szybko zanikało, i wiedziała, że wkrótce zrobi się zupełnie ciemno. Przypomniła sobie całkowitą ciemność poprzedniej nocy i poczuła zimne macki strachu przesuwające się wzdłuż kręgosłupa. Cóż, nie mogła nic na to poradzić; musiała to przetrzymać.

Przykucnęła obok swojego plecaka i wyjęła dwie puszkę z sokiem pomarańczowym, rzucając jedną do niego; złapał ją zręcznie i spojrzał na jej plecak z rosnącą irytacją. - Ile jeszcze puszek tego masz w tym przenośnym supermarkecie? - zapytał sarkastycznie.

- To już ostatnie. Od teraz musimy pić wodę. A co powiesz na batonik muesli? - Podała mu, nie pozwalając sobie na odpowiedź na rozdrażnienie w jego głosie. Była zmęczona, obolała, i miała przed sobą długą noc w całkowitej ciemności. Biorąc to pod uwagę, jego rozdrażnienie nie wydawało jej się bardzo ważne. On był ponad to.

Zjadła własny batonik, ale nadal była głodna, więc wygrzebała coś innego do jedzenia. - Chcesz trochę sera i krakersów? - zapytała, wyciągając jedzenie z plecaka.

Spojrzała na niego i zauważyła, że obserwował ją z wyrazem surowego niedowierzania na twarzy. Wyciągnął rękę, a ona rozdzieliła ser i krakersy między nimi. Spojrzał na nią ponownie, potrząsnął głową i w milczeniu zjadł swoją część.

Jane zostawiła sobie trochę soku pomarańczowego i kiedy skończyła jeść wyciągnęła z plecaka małą buteleczkę. Otworzyła i wytrząsnęła na dłoń pigułkę, spojrzała na Granta, po czym wytrząsnęła jeszcze jedna. - Masz, - powiedziała.

Spojrzał na nią, ale nie próbował jej wziąć. - Co to do cholery jest?

- Drożdże w tabletkach.

- Dlaczego miałbym chcieć wziąć drożdże w tabletkach?

- Dlatego, żeby nie pogryzły cię komary i inne rzeczy.

- Oczywiście, że nie.

- Na pewno nie! Spójrz na mnie. Nie mam żadnych ukąszeń owadów, a to dlatego, że łykam drożdże w tabletkach. Robią coś z chemią skóry. Chodź, weź to. Nic ci się nie stanie.

Wziął od niej pigułkę i przytrzymał z bolesnym wyrazem twarzy, kiedy ona wzięła swoją, popijając łykiem soku pomarańczowego, który zostawiła. Podała mu puszkę, a on mruknął coś nieprzyzwoitego, zanim wrzucił pigułkę do ust i przełknął resztę soku.

- Ok, czas się położyć, - powiedział, wstając. Kiwnął głową w stronę drzew. - Tam jest łazienka, jeśli chcesz iść zanim się położymy.

Jane poszła za drzewa. Był surowy, był niegrzeczny, trochę okrutny... - i uratował jej życie. Nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Bez względu na to, jak szorstki był, to ostatecznie rozbroił ją niespodziewanym aktem dobroci. Z drugiej strony, gdy wszystko szło gładko między nimi, mówił rzeczy, które bolały, jakby celowo starał się sprowokować kłótnię.

Czekał na nią przy otworze namiotu. - Już rozłożyłem koc. Włóż.

Uklękła i wczołgała się do małego namiotu. Usiadła na rozłożonym na podłodze kocu. Wepchnął do środka ich plecaki. - Zabierz je z drogi, - polecił. - Mam zamiar jeszcze się rozejrzeć.

Upchnęła plecaki w kącie namiotu, a następnie położyła się na plecach i patrzyła w napięciu na cienkie ściany. Światło prawie już znikło; były tylko przebłyski widoczne przez prześwitującą tkaninę. Na zewnątrz nie

było jeszcze aż tak ciemno, ale gałęzie użyte jako kamuflaż powodowało, że w środku było ciemniej.

Kłapa uniosła się, i Sullivan wczołgał się do środka, a następnie zamknął otwór.

- Zdejmij swoje buty i umieść je w kącie obok nóg.

Siadając zrobiła jak kazał, a potem znów się położyła. Jej oczy w napięciu otworzyły się tak szeroko, że aż ją paliły. Jej ciało było sztywne ze strachu, kiedy słuchała jak on się rozciąga, ziewa i wygodnie układa.

Chwilę później cisza stała się równie nie do zniesienia jak ciemności.

- Składane namioty są poręczne, co nie? - wypaliła nerwowo. - Z czego to jest wykonane?

- Z nylonu, - odparł, znów ziewając. - Jest prawie niezniszczalny.

- Ile waży?

- Trzy funty i osiem uncji⁵.

- Czy jest wodoodporny?

- Tak, jest wodoodporny.

- A robakoodporny?

- Robakoodporny też, - mruknął.

- A czy myślisz, że jaguar mógłby...

- Słuchaj, jest jaguaroodporny, pleśnioodporny, ognioodporny i węzoodporny. Osobiście gwarantuję, że jest wszystkoodporny za wyjątkiem słoni, ale nie sądzę, że zostaniemy stratowani przez słonia w Kostaryce! Czy istnieją jeszcze inne cholerstwa, którymi się martwisz? - eksplodował. - Jeśli nie, to dlaczego nie możesz być cicho i pozwolić mi się przespać?

Jane leżała w napięciu, i znów zapadła cisza. Zacisnęła pięści, starając się kontrolować swoje zdenerwowanie, słuchając rosnącej kakofonii dżungli w nocy. Małpy wyły i szczekały; owady brzęczały; zarośla szeleściły. Była wyczerpana, ale nie miała realnej nadziei na spanie, przynajmniej nie do białego rana, ale nad ranem ten diabeł obok niej chciałby rozpocząć kolejny dzień podróznego maratonu.

Był całkowicie cicho w ten swój niepokojący sposób. Nie mogła nawet usłyszeć, jak oddycha. Stary strach zaczął rosnąć w jej klatce piersiowej,

⁵ Około 1,5 kg.

powodując trudności z oddychaniem. Równie dobrze mogła być sama, i to była jedyna rzecz, jakiej absolutnie nie mogła znieść.

- Skąd jesteś?

Westchnął. - Z Georgii.

To wyjaśniało jego akcent. Przełknęła ślinę, starając się złagodzić skurcz jej suchego gardła. Gdyby udało jej się z nim rozmawiać, to może nie czułaby się tak samotnie. Wiedziałyby, że tam jest.

- Z jakiej części Georgii?

- Południowej. Słyszałaś o Okefenokee?

- Tak. Tam są bagna.

- Wychowałem się na nich. Moi rodzice mają farmę na ich skraju. - Był zwyczajnym chłopcem, za wyjątkiem umiejętności, które nabył automatycznie na bagnach, tych umiejętności, które w końcu zmieniły jego życie poprzez ukształtowanie go w coś nie do końca ludzkiego. Odepchnął wspomnienia, uciszając je mentalnie, izolując się. Nie było sensu myśleć o tym, co było.

- Czy jesteś jedynakiem?

- Po co te wszystkie pytania? - warknął, podenerwowany na ujawnianie jakichkolwiek informacji o sobie.

- Jestem ciekawa, to wszystko.

Urwał, nagle czujny. Było coś w jej głosie, jakiś sygnał, którego nie mógł zinterpretować. Było ciemno, więc nie mógł zobaczyć jej twarzy; musiał w całości polegać na tym, co powiedziały mu uszy. Jeśli będzie z nią rozmawiał, to może będzie w stanie zrozumieć.

- Mam siostrę, - powiedział w końcu niechętnie.

- Założę się, że ona jest młodsza. Jesteś tak apodyktyczny, że musisz być starszym bratem.

Pozwolił jej dowiedzieć się więcej i powiedział tylko: - Jest cztery lata młodsza.

- Ja jestem jedynaczką, - powiedziała niepytana.

- Wiem.

Szukała gorączkowo czegoś innego do powiedzenia, ale ciemność powodowała jej panikę. Poczwała, że musi się go złapać, a potem przypomniała sobie, co powiedział o zaskakiwaniu go, i nie składaniu ofert,

których nie miała na myśli. Zacisnęła zęby i uspokajała poszukujące dłonie, tak intensywnie, że z wysiłku napłynęły jej w oczach łzy. Zamrugła.

- Grant, - powiedziała drżącym głosem.

- Czego? - warknął.

- Nie chcę, żebyś pomyślał, że rzucam się na ciebie jeszcze raz, bo ja naprawdę tego nie robię, ale miałbyś coś przeciwko gdybym... po prostu chwyciła cię za rękę? - szepnęła. - Przepraszam, ale boję się ciemności, i pomaga mi, jeśli wiem, że nie jestem sama.

Jeszcze chwilę był spokojny; a potem usłyszała szelest jego ubrania, kiedy przewracał się na bok. - Naprawdę, boisz się ciemności?

Jane próbowała się śmiać, ale ten dźwięk był tak roztrzęsiony, że zabrzmiał niczym szloch. - Najbardziej przerażające tylko zaczyna opis, tego jak się boję. Nie mogę spać w ciemności. Cały czas, kiedy byłam na tej nieszczęsnej plantacji nie spałam przez całą noc, nigdy nie zasypiając aż do rana. Ale przynajmniej mogłam wykorzystać ten czas, aby obserwować strażników i poznać ich ruchy. Poza tym, tam nie było tak zupełnie ciemno jak tutaj.

- Jeśli tak potwornie boisz się ciemności, to dlaczego byłaś gotowa udać się do dżungli na własną rękę?

Ciemna, przystojna, niezwykle okrutna twarz ukazała się jej w wyobraźni przed oczami. - Bo nawet śmierć w dżungli jest lepsza niż Turego, - powiedziała cicho.

Grant chrząknął. Mógł zrozumieć ten wybór, ale fakt, że ona tak właściwie podsumowała sytuację ilustrowało po raz kolejny, że jest kimś więcej niż się wydaje. I ponownie, być może miała już powody, by wiedzieć, jak podły może być Turego. Czy Turego ją zgwałcił, albo czy to byłby gwałt? Kto to wiedział z tą kobietą?

- Uprawiałaś z nim seks?

Dosadne pytanie sprawiło, że zadrżała. - Nie, trzymałam go z daleka, ale gdy wczoraj wyjechał... to było wczoraj, prawda? A wydaje się, że rok temu. Zresztą, wiedziałam, że kiedy wróci, nie będę już w stanie powstrzymać go dłużej. Mój czas się skończył.

- Dlaczego byłaś tego taka pewna?

Jane przerwała, zastanawiając się, ile może mu powiedzieć,

zastanawiając się, ile on już wiedział. Jeśli był zaangażowany, to znał imię Luisa; gdyby tak nie było, imię to nic by dla niego nie znaczyło. Chciała mu powiedzieć; nie chciała być już dłużej sama w tym koszmarze. Ale przypomniawszy sobie, co George mówi jej kiedyś, że tajemnica była synonimem bezpieczeństwa, więc stłumiła potrzebę odwrócenia się w ramiona Granta i powiedzenia mu, jak jest samotna i wystraszona. Jeśli nie był już zaangażowany, to był bezpieczniejszy, nie wiedząc nic o nim. Z drugiej strony, jeżeli był zaangażowany, to ona może być bezpieczniejsza, jeśli nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo była częścią tej gry. Wreszcie, odpowiadając na to pytanie, powiedziała: - Nie byłam pewna. Po prostu bałam się tam zostać, obawiałam się Turego.

Mruknął, i wydawało się, że to koniec rozmowy. Jane zacisnęła szczękę przed nagłym szczekaniem zębami. W namiocie było gorąco i parno, ale dreszcze biegały w górę i w dół jej ciała. Dlaczego nie powiedział czegoś innego, czegokolwiek, a nie leżał tak cicho? Równie dobrze mogła być sama. To było nienaturalne, aby ktokolwiek zachowywał się tak bezgłośnie, całkowicie się kontrolował.

- Jak się miewał tatuś?

- Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałam się. - Czy on celowo był taki wymijający? Dlaczego nie chciał powiedzieć o jej ojcu? Być może w ogóle nie został wynajęty przez jej ojca i nie chciał dać się wciągnąć w rozmowę o kimś kogo powinien znać ale nie znał.

Po odmierzonym milczeniu, jakby starannie rozważał swoją odpowiedź, powiedział: - Martwił się o ciebie. Zdziwiona?

- Nie, oczywiście, że nie, - powiedziała, zaskoczona. - Byłabym zaskoczona, gdyby się nie martwił.

- Nie dziwi cię to, że zapłacił małą fortunę, aby wydostać cię z rąk Turego, mimo że nie dogadujesz się z nim?

Zaskoczył ją; czuła się pominięta w rozmowie, jak gdyby mówił o kimś zupełnie innym. - Co ty mówisz? Zawsze dogadujemy się doskonale.

Nie mogła go zobaczyć, nie mogła usłyszeć, ale nagle było w nim coś innego, tak jakby samo powietrze stało się naładowane elektrycznie. Potężne uczucie zagrożenia spowodowało, że włoski na jej ciele wstały.

Niebezpieczeństwo nadchodziło od niego. Nie wiedząc dlaczego, cofnęła się od niego tak daleko, jak tylko mogła, w przestrzeni małego namiotu, ale nie było ucieczki. Z szybkością atakującego węża, przewrócił ją i przycisnął, kładąc jej ręce nad głową i trzymając w stalowym uścisku, który powodował ból nadgarstków.

- No dobrze, Jane, lub Priscillo, lub kimkolwiek jesteś, będziemy rozmawiać. Zamierzam zadawać pytania a ty będziesz na nie odpowiadać, i lepiej prawdziwie lub ponownie znajdziesz się w tarapatach, złotko. Kim jesteś?

Czy on oszalał? Jane krótko walczyła przeciw uściskowi na nadgarstkach, ale nic nie zwojowała. Jego waga przyciskała ją ciężko, kontrolując ją całkowicie. Jego umięśnione nogi były splecione z jej, zapobiegając kopniakom.

- C-co...? - wyjąkała. - Grant, sprawiasz mi ból!

- Odpowiedz mi, do cholery! Kim jesteś?

- Jane Greer! - Rozpaczliwie próbowała nadać trochę humoru swojemu głosowi, ale nie był to udany wysiłek.

- Nie lubię być okłamywany, złotko. - Jego głos był aksamitnie miękki, a jego brzmienie zmroziło ją do szpiku kości. Nawet Turego nie wpływał tak na nią; Turego był niebezpiecznym, okrutnym człowiekiem, ale mężczyzną, który ją teraz trzymał był najbardziej śmiertelnością osobą, jaką kiedykolwiek widziała. Nie musiał sięgać po broń, by ją zabić; mógł to zrobić gołymi rękami. Była wobec niego całkowicie bezradna.

- Nie kłamie! - zaprotestowała rozpaczliwie. - Jestem Priscilla Jane Hamilton Greer.

- Jeśli byś nią była, to wiedziałabyś, że James Hamilton odciął się od ciebie kilka lat temu. Więc dogadujesz się z nim po prostu doskonale, prawda?

- Tak właśnie jest! - napięła się przeciw niemu, a on celowo pozwolił jej poczuć większość jego masy, co utrudniało jej oddychanie. - Zrobił to, aby mnie chronić!

Po długiej, milczącej chwili, w której słyszała szum krwi w uszach, czekała na jego reakcję. Jego milczenie drażniło jej nerwy. Dlaczego nic nie mówił? Czuła jego ciepły oddech na policzku, mówiący jej, jak blisko

był, ale w ogóle nie mogła go zobaczyć w tym duszącym mroku. - To jest dobre, - odpowiedział w końcu, a ona wzdrygnęła się na lodowaty sarkazm w jego głosie. - Szkoda, że tego nie kupuję. Spróbuj jeszcze raz.

- Mówię prawdę! Zrobił to, abym była mniej atrakcyjnym celem porwania. To był mój pomysł, do cholery!

- Jasne, że tak, - zanucił, a niski, jedwabisty dźwięk spowodował, że zadrżała konwulsyjnie. - Daj spokój, możesz to zrobić lepiej.

Jane zamknęła oczy, rozpaczliwie szukając jakiegoś sposobu przekonania go o swojej tożsamości. Nic nie przychodziło jej do głowy, a nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Turego zabrał jej paszport, więc nie miała nawet tego. - Moment, a co z tobą? - wypaliła w nagłej wściekłości. Dał jej spory wycisk, przetrwała go bez narzekania, a teraz, przestraszył połowę jej umysłu. Przyparł ją wcześniej do ściany, ale musiała oddać cios. - Kim jesteś? Skąd mam wiedzieć, że mój ojciec naprawdę cię zatrudnił? Jeśli tak, dlaczego nie wiesz, że nikt nie nazywa mnie Priscillą? Byłeś niechlujny w odrabianiu pracy domowej!

- W przypadku, gdybyś nie zauważyła, kochanie, to ja zadaję pytania. Ty odpowiadasz.

- Zrobiłam tak, i mi nie uwierzyłeś, - warknęła. - Wybacz, ale nie mam przy sobie karty American Express. Na litość boską, czy ja wyglądam na terrorystkę? Prawie złamałeś mi rękę, potem mnie ogłuszyłeś. Odbijałeś mną o ziemię jak gumową piłką, i masz zupełną czelność twierdzić, że jestem niebezpieczna? Mój Boże, to jeszcze lepiej mnie przeszukaj, bo nie będziesz mógł spać tej nocy. Kto wie, może mam bazookę przywiązaną do nogi, ponieważ jestem tak niebezpieczną postacią! - Jej głos wzrósł wściekłością i urwał się przez cały ciężar spoczywający na jej klatce piersiowej. Kiedy jęknęła, uniósł się ponownie.

- Nie, nie jesteś uzbrojona. Widziałem cię bez ubrania, pamiętasz?

Nawet w ciemności, Jane zarumieniła się na to wspomnienie, na sposób w jaki ją całował i dotykał, i jak czuła się czując na ciele jego ręce. Poruszył się powoli na niej, zatrzymując jej oddech, tym razem sugestywną intymnością jego ruchów. Jego ciepły oddech poruszył jej włosy, kiedy pochylił głowę bliżej. - Ale ja nie chcę zawieść damy. Jeśli chcesz być przeszukana, to zrobię to. Nie miałbym nic przeciwko rewizji osobistej.

Wzdychając, Jane spróbowała ponownie uwolnić ręce, ale ostatecznie poddała się z obrzydzeniem w daremnym trudzie. Czysta frustracja w końcu oczyściła jej umysł, poddając jej pomysł, więc powiedziała surowo: - Czy byłeś w moim domu, kiedy mój ojciec cię zatrudnił?

Był spokojny, ale wyczuła jego nagły wzrost zainteresowania. - Tak.

- Oglądałeś go?

- Tak.

- Więc taki cwaniaczek jak ty zauważył portret nad kominkiem. Jesteś przeszkolony zauważać różne rzeczy, prawda? Jest to portret mojej babci, matki ojca. Namalowano ją na siedząco, z jedną różą na kolanach. A teraz powiedz mi, jaki kolor ma jej suknia, - wyzwała go.

- Czarny, - powiedział powoli. - A róża była czerwona jak krew.

Gęsta cisza zapadła między nimi; potem uwolnił jej ręce i zabrał z niej swój ciężar. - Dobrze, - powiedział w końcu. - Przyznaję ci prawo do wątpliwości...

- Cóż, rany, dziękuję! - Drażliwie przetarła swoje nadgarstki, starając się pohamować gniew w obliczu ogromnej ulgi, która ją wypełniła. Najwyraźniej jej ojciec zatrudnił go, bo inaczej jak mógłby widzieć portret w gabinecie? Chciała być na niego zła, ale wiedziała, że mu wybaczy, bo było jeszcze ciemno. Mimo wszystko była strasznie zadowolona, że tam był. Poza tym, powiedziała sobie ostrożnie, to było zdecydowanie lepiej poznać dobre strony tego człowieka.

- Nie dziękuj, - powiedział zmęczonym głosem. - Po prostu bądź cicho i idź spać.

Sen! Jeśli tylko by się dało! Świadomie, wiedziała, że nie jest sama, ale jej podświadomość wymagała dodatkowego potwierdzenia jej zmysłami. Musiała go zobaczyć, usłyszeć, lub dotknąć. Zobaczenie go było wykluczone; wątpiła, że pozwoliliby jej mieć latarkę zapaloną przez całą noc, nawet przy założeniu, że ją miał. Nie chciał rozmawiać z nią przez całą noc i nie spać. Być może, jeśli ona ledwo go dotknie, to on stwierdzi, że to przypadek, i nie zrobi z tego wielkiej sprawy. Ukradkiem przesuwiała swoją prawą rękę, aż opuszkami palców ledwie musnęła jego owłosione przedramię... - a on natychmiast chwycił jej nadgarstek w ten swój bolesny uścisk.

- Ała! - krzyknęła, a jego palce się rozluźniły.

- Ok, o co teraz chodzi? - Jego ton pokazywał wyraźnie, że jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Chciałam tylko cię dotknąć, - przyznała Jane, zbyt zmęczona, żeby teraz przejmować się tym, co on myśli, - wtedy wiem, że nie jestem sama.

Mruknął. - No dobrze. Wygląda na to, że tylko w ten sposób będę mógł się wyspać. - Przeniósł rękę, przesuwając swoją szorstką dłoń do jej i splótł ich palce razem. - No, czy teraz w końcu pójdziesz spać?

- Tak, - szepnęła. - Dziękuję.

Leżała, ogromnie i w niewytłumaczalny sposób pocieszona uściskiem tej twardej ręki, takiej ciepłej i mocnej. Jej oczy powoli zamykały się, a ona stopniowo się rozluźniała. Nocny koszmar nie nadszedł. Trzymał ją mocno w ryzach, silnym, stabilnym uściskiem dłoni wokół niej. Wszystko będzie w porządku. Kolejna fala wyczerpania przetoczyła się nad nią, a ona zasnęła, jakby ktoś wyłączył nagle światło.

* * *

Grant ocknął się przed świtem, i jego zmysły natychmiast się obudziły. Wiedział, gdzie jest, i wiedział, która jest godzina; jego niesamowity szósty zmysł mógł wskazać czas w ciągu kilku sekund. Normalne dźwięki nocnej dżungli powiedziały mu, że są bezpieczni, i że nie było innego człowieka w pobliżu. Natychmiast poznał tożsamość innej osoby leżącej z nim w namiocie. Wiedział też, że nie może się ruszyć, i nawet wiedział, dlaczego: Jane spała na nim.

Naprawdę nie miał nic przeciwko temu, że był używany jako łożko. Była miękka i ciepła, a jej kobiecy zapach zapłonął mu w nozdrzach w uznaniu. Miękkość jej piersi przy nim sprawiała, że czuł się dobrze. Ta szczególna, niepowtarzalna miękkość nigdy nie opuści umysłu mężczyzny, zapisując się na zawsze w jego pamięci, jak czuł tę pełnię kobiety obok siebie. Od dawna nie spał z kobietą, i zapomniał, jakie to dobre uczucie. Uprawiał seks - znalezienie chętnej kobiety nie sprawiało problemu - ale te spotkania były przypadkowe, tylko dla samego aktu fizycznego. Zawsze kiedy kończył, nie miał skłonności do odpoczynku. A szczególnie w ubiegłym roku, nie był skłonny tolerować niczyjej obecności. Sporo czasu spędził sam, jak ranne zwierzę liżące rany; jego umysł i dusza były wypełnione

śmiercią. Spędził tak dużo czasu w cieniu, że nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek znajdzie światło słoneczne, ale się starał. Słodkie, gorące słońce Tennessee uzdrowiło jego ciało, ale nie w jego umyśle wciąż jeszcze była lodowata ciemność.

W związku z tym i biorąc pod uwagę jego ostrą świadomość otoczenia, nawet we śnie, jakim cudem Jane dostała się na niego, nie budząc go? To był już drugi raz, kiedy zbliżyła się do niego bez budzenia go, i to mu się nie spodobało. Rok temu, nie mogłaby drgnąć bez obudzenia go.

Poruszyła się nagle, wzdychając trochę we śnie. Jedna z jej rąk była owinięta wokół jego szyi, twarz przyciśnięta do piersi, jej ciepły oddech poruszał loczki w głębokim dekolcie jego podkoszulka. Leżała na nim jakby była pozbawiona kości, jak kot, jej miękkie ciało odpowiadało twardym konturom jego ciała. Jej nogi były splątane z jego, włosy ułożone na jego nagim barku i ramieniu. Jego ciało stwardniało, mimo niemal dzikiej irytacji na siebie samego, i powoli jego ramiona uniosły się, by ją przytrzymać, ręce przesuwwały się nad jej miękkimi plecami. Mógł ją mieć, gdyby tylko chciał. Bardzo specjalistyczne szkolenia które otrzymał nauczyły go, jak sprawiać rozdzierający ból drugiemu człowiekowi, ale poboczne korzyści z tej wiedzy były takie, że wiedział również, jak dać przyjemność. Znał wszystkie czułe i wrażliwe miejsca jej ciała, wiedział, jak pobudzić nerwy, o których pewnie nawet nie wiedziała, że ma. Poza tym wiedział, jak kontrolować swoje reakcje, jak przedłużyć zmysłowe spotkanie, aż jego partnerka będzie w pełni zadowolona.

Ta pewna wiedza, że może ją mieć, zjadała go, wypełniając jego umysł obrazami i wrażeniami. W ciągu dziesięciu minut mógł mieć ją błagającą o to żeby w nią wszedł, pochwycony przez te długie, smukłe, nogi tancerki.

Jedyną rzeczą, która go powstrzymała było niemal dziecinne zaufanie, z którym spała skulona na nim. Spała, jakby czuła się całkowicie bezpieczna, jakby mógł ją ochronić od wszystkiego. Zaufanie. W jego życiu, przez wiele lat było tak mało zaufania, że zaskoczyło go, że znalazł kogoś, kto potrafił zaufać tak łatwo i całkowicie. Czuł się z tym niezbyt komfortowo, ale jednocześnie dobrze, prawie tak dobrze, jak jej ciało w jego ramionach. Więc leżał wpatrując się w ciemność, trzymając ją, gdy spała, gorzką ciemność jego myśli kontrastując ciepłą, nieuchwytną

słodczą dwóch ciał leżących razem w cichym odpoczynku.

Gdy pierwszy słabe światło zaczęło filtrować się przez drzewa, przesunął rękę po jej ramieniu i uścisnął ją lekko. - Jane, obudź się.

Mruknęła coś niezrozumiałego i wtuliła się w niego, ukrywając twarz w jego szyi. Poruszył się lekko przekręcając, żeby ułożyć ją na kocu. Jej ramiona wciąż obejmowały jego szyję, i zacisnęła uścisk, jakby bała się upadku. - Poczekaj! Nie odchodź, - powiedziała natarczywie, a dźwięk własnego głosu obudził ją. Otworzyła oczy, mrugając na niego jak sowa. - Och. Czy to już rano?

- Tak, to już rano. Myślisz, że możesz mnie już puścić?

Zawstydzona, spojrzała na niego, a potem zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma ręce wokół jego szyi. Opuściła je, jakby oparzona, i choć światło było zbyt słabe, aby miał pewność, pomyślał, że jej policzki pociemniały z rumieńca.

- Przepraszam, - powiedziała.

Był wolny, ale dziwnie niechętny do opuszczenia małej przestrzeni namiotu. Jego lewa ręka była wciąż jeszcze pod jej szyją, podtrzymując głowę. Potrzeba dotknięcia jej była przytłaczająca, kierując jego rękę pod jej koszulę, która w rzeczywistości była jego. Położył płasko dłoń na jej nagim brzuchu. Jego palce i dłoń rozkoszowała się ciepłą jedwabistością jej skóry, urzekając świadomością, że bardziej rozkoszne przyjemności dotykowe czekały powyżej i poniżej miejsca, gdzie spoczywała teraz jego ręka.

* * *

Jane czuła swój przyspieszający, rytmiczny oddech, a jej puls podskoczył z wolnego tempa snu do niemal szaleńczego rytmu.

- Grant? - zapytała z wahaniem. Jego ręka spoczywała tylko na brzuchu, ale czuła, że jej piersi skręcają się w oczekiwaniu, a jej sutki sterczą. Niespokojny ból obudził się do życia wewnątrz niej. To była ta sama pusta potrzeba, którą czuła, kiedy stała prawie naga w jego ramionach, na samym środku strumienia, i pozwalała mu się dotykać z surową zmysłowością, której nigdy wcześniej nie doświadczyła. Trochę się obawiała tej potrzeby, jak i mężczyzny, który stworzył ją swoim dotykiem, a który pochylał się nad nią w takim skupieniu.

Swoje jedyne doświadczenie seksualne zdobyła z mężem. Brak sukcesów w tym zakresie ich małżeństwa był, co wiedziała, poważnym ograniczeniem, pozostawiając ją prawie całkowicie nierozbudzoną nawet niezainteresowaną. Chris nie dał jej żadnego użytecznego poziomu, bo nie było w ogóle żadnego porównania między jej byłym mężem - miłym, wesołym człowiekiem, szczupłym i tylko kilka centymetrów wyższym niż ona - i tym dużym, szorstkim, muskularnym wojownikiem. Chris był całkowicie cywilizowany; Grant nie był cywilizowany w ogóle. Jeśli ją weźmie, czy będzie potrafił kontrolować swoją przerażającą siłę, czy zdominuje ją całkowicie? Być może to właśnie było to, co przerażało ją przede wszystkim, dlatego że największą walkę w swoim życiu stoczyła o niezależność: wolność od strachu i od nadopiekuńczości rodziców. Walczyła tak ciężko i tak długo o kontrolę nad swoim życiem, że teraz była przerażona, kiedy zdała sobie sprawę, że była całkowicie na łasce Granta. Żadne kursy samoobrony, które przeszła nie przygotowało jej na niego; w ogóle nie miała się jak bronić. Wszystko, co mogła zrobić, to mu zaufać.

- Nie obawiaj się, - powiedział spokojnie. - Nie jestem gwałcicielem.

- Wiem. - Zabójcą, być może, ale nie gwałcicielem. - Ufam ci, - szepnęła i położyła dłoń na jego porośniętej zarostem szczęce.

Posłał jej mały, cyniczny uśmiech. - Nie ufaj mi za bardzo, kochanie. Chcę cię całkiem mocno, i budzenie się z tobą w moich ramionach wystawia moje dobre intencje na granicę. - Ale odwrócił głowę i wycisnął szybki pocałunek na czułej dłoni, którą pogłaskała go po policzku. - Rusz się, musimy iść. Czuję się jak kaczka do odstrzału w tym namiocie, teraz, że jest już światło dzienne.

Dźwignął się do pozycji siedzącej i sięgnął po buty, szarpiąc je i splatając w szybkich, ruchach eksperta. Jane usiadła wolniej, całe jej ciało zaprotestowało. Ziewnęła i zepchnęła swoje splątane włosy z twarzy, a następnie założyła własne buty. Grant opuścił namiot zanim skończyła, i wyczołgała się za nim. Kiedy stanęła na nogi, rozciągnęła bolące mięśnie, a następnie zwinnie dotknęła kilka razy palców nóg. Podczas tej gimnastyki, Grant szybko zdemontował namiot. Dokonał tego w tak krótkim czasie, że mogła tylko mrugać na niego ze zdumieniem. W jedną tylko chwilę namiot został ponownie złożony do niewiarygodnie małej

paczki i włożony do jego plecaka, z cienkim kocem zwiniętym obok niego.

- Masz więcej bajerów w tym swoim bezdennym plecaku? - zapytał.

- Jeśli nie, to jemy połowe racje żywnościowe.

- To te obrzydlistwa, które masz?

- Zgadza się.

- No cóż, zobaczymy. Wiem, że nie mam więcej soku pomarańczowego...

- Otworzyła plecak i zajrzał do niego, a potem wsunęła dłoń w jego głąb.

- Ach! Dwa kolejne batoniki. Nie masz nic przeciwko, jeśli wezmę ten z kokosa? Nie przepadam specjalnie za rodzynkami.

- Jasne, - zgodził się leniwie. - Poza tym, są twoje.

Posłała mu zirytowane spojrzenie. - Są nasze. Czekał - to puszka... Wyciągnęła puszkę na zewnątrz i przeczytała etykietę, a następnie uśmiechnęła się triumfalnie. - Wędzonego łososia! I jakieś krakersy. Proszę usiąść, sir, i zjemy śniadanie.

Usiadł posłusznie, wyciągnął zza pasa nóż i sięgnął po puszkę łososia. Jane zabrała ją z powrotem i uniosła dumnie brwi. - Muszę ci powiedzieć, że jest to wysokiej klasy jedzenie. Nie otwieramy naszych puszek nożami!

- Nie robimy tego? To czego używamy, naszych zębów?

Uniosła podbródek ku niemu i przeszukała plecak ponownie, w końcu wydobywając otwieracz do puszek. - Musisz wiedzieć, - powiedziała, podając mu otwieracz: - że kiedy ja uciekam, mam styl.

Wziął otwieracz i zaczął otwierać puszkę łososia. - Właśnie widzę. Jak ci się udało pozyskać te wszystkie rzeczy? Już widzę jak zostawiasz Turego listę wszystkiego, czego potrzebujesz do ucieczki.

Jane zachichotała, bogaty, ochrypliły dźwięk, który spowodował, że podniósł swoją ciemnozłotą głowę znad swojego zadania. Te przeszywające żółte oczy zaświeciły się na jej twarzy, obserwując ją, jakby badał skarb. Była zajęta wyławianiem krakersów z plecaka, więc przegapiła ten przelotny wyraz. - Prawie tak było. Miałam te "zachcianki", choć rzadko wspominałam o nich Turego. Zamieniałam po prostu słowo z kucharzem, a on zdobywał na ogół to, czego chciałam. I najeżdżałam kuchnię lub kwatery żołnierzy po coś prawie każdej nocy.

- Jak ten plecak? - zapytał, spoglądając na niego.

Poklepała go czule. - Milutki, prawda?

Nie odpowiedział, ale zauważyła słabe zmarszczenie w kącikach oczu, jakby myślał o uśmiechu. Jedli łośosia i krakersy w przyjaznej ciszy, popijając jedzenie wodą z manierki Granta. Zjadł też batonika, ale Jane postanowiła swój zachować na później.

Kucając obok plecaka, wyjęła szczotkę i przywróciła porządek w swojej splecionej grzywie włosów, a następnie oczyściła twarz i ręce wilgotną chusteczką. - Chcesz jedną? - zapytała grzecznie Granta, oferując mu jedną z małych paczuszek.

* * *

On obserwował ją z oszołomionym rodzajem zdziwieniem, ale wziął paczuszkę z jej ręki i otworzył. Mała, mokra chusteczka miała ostry zapach, i poczuł się świeższy i chłodniejszy, po umyciu nią twarzy. Ku jego zaskoczeniu, część z barwnika, którym uczernił twarz przed udaniem się po Jane pozostała na skórze; wyglądał pewnie jak diabeł z piekła, z tymi smugami na twarzy.

Znajomy dźwięk przykuł jego uwagę, kiedy odwrócił się i spojrzał na Jane. Na ziemi obok niej leżała tubka pasty do zębów, a ona pracownicie je szczotkowała. Kiedy tak patrzył, wypłuła pastę, a następnie wzięła małą butelkę i przechyliła do ust, przepłukała, a następnie wypłuła. Jego oszołomiony wzrok zidentyfikował butelkę. Przez całych pięć sekund mógł tylko się na nią gapić; potem usiadł i zaczął się bezradnie śmiać. Jane płukała sobie usta wodą mineralną Perrier.

ROZDZIAŁ 6

Jane zachnęła się na moment, ale to było tak przyjemne, usłyszeć jak Grant się śmieje, że po kilku sekundach usiadła na piętach i po prostu obserwowała go, trochę się sama uśmiechając. Kiedy się śmiał, jego surowa, pokryta bliznami twarz stała się młodsza, nawet piękna, jakby cienie opuściły jego oczy. Coś ścisnęło ją w piersi, coś, co bolało i powodowało ciekawe uczucie topnienia. Chciała podejść i przytulić go, aby upewnić się, że te cienie nie dosięgną go jeszcze raz. Zaraz wyśmiała się sama za to absurdalne poczucie opiekuńczości. Jeśli ktoś potrafił o siebie zadbać, to właśnie Grant Sullivan. Jej gest troski nie byłby mile widziany; prawdopodobnie pomyślałby, że to zaproszenie seksualne.

Aby ukryć co czuła, włożyła swoje rzeczy z powrotem do plecaka, a następnie zwróciła ku niemu pytająco oczy. - Nie chcesz skorzystać z pasty do zębów? - zaofiarowała.

Wciąż chichocząc powiedział. - Dziękuję, kochanie, ale mam proszek do zębów i będę korzystać z wody w manierce. Boże! Woda Perrier!

- Cóż, musiałam mieć wodę, ale nie byłam w stanie zdobyć manierki, - wyjaśniła rozsądnie. - Uwierz mi, że raczej dużo bardziej wolałabym manierkę. Musiałam zawijać wszystkie butelki w ubrania, żeby nie dzwoniły o siebie albo się potłukły.

To wydawało się jej całkowicie logiczne, ale rozśmieszyło go ponownie. Siedział ze zgarbionymi ramionami i trząsł się, trzymając głowę w dłoniach i śmiejąc się tak, aż łzy pociekły mu po twarzy. Po tym, jak już przestał, umył swoje zęby, ale wciąż wydawał z siebie małe dławiące dźwięki, które powiedziały Jane, że ta sytuacja wciąż była dla niego bardzo zabawna. Była beztroska i szczęśliwa, że dała mu powód do śmiechu.

Sprawdziła swoją bluzkę i stwierdziła, że jest sztywna, ale sucha. - Możesz wziąć swoją koszulę z powrotem, - powiedziała, odwracając się by ją zdjąć. - Dzięki za pożyczkę.

- Czy twoja bluzka jest sucha?

- Całkowicie. - Zdjęła jego koszulę, rzuciła na swój plecak, i pośpiesznie zaczęła wkładać swoją bluzkę. Miała już jedno ramię w rękawie, kiedy zaklął siarczyście. Podskoczyła, zaskoczona, i spojrzała na niego przez

ramię.

Jego twarz była ponura kiedy podszedł szybko do niej. Przed chwilą jego twarz była jasna ze śmiechu, ale teraz wyglądał jak chmura gradowa. - Co ci się stało w rękę? - warknął, łapiąc ją za łokieć i przytrzymując jej posiniaczone ramię do obejrzenia. - Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś ranna?

Jane próbowała chwycić bluzkę i przytrzymać ją wolnym ramieniem na swoich nagich piersiach, czując, że są strasznie wrażliwe i obnażone. Próbowała być nonszalancka podczas przebierania, ale jej delikatna równowaga została rozbита przez jego bliskość i zupełne lekceważenie jej skromności. Jej policzki zaczerwieniły się i w samoobronie spojrzała w dół na mocno posiniaczone ramię.

- Przestań być taka skromna, - warknął z irytacją, kiedy szarpała bluzką.

- Mówiłem ci, że już cię widziałem bez ubrania. - To było żenująco prawdziwe, ale nie pomogło. Stała nieruchomo, z płonąca twarzą, a on delikatnie badał jej ramię.

- To piekielny siniak, kochanie. Co z twoją ręką?

- Boli, ale mogę ją używać, - powiedziała sztywno.

- Jak to się stało?

- W różne sposoby, - powiedziała, starając się ukryć zakłopotanie za dobrymi manierami. - Ten siniak tutaj jest od uderzenia mnie przez ciebie w ramię, kiedy zakradłeś się do mojej sypialni i wystraszyłeś mnie na śmierć. Ten duży, wielobarwny jest od upadku z urwiska wczoraj rano. Ta mała interesująca pręga jest od gałęzi, która uderzyła mnie...

- Dobra, załapałem. - Wsunął palce w swoje włosy. - Przepraszam, że cię posiniaczyłem, ale nie wiedziałem, kim jesteś. Powiedziałbym nawet, że było między nami więcej niż ten wynik, w każdym razie, po tym kopniaku, który mi sprzedałaś.

Ciemnoczekoladowe oczy Jane wytrzeszczyły się wyrzutami sumienia.

- Nie chciałam, no w każdym razie nie bardzo. To był tylko odruch. Zrobiłam to zanim pomyślałam. Nic ci nie jest? To znaczy, nie zrobiłam ci chyba żadnego trwałego uszczerbku?

Mały, niechętny uśmiech pojawił się mu na ustach kiedy przypomniał sobie udręki podniecenia, które także zapisał na jej konto. - Nie, wszystko

jest w porządku, - zapewnił ją. Jego wzrok opadł do miejsca gdzie przyciskała bluzkę do piersi, a jego jasne bursztynowe oczy pociemniały przybierając kolor stopionego złota.

- Nie przekonałaś się, kiedy staliśmy w strumieniu i całowaliśmy się?

Jane spojrzała w dół automatycznie, a następnie gwałtownie odwróciła wzrok z powrotem w konsternacji, kiedy zdała sobie sprawę, gdzie się patrzy. - Och, - powiedziała tępo.

Grant powoli pokręcił głową, wpatrując się w nią. Była nieustającym paradoksem, nieprzewidywalną mieszanką niewinności i przekory, zaskakującej pruderii i niesamowitej śmiałości. W żaden sposób nie była tym, czego się spodziewał. Zaczynał się cieszyć każdą chwilą, którą z nią spędzał, ale przyznanie się do tego wpędziło go w niepokój. Miał zadanie wyciągnąć ją z Kostaryki, ale mógłby zagrozić własnej skuteczności, gdyby pozwolił sobie na zaangażować się z nią. Martwienie się o nią mogło zaciemnić jego osąd. Ale, do cholery, jak wiele może znieść mężczyzna? Pragnął jej i to pragnienie wzrastało z każdą chwilą. W jakiś dziwny sposób czuł się lżejszy, bardziej zadowolony. Ona z pewnością trzymała go w ciągłej gotowości! Do tego mógł się z nią śmiać lub rozważać czy jej nie pobić, ale nigdy nie był znudzony czy niecierpliwy w jej towarzystwie. Zabawne, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przedtem śmiał się razem z kobietą. Śmiech, zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku lat, był tym, czego brakowało w jego życiu.

Szczekająca małpa zwróciła jego uwagę, i spojrział w górę. Plamy słońca przebijające się za pośrednictwem ruchomych warstw drzew przypomniały mu, że tracą czas na podróż. - Włóż swoją bluzkę, - powiedział krótko, zabierając od niej szybko swój plecak. Założył go na plecy, a następnie zawiesił jej plecak na prawym ramieniu. Karabin miał przewieszony przez lewe ramię. Do tego czasu, Jane włożyła i bluzkę i zapięła guziki. Zamiast wciskać ją w spodnie, związała poły w węzeł w talii, jak wcześniej koszulę Granta. Tymczasem on już zaczął przedzierać się przez dżungłę.

- Grant! Zaczekaj! - zawołała do jego pleców, spiesząc za nim.

- Będziesz musiała trzymać się za mną, - powiedział bezdusznie, nie zwalniając kroku. Cóż, czy on myślał, że nie da rady? Jane oddychała ciężko, sapiąc i idąc jego śladem. Już ona mu pokaże! I mógł sobie

cholernie dobrze zachowywać się jak macho i nieść oba plecaki jeśli chciał; ona nie zamierzała oferować mu pomocy! Ale on nie zachowywał się jak macho, zdała sobie sprawę, i to zmniejszyło nieco jej oburzenie. On rzeczywiście był tak silny i niestrudzony.

W porównaniu do wstrząsającego poprzedniego dnia, godziny mijały spokojnie, bez śladu jakikolwiek ludzi. Deptała mu prawie po piętach, nie narzekając na karzące tempo jakie narzucił, choć upał i wilgotność były, o ile to możliwe, jeszcze gorsze niż dzień wcześniej. Nie było żadnego śladu wiatru pod grubym, duszącym baldachimem. Powietrze było nieruchome i ciężkie, parne z niemal namacalną grubością. Pociła się obficie, mocząc swoje ubrania i marząc o prawdziwej kąpieli. To ochłapanie w strumieniu dzień wcześniej było orzeźwiające, ale tak naprawdę nie kwalifikowało się jako kąpieli. Zmarszczyła nos. Pewnie pachniała jak kozioł.

No dobra i co z tego, powiedziała sobie. Jeśli tak było, to trudno. W dżungli chyba każdy był spocony.

Zatrzymali się przed południem na przerwę, i zmęczona Jane wzięła od niego manierkę. - Czy masz jakąś sól w tabletkach? - zapytała. - Myślę, że jej potrzebuję.

- Nie potrzebujesz soli czy miodu, tylko wody. Pij.

Napiła się, a następnie podała mu manierkę z powrotem. - Jest prawie pusta. Wlejmy do niej Perrier i wyrzucmy puste butelki.

Skinął głową, i zużyli trzy butelki. Kiedy był już gotowy kontynuować drogę, Jane zapytała: - Dlaczego się tak spieszysz? Myślisz, że idą za nami?

- Nie idą, - powiedział krótko. - Ale oni nas szukają, i im wolniej się poruszamy, tym mają lepsze szanse na znalezienie nas.

- W tym czymś? - Jane zażartowała, machając ręką, aby wskazać na otaczający las. Trudno było zobaczyć coś w odległości dziesięciu stóp w każdym kierunku.

- Nie możemy tu zostać na zawsze Nie lekceważ Turego; potrafi zmobilizować małą armię która nas szuka. Wystarczy, że pokażemy nasze twarze, a on będzie wiedział.

- Coś należałoby z nim zrobić, - powiedziała Jane stanowczo. - Z pewnością on nie działa z ramienia rządu?

- Nie. Wymuszenia i terroryzm to jego uboczna działalność. Wiedzieliśmy o nim, oczywiście, i czasami naprowadzaliśmy go na to, co chcieliśmy, żeby wiedział.

- My? - zapytała od niechcienia Jane zapytała.

Jego twarz natychmiast się zamknęła, stając się zimną i pustą jak ściana.

- To przenośnia. - W głowie, przeklął samego siebie za to, że był taki nieostrożny. Była zbyt bystra, żeby coś przegapić. Zanim zdążyła zadać więcej pytań, znów zaczął iść. Nie chciał mówić o swojej przeszłości, o tym, co było. Chciał o tym wszystkim zapomnieć, nawet w snach.

Około południa zatrzymali na jedzenie, i tym razem musieli skorzystać z racji polowych. Po szybkim spojrzeniu na to, co je, Jane przestała w ogóle na to patrzeć, tylko wkładała to w usta i połykała, nie pozwalając sobie zbyt wiele smakować. Nie było takie złe; tylko strasznie mdłe. Każde z nich wypilo butelkę Perrier, a Jane nalegała, żeby wzięli znowu drożdże w tabletkach. Huk grzmotu ogłosił codzienną ulewę, więc Grant szybko znalazł im schronienie pod wystającymi skałami. Nawis został częściowo zasłonięty przez krzaki, co wyglądało jak przytulny mały raj.

Siedzieli przez kilka minut oglądając ten potop; następnie Grant wyciągnął swoje długie nogi, i odchylił się do tyłu, żeby oprzeć się na łokciu. - Wyjaśnij mi tą sprawę z twoim ojcem wydziedziczającym cię w formie ochrony.

Jane obserwowała małego brązowego pająka idącego dróżką po ziemi.

- To bardzo proste, - powiedziała z roztargnieniem. - Wbrew jego chęciom nie chciałam żyć z ochroną przez dwadzieścia cztery godziny, więc następną najlepszą rzeczą było usunięcie zachęty dla ewentualnych porywaczy.

- To brzmi trochę paranoicznie, widzenie porywaczy za każdym drzewem.

- Tak, - zgodziła się, wciąż patrząc na pająka. Zniknął jej w końcu z oczu w skalnym otworze, a ona westchnęła. - Tata jest paranoikiem w tym względzie, bo boi się, że następnym razem nie odzyska mnie żywej.

- Następnym razem? - zapytał ostro Grant, rozumiejąc od razu znaczenie jej słów. - Zostałaś kiedyś porwana?

Pokiwała głową. - Kiedy miałem dziewięć lat.

Nie powiedziała nic więcej i wyczuł, że nie zamierza mówić, jeśli będzie miała wybór. Nie miał zamiaru pozwolić jej milczeć. Chciał wiedzieć o niej więcej, aby dowiedzieć się, co dzieje się w tym niekonwencjonalnym mózgu. To było dla niego nowe, ta przytłaczająca ciekawość kobiety; to było prawie jak przymus. Pomimo swojej zrelaksowanej pozy, napięcie ścisnęło mu mięśnie. Ona była teraz bardzo rzeczowa, ale instynkt podpowiadał mu, że porwanie odegrało dużą rolę w stworzeniu tej kobiety jaką była teraz. Był o krok od odkrycia ukrytych warstw jej psychiki.

- Co się stało? - spróbował, utrzymując obojętny ton głosu.

- Dwóch mężczyzn porwało mnie po szkole, zabrali mnie do opuszczonego domu i zamknęli w szafie, dopóki ojciec nie zapłacił okupu.

Wyjaśnienie było tak krótkie, że aż niepoważne; jak można coś tak traumatycznego, jak porwanie ująć w jednym zdaniu? Wpatrywała się teraz w deszcz, wycofana i z zamyślonym wyrazem twarzy. Grant wiedział zbyt dużo o taktyce porywaczy, i środkach jakie wykorzystywali do wymuszenia od zaniepokojonych krewnych zapłacenia wymaganego okupu. Patrząc na jej delikatny profil, z bujną prowokacyjną linią ust, poczuł, jak rośnie w nim coś dzikiego na myśl, że ona mogła zostać wykorzystana.

- Czy oni cię zgwałcili? - Nie koncentrował się już na utrzymaniu swobodnej pozy. Surowość jego głosu spowodowała, że spojrzała na niego z lekką niespodzianką w swoich egzotycznych skośnych oczach.

- Nie, nie zrobili niczego takiego, - zapewniła go. - Oni po prostu zamknęli mnie w tej szafie... samą. Było tam ciemno.

I od tego dnia bała się ciemności, bycia w niej samej. Więc taka było źródło jej strachu. - Opowiedz mi o tym, - namawiał cicho.

Wzruszyła ramionami. - Nie ma wiele do powiedzenia. Nie wiem, jak długo siedziałam w szafie. Nie było żadnych innych domów w pobliżu, więc nikt nie słyszał jak krzyczę. Ci dwaj mężczyźni po prostu zostawił mnie tam i udali się do innego miejsca, aby negocjować z rodzicami. Po pewnym czasie przekonałam siebie, że nigdy nie wrócę, i że umrę w tej ciemnej szafie, i nikt się nie dowie, co się ze mną stało.

- Twój ojciec zapłacił okup?

- Tak. Tata mimo wszystko nie był głupi. Wiedział, że może nie odzyskać mnie żywej, jeśli tylko zaufa porywaczom, więc zaangażował

w to policję. To szczęście, że tak zrobił. Gdy porywacze wrócili do mnie, usłyszałam jakie mają plany. Oni po prostu zamierzali mnie zabić i porzucić gdzieś moje ciało, ponieważ ich widziałam i mogłam zidentyfikować. - Pochyliła głowę, oglądając ziemię z wielkim skupieniem, jakby chcąc się w jakiś sposób odciąć od tego, co mu mówiła. - Ale dom był otoczony przez policyjnych snajperów. Gdy ci dwaj się zorientowali, że zostali złapani w pułapkę, postanowili użyć mnie jako zakładnika. Jeden z nich chwycił mnie za ramię i trzymał z pistoletem przystawionym do głowy, zmuszając mnie do pójścia z przodu, gdy wychodził z domu. Chcieli mnie zabrać ze sobą, dopóki nie będzie na tyle bezpieczne, żeby mnie zabić.

Jane wzruszyła ramionami, po czym wzięła głęboki oddech. - Nie planowałam tego, przysięgam. Nie pamiętam, czy potknęłam się, czy tylko zemdlałam na sekundę. No więc, upadłam, a facet puścił mnie lub szarpnął, żebym odzyskała równowagę. Przez sekundę pistolet nie był skierowany na mnie, i policjanci mieli czyste pole. Zabili obu mężczyzn... człowiek, który mnie trzymał został postrzelony w klatkę piersiową i głowę, i upadł na mnie. Jego krew zaplamiała mnie całą, moją twarz, moje włosy... - jej głos zanikał.

Przez moment jej twarz była jak naga, ten ostry strach i obrzydzenie, które czuła jako dziecko; a potem, tak jak kiedy uratował ją od węża, zebrała się w sobie. Patrzył, jak pokonuje strach, odpycha cienie z dala od siebie. Jej twarz się wygładziła i nawet udało błysnęło trochę humoru w jej oczach, gdy odwróciła się do niego.

- Dobra, a teraz twoja kolej Powiedz mi coś, co stało się z tobą.

Kiedyś, wcale nic nie czuł; akceptował chłód i mroczną brutalność życia bez myśli. Nadal nie cofał się przed wspomnieniami. Były jego częścią, jakby zakorzenione w jego krwi i kościach, jego bycie, jak kolor oczu i kształt jego ciała. Ale kiedy spojrzał w niezwykle niewinność oczu Jane, wiedział, że nie może skazać jej umysłu nawet najłagodniejszymi z opowieści o życiu jakie wiódł. W jakiś sposób ona zachowała część siebie tak czystą i krystaliczną jak górski potok, jak część dzieciństwa na zawsze nieskalana. Nic, co się z nią stało nie dotknęło kobiety wewnątrz, za wyjątkiem zwiększenia odwagi i galanterii, dwa razy widział jej

zeterminowane działanie, żeby wziąć się w garść i stać z uniesioną twarzą.

- Nie mam nic do powiedzenia, - powiedział łagodnie.

- Jasne! - gwizdnęła, przesuając się po ziemi, dopóki nie usiadła naprzeciw niego, nogi złożone w jakiś bezkostny węzeł, który spowodował, że zamrugał. Oparła brodę na dłoni i przyglądała się mu, takiemu dużemu, kontrolującemu się, zdolnemu. Jeśli ten człowiek prowadził normalne życie, to ona zje swoje buty, powiedziała sobie, a potem szybko spojrzała na te buty, o których mowa. Teraz było na nich coś zielonego i gąbczastego. Fuj. Muszą być oczyszczone zanim nawet koza będzie chciała je zjeść. Odwróciła swoje ciemne spojrzenie na Granta i przyglądała mu się z powagą naukowca badającego bakterie pod mikroskopem. Jego pokryta bliznami twarz była twarda - studium płaszczyzn i kątów, w opalonej skórze obciążającej ostrą rzeźbę jego kości. Jego oczy były jak u orła lub lwa; nie mogła się zdecydować które. Jasny bursztynowy kolor, bledszy, niż topaz, prawie jak żółty diament, i jak u orła, te oczy widziały wszystko. Były strzeżone, bez wyrazu; ukrywały niemal nieznośny ciężar doświadczeń i zmęczony cynizm.

- Czy jesteś agentem? - zapytała, sondując z ciekawością. Jakoś w tych kilku chwilach, odrzuciła myśl, że był najemnikiem. To samo pole działania, pomyślała, ale inny podział.

Jego usta drgnęły. - Nie

- Okay, spróbujmy z innej strony. Byłeś agentem?

- Jakiego agenta masz na myśli?

- Przestań uchylać się przed moimi pytaniami! Agentem płaszczą i szpady. No wiesz, mężczyzną w płaszczu, który ma czterdzieści zestawów dokumentów.

- Nie Twoja wyobraźnia szaleje. Jestem zbyt łatwe do zidentyfikowania, aby działać dobrze pod przykrywką.

To była prawda. Wyglądałby jak wojownik na herbatce u dam. Coś w niej ucichło, i już wiedziała. - Czy jesteś na emeryturze?

Milczał tak długo, że myślała, że jej nie odpowie. Wydawało się, że myśli o czymś zupełnie innym. Potem powiedział stanowczo: - Tak, jestem na emeryturze. Od roku.

Jego stężała, pusta twarz bolała ją od wewnątrz. - Byłeś... bronią,

prawda?

W jego oczach była straszna jasność, gdy powoli przeniósł na nią wzrok.
- Tak, - powiedział szorstko. - Byłem bronią.

Brali go na cel, strzelali do niego i obserwowali by zniszczyć. Uświadomiła sobie, że był bezkonkurencyjny. Zanim jeszcze go poznała, kiedy zobaczyła go wślizgującego się do jej ciemnej sypialni jak cień, uświadomiła sobie, jak jest zabójczy. I było coś jeszcze, coś co widziała teraz. Sam przeszedł na emeryturę, odwrócił się i odszedł z tego ponurego, cienistego życia. Z pewnością jego przełożeni nie chcieli tracić jego talentów.

Wyciągnęła rękę i położyła na jego, szczupłe i miękkie palce, owijały się wokół niesamowitej siły jego palców. Jej ręka była znacznie mniejsza, delikatna tak, że mógłby ją zmiażdżyć niedbałym ruchem palców, ale w jej dotyku kryło się zaufanie, że nie wykorzysta tej siły przeciwko niej. Głęboki oddech uniósł umięśnione płaszczyzny jego klatki. Chciał wziąć ją tutaj i teraz, w tym brudzie. Chciał ją rozciągnąć i zdjąć z niej ubranie, zanurzyć się w niej. Chciał więcej jej dotyku, całego jej dotyku, wewnątrz i na zewnątrz. Ale potrzeba jej satynowego, kobiecego ciała była przymusem, którego nie zaspokoi w szybkim posiadaniu, a nie było czasu na więcej. Deszcz słabł i mógł ustać w dowolnym momencie. Miał niejasne uczucie wędrujące w górę i w dół kręgosłupa, które powiedziało mu, że nie mogą sobie pozwolić, aby zatrzymać się dłużej.

Ale to było kwestią czasu i ona to wiedziała. Zdjął z niej rękę i uniósł ją lekko jej brodę. Kciukiem przesunął lekko po jej ustach. - Wkrótce, - powiedział, a jego głos był gardłowy z potrzeby, - znowu położysz się na mnie. Zanim wrócisz do swojego tatusia, będę cię mieć, i biorąc pod uwagę sposób w jaki teraz się czuję, zakładam, że zajmie mi dużo czasu, zanim skończę z tobą.

Jane siedziała zmrożona, wzrok miała spłoszony jak u leśnych zwierząt. Nie była w stanie nawet protestować, bo ostre pragnienie w jego głosie zalały jej umysł i skórę pamięcią. Dzień wcześniej, stojąc w strumieniu, kiedy ją pocałował i dotknął z taką surową seksualnością, po raz pierwszy w życiu poczuła, wijące się napięcie pragnienia go w sobie. Po raz pierwszy chciała mężczyznę, i była w szoku przez nieznaną własnego

ciała. Teraz on robi to jej jeszcze raz, ale tym razem za pomocą słów. Odkrył swoje zamiary bez ogródek, i zaczęła tworzyć w swoim umyśle obrazy dwóch ciał leżących razem, jego nagiego, wspaniałego ciała leżącego obok niej.

Patrzył na różne wyrazy przemykające po jej twarzy. Wyglądała na zaskoczoną, nawet trochę w szoku, ale nie była zła. Zrozumiałby gniew, a nawet rozbawienie; ale to puste zdziwienie, zdziwiło jego. To było tak, jakby nikt nigdy nie powiedział jej, że ją pragnie. No cóż, niech się przyzwyczajają do tej myśli.

Deszcz przestał padać, a on podniósł karabin i plecaki, zakładając je na ramionach. Jane podążała za nim bez słowa, gdy wyszedł spod skalistego nawisu do już rosnącego ciepła. Para unosiła się chwiejnymi chmurami z dna lasu, natychmiast owijając ich dusznym, wilgotnym kocem.

Milczała przez resztę popołudnia, zagubiona w myślach. Zatrzymał się przy strumieniu, znacznie mniejszym od tego, który widzieli dzień wcześniej, i spojrzał na nią. - Zależy ci na kąpieli? Nie możesz się moczyć, ale możesz się popluskać.

Jej oczy zaświeciły się, i po raz pierwszy tego popołudnia uśmiech zatańczył na jej pełnych ustach. Nie potrzebował odpowiedzi, żeby wiedzieć, co myślała o tym pomysle. Uśmiechając się, wyjął z plecaka małą kostkę mydła i podał jej. - Będę cię pilnować, a ty możesz zrobić to samo dla mnie. Będę tam.

Jane spojrzała na stromy brzeg, który wskazywał. To był najlepszy punkt widokowy w okolicy; musiał mieć jasny obraz strumienia i okolic. Chciała zapytać, czy ją też ma zamiar ją oglądać, ale powstrzymała pytanie. Jak już zauważył, było za późno na skromność. Poza tym, czuła się nieskończenie bezpieczniej wiedząc, że on będzie w pobliżu.

Poszedł do brzegu, stąpając pewnie jak kot, a Jane odwróciła się do strumienia. Miał około siedmiu stóp szerokości, ale nie był głębszy niż do kostek. I wciąż wyglądał niebiańsko. Wyciągnęła z plecaka jedyną zmianę bielizny, a następnie usiadła, by zdjąć swoje buty. Zerkając nerwowo przez ramię tam gdzie siedział Grant, zobaczyła, że jest odwrócony do niej bokiem, ale wiedziała, że obserwuje ją kątem oka. Zdecydowanie rozpięła spodnie i wyszła z nich. Nic nie mogło powstrzymać jej od tej kąpieli...

może za wyjątkiem jakiegoś węża, albo jaguara, zmieniłaby zdanie.

Naga, ostrożnie wybrała drogę na kamienistym dnie do dużego płaskiego kamienia i usiadła w kilku centymetrach wody. To było cudownie fajne, zanurzyć się w cieplejszej wodzie, ale nawet taka letnia woda sprawiała, że czuła się dobrze mocząc nadmiernie ogrzaną skórę. Chlapała ją na twarz i głowę, aż jej włosy się zmoczyły. Stopniowo poczuła, że zmywa spoconą lepkość włosów, aż do momentu, kiedy pasma zrobiły się bardziej jedwabiste pod palcami. Potem wzięła małą kostkę mydła spod nóg, gdzie ją położyła, i zaczęła wcierać je w całe ciało. Ten mały luksus sprawił, że poczuła się jak całkiem nowa kobieta, i opadło na nią uczucie spokoju. To była tylko prosta przyjemność, kąpiel w czystym, chłodnym strumieniu, ale dodając do tego poczucie nagości, sprawiało, że czuła się całkowicie bez ograniczeń. Wiedziała, że on tam był, wiedziała, że ją obserwuje i czuła jak mocno rosną jej piersi.

Co by było, gdyby zszedł z tego brzegu, i chlapał się w wodzie razem z nią? Gdyby wyjął koc z plecaka i położył ją na nim? Zamknęła oczy, drżąc w reakcji, myśląc o jego twardym cielem naciskającym na nią, wbijającym się w nią. Minęło już tyle lat, a tych kilka doświadczeń, które miała z Chrisem nie nauczyły ją, że może być pożądanym stworzeniem, ale z Grantem nie była tą samą kobietą.

Jej serce biło mocno w piersi, kiedy splukiwała się nabierając wodę w dłonie i wylewając na siebie. Wstała, wykręciła wodę z włosów, a potem wyszła. Drżała kiedy wkładała czystą bieliznę, a następnie spojrzała z niesmakiem na poplamione spodnie i koszulę. - Skończyłam, - zawołała, sznurując buty.

Pojawił się bezgłośnie obok niej. - Usiądź w tym samym miejscu, w którym ja siedziałem, - polecił, umieszczając karabin w jej dłoniach.

- Czy wiesz, jak z tego korzystać?

Broń była ciężka, ale jej szczupłe ręce, wyglądały pewnie i wiedział, że umie się z tym obchodzić. - Tak. Jestem dość dobrym strzelcem. - Wymuszony uśmiech wygiął jej wargi. - Oczywiście do papierowych tarcz i glinianych gołębi.

- To wystarczy. - Zaczął rozpinać koszulę, a ona stała tam w oszołomieniu, z oczami na jego rękach. Zatrzymał się. - Masz zamiar

pilnować mnie stąd?

Zarumieniła się. - Nie, przepraszam. - Szybko odwróciła się i wdrapała na brzeg, a potem usiadła w tym samym miejscu, gdzie on. Widziała oba brzegi, ale jednocześnie było tu sporo kryjówek, których można użyć, jeśli zajdzie potrzeba. On pewnie wybrał ten najlepszy punkt obserwacyjny, nawet o tym nie myśląc, po prostu automatycznie przeglądając możliwości i wybierając najwłaściwszy. Może i był na emeryturze, ale jego szkolenie było w nim głęboko zakorzenione.

Jakiś ruch, błysk brązu, wykryty kątem oka, powiedział jej, że on brodzi w strumieniu. Odwróciła szybko spojrzenie, by nie była w stanie go w ogóle zobaczyć, ale po prostu wiedza, że był nagi jak wcześniej ona spowodowała, że jej serce biło nieregularnie. Przełknęła, a następnie oblizwała wargi, zmuszając się do skoncentrowania na otaczającej dżungli, ale nadal czuła przymus, aby na niego spojrzeć.

Usłyszała plusk i ujrzała go stojącego tam jak dzikus, nagiego i całkowicie jak w domu. Zamknęła oczy, ale ten obraz pozostał przed nią. Powoli, całkowicie niezdolna kontrolować siebie, otworzyła oczy i odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć. To był tylko mały ruch, ułamek cała, aż była w stanie go zobaczyć, ale to nie wystarczyło. Kradzione spojrzenia nie były wystarczające. Chciała studiować każdy centymetr niego, napaść oczy jego potężnym ciałem. Odwracając się w pełni spojrzała na niego i zamarła. Był piękny, tak piękny, że aż zapomniała oddychać. Bez bycia przystojnym, miał potężną siłę i grację drapieżnika, całe straszliwe piękno myśliwego. Był opalony na całym ciele, miał głęboką brązową opaleniznę. W przeciwieństwie do niej, nie był odwrócony plecami, w przypadku gdyby spojrzała; całkowicie lekceważył skromność. Kapał się; a ona mogła patrzeć albo nie, jak chciała. Jego skóra była śliska i lśniąca od wody a kropelki złowione we włosy na jego piersi błyszcząły jak przechwycone diamenty. Włosy na ciele miał ciemne, mimo słonecznych smug jego blond głowy. Ocieniały jego klatkę piersiową, zamieniając się w cieką linię w dole jego ciała, na umięśnionym brzuchu i ponownie rozkwitając w spojeniu jego nóg. Jego nogi były solidne jak pnie drzew, długie i rzeźbione z mięśni; każdy ruch powodował falowanie pod jego skórą. To było jak oglądanie żywego obrazu namalowanego przez

jednego z dawnych mistrzów.

Namydlił się cały, a potem przykucnął w wodzie żeby opłukać się w taki sam sposób jak ona, złączył dłonie, aby zebrać wodę. Kiedy się już opłukał do czysta, stanął i spojrzał na nią, prawdopodobnie, by sprawdzić ją, i spotkał jej wzrok na sobie. Jane nie mogła oderwać wzroku, nie mogła udawać, że na niego nie patrzy, niemal z bolesnym uznaniem. Stał nieruchomo w strumieniu, obserwując ją, gdy na niego patrzyła, pozwalając jej się przyjrzeć każdemu szczegółowi jego ciała. Pod jej poszukującym spojrzeniem, jego ciało zaczęło się wzbudzać, twardnieć i rosnąć do pełnego, ciężkiego pobudzenia.

- Jane, - powiedział cicho, ale ona go usłyszała. Była tak dopasowana do niego, tak boleśnie wrażliwa na każdy ruch i dźwięk jaki zrobił, że mogłaby go usłyszeć gdyby szeptał. - Czy chcesz przyjść tutaj?

Tak. O Boże, tak, bardziej niż cokolwiek chciała w życiu. Ale jeszcze trochę obawiała się własnych uczuć, więc się powstrzymała. To było jej częścią, i nie wiedziała, nie była pewna, czy mogła to kontrolować.

- Nie mogę, - odpowiedziała cicho. - Jeszcze nie.

- Więc odwróć się kochanie, póki jeszcze masz wybór.

Drżała, prawie niezdolna wykonać wymagany ruch, ale w końcu jej mięśnie posłuchały, i odwróciła się od niego, słuchając jak wychodził z wody. W mniej niż minutę pojawił się bezszelestnie obok niej i wziął karabin. Miał już założone oba plecaki. Typowo dla siebie, nie powiedział żadnej uwagi na to, co się właśnie stało. - Oddalimy się od wody i rozbijemy obóz. Wkrótce będzie noc.

Noc. Długie godziny w ciemnym namiocie, leżąc obok niego. Jane podążyła za nim, a kiedy się zatrzymali, pomogła mu wykonać pracę z rozstawieniem namiotu i ukryciem go, zanim zapadła noc. Nie protestowała przy zimnych racjach polowych, ale zjadła w ogóle nie czując smaku. Wkrótce wczłgała się do namiotu, zdjęła buty i czekała aż Grant do niej dołączy. Gdy to zrobił, leżeli cicho obok siebie, patrząc, jak pozostałe światła przygasają, a potem nagle nikną.

Napięcie przeszło przez nią, spinając jej mięśnie. Ciemność naciskała na nią, jak niewidzialny potwór, który wysysał jej oddech w piersi. Nie miała dzisiaj listy niekontrolowanych pytań cisnących się na usta; czuła się

dziwnie nieśmiała, i to był pierwszy raz od lat, odkąd pozwoliła sobie być nieśmiałą w czymkolwiek. Nie poznawała sama siebie.

- Czy ty się mnie boisz? - zapytał, a jego głos był łagodny.

Sam dźwięk jego głosu pozwolił jej trochę się odprężyć. - Nie, - wyszeptała.

- Więc przysuń się i pozwól mi odegnąć ciemność z dala od ciebie.

Poczuła jego dłoń na ramieniu, przyciągającą ją do siebie, a potem znalazła się w ramionach tak silnych, że nic nie mogło jej wystraszyć, dopóki ją trzymały. Przytulił ją do boku, chowając jej głowę w zagłębieniu swojego ramienia. Z dotykiem tak lekkim, niczym muśnięcie skrzydeł motyla, pocałował ją w czubek głowy. - Dobranoc, kochanie, - wyszeptał.

- Dobranoc, - odpowiedziała.

Długo po tym jak zasnął, Jane leżała w jego ramionach z otwartymi oczami, choć nic nie widziała. Jej serce waliło w piersi powolnym, ciężkim rytmem, a jej wnętrze skręcało zdenerwowanie. To nie był strach, który nie pozwalała jej zasnąć, ale emocje, które zmieniały wszystko wewnątrz niej. Wiedziała dokładnie, co się z nią dzieje. Po raz pierwszy od zbyt wielu lat, wszystko było z nią w porządku.

Nauczyła się żyć z brakiem zaufania. Bez względu na to, że nauczyła się cieszyć sobą i swoją wolnością; zawsze było coś małego, co trzymało ją w ostrożności nie pozwalając zbliżyć się mężczyznom. Do tej pory nigdy nie czuła na tyle silnego pociągu do mężczyzny żeby zapomnieć o ostrożności - Aż do teraz. Aż do Granta. A teraz ta atrakcyjność stała się czymś o wiele silniejszym. Prawda oszołomiła ją, ale musiała ją zaakceptować: ona go pokochała. Nie spodziewała się tego, mimo że przez dwa dni czuła, jak nią szarpał. Był szorstki i w pełni się kontrolował, miał złe usposobienie, a jego poczucie humoru było surowe i słabo rozwinięte, ale delikatnie zmył z niej krew węża, trzymał ją za rękę w nocy, i wybierał drogę, aby ich trasa była dla niej łatwiejsza. Pragnął jej, ale jej nie wziął, bo nie była gotowa. Bała się ciemności, więc trzymał ją w ramionach. Kochać go było jednocześnie najprostszą i najbardziej trudną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła.

ROZDZIAŁ 7

I znowu obudził się z nią, przytuloną na nim, ale ten strój mu nie przeszkadzał, więc spał spokojnie w nocy. Przesuwając ręce w górę jej pleców, przyjął, że jego zazwyczaj wyostrzony instynkt nie był nią zaniepokojony, bo z jej strony nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, może poza niebezpieczeństwem doprowadzenia go do szaleństwa. Udało jej się to zrobić od tyłu z każdym lekkim kołysaniem. Rozkoszując się jej dotykiem wzdłuż jego ciała, przesunął dłonie w dół, czując jej smukłość, drobne żebra, kręgosłup, delikatne kuszące małe zagłębienie na jej plecach, a następnie pełne, miękkie kopuły jej pośladków. Ujął je dłońmi, ugniatając je palcami. Mruknęła i przesunęła się na nim, odgarniając kosmyk włosów, który spadł jej na twarz. Jej rzęsy zatrzepotały, a następnie ponownie całkowicie się zamknęły.

Uśmiechnął się, rozkoszując się sposobem w jaki się budziła. Robiła to powolnie, stopniowo, jęcząc i narzekając kiedy jeszcze bardziej spała niż się obudziła, marszcząc brwi i krzywiąc się, poruszyła się na nim, jakby chciała wtopić się głębiej w niego tak, jakby nie musiała się budzić w ogóle. Wtedy otworzyła oczy i zamrugała kilka razy, i skrzywienie szybko zniknęło z jej ust i posłała mu powolny uśmiech, który byłby zdolny stopić kamień.

- Dzień dobry, - powiedziała i ziewnęła. Przeciągnęła się, a potem nagle zamarła w miejscu. Podniosła głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jestem na tobie, - powiedział bez wyrazu.

- Znowu, - potwierdził.

- Znowu?

- Spałaś na mnie też ostatniej nocy. Widocznie moje przytulanie podczas snu ci nie wystarczy; uznałaś, że ty musisz przytulać mnie.

- Zsunęła się z niego, usiadła w namiocie i wygładziła swoją skreconą, pogniecioną odzież. Czerwień paliła jej twarz. - Przepraszam. Wiem, że to dla ciebie nie może być zbyt wygodne.

- Nie przepraszaj. Rozkoszuje się tym, - wycedził. - Jeśli naprawdę chcesz mi to wynagrodzić, to pomyślałem, że dziś wieczorem możemy odwrócić pozycje.

Wstrzymała oddech, i patrzyła na niego w półmroku, jej oczy zmiękły i stopniały. Tak. Wszystko w niej godziło się na to. Chciała do niego należeć; chciała dowiedzieć się wszystkiego o jego ciele i pozwolić mu dowiedzieć się wszystkiego o niej. Chciała mu to powiedzieć, ale nie wiedziała, jak ubrać to w słowa. Krzywy uśmiech przemknął po jego twarzy; potem usiadł i sięgnął po buty, wbijając w nie nogi i zawiązując je. Najwyraźniej wziął jej milczenie za odmowę, bo porzucił temat i zaczął mówić o zwijaniu obozu.

- Mamy wystarczającą ilość żywności na jeszcze jeden posiłek, - powiedział, gdy skończył jeść. - Później będę musiał zacząć polować.

Nie podobał jej się ten pomysł. Polowanie oznaczało, że będzie ją zostawiał na długi czas. - Nie mam nic przeciwko diecie wegetariańskiej, - powiedziała z nadzieją.

- Może do tego nie dojdzie. Stopniowo oddalaliśmy się od gór, i chyba się nie mylę, że jesteśmy blisko skraju lasu. Dzisiaj prawdopodobnie zobaczymy pola i drogi. Ale będziemy unikać ludzi, dopóki nie upewnię się, że to bezpieczne, dobrze?

Przytaknęła.

Tak jak przewidział, przed południem dotarli gwałtownie na skraj dżungli. Stanęli wysoko na stromej skale, popatrzyli na rozciągającą się pod nimi dolinę z polami uprawnymi, małą siecią dróg i przytulną miejscowością położoną na południowym krańcu. Jane zamrugła w nagłym, jasnym świetle słonecznym. To było jak przejście z jednego stulecia do drugiego. Dolina wyglądała schludnie i zamożnie, przypominając jej, że Kostaryka to najbardziej rozwinięty kraj w Ameryce Środkowej, mimo gęstej plataniny dziewiczego lasu deszczowego za jej plecami.

- Och, - szepnęła. - Czy nie byłoby miło, pospać znowu w łóżku?

Mruknął nieobecna odpowiedź, a jego zwężone oczy badały dolinę w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak podejrzanego aktywności. Jane stała obok niego, czekając aż podejmie decyzję.

Robił to dla nich. Nagle chwycił ją za ramię i szarpnął z powrotem do schronienia liści, pociągając ją na ziemię, za ogromny krzak, kiedy nagle helikopter zaryczał nad ich głowami. Leciał blisko ziemi, na linii drzew;

zauważyła tylko jeden przebłysk, zanim zniknął, ukryty przez drzewa. To była broń na pokładzie a do tego miał kamuflujące barwy.

- Czy zaważyłeś jakieś oznaczenia? - zapytała ostro, paznokcie wbiła w jego skórę.

- Nie. Nie było żadnych. - Potarł zarośniętą szczękę. - Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć do kogo należał helikopter, ale nie możemy ryzykować. Teraz wiemy, że nie możemy po prostu przejść przez dolinę. Będziemy musieli znaleźć drogę na dół, i spróbować znaleźć więcej osłon.

Jeżeli tak będzie, to teren będzie jeszcze trudniejszy niż teraz. Byli na skraju gór wulkanicznych, i podłoże zostało wyrzeźbione z gwałtowną siłą. Wydawało się, że idą albo prosto w górę, albo prosto w dół. Ich tempo było boleśnie wolne, kiedy droga prowadziła w dół i do góry przez skaliste urwiska i strome wąwozy. Kiedy zatrzymali się na posiłek, mieli za sobą mniej niż jedną czwartą długości doliny, a Jane nogi bolały tak, jak podczas dzikiego biegu przez dżunglę pierwszego dnia.

Zgodnie z planem, kiedy skończyli jeść, usłyszeli nagły grzmot. Grant rozejrzał się za kryjówką, rozważając każdą wystającą skałę. Potem wskazał. - Myślę, że tam jest jaskinia. Jeśli tak jest, to dobrze się nam powodzi.

- Co? - zapytała Jane, marszcząc brwi.

- Wygodne miejsce do siedzenia, - wyjaśnił. - Luksusowe zakwaterowanie, w porównaniu do tego, co mieliśmy.

- Chyba że jest już zajęte.

- Dlatego poczekaś tutaj, a ja to sprawdzę. - Ruszył do góry unosząc paprocie pokrywające ściany wąwozu, używając krzewów i pnączy oraz wszystkich innych uchwytów, które mógł znaleźć. Sam wąwóz był wąski i stromy, zamykając ich ze wszystkich czterech stron. Jego kształt dał ciekawą przejrzystość, ukazując niezliczoną ilość ptaków o opalizującym upierzeniu, przemykających wśród drzew, wyglądających jak żywe dekoracje świąteczne. Bezpośrednio nad głową widoczna był smuga nieba, ale teraz widać było toczące się czarne chmury zamiast błękitu, który widziała przed chwilą.

Grant dotarł do jaskini, a następnie natychmiast się odwrócił i pomachał do niej. - Chodź, jest w porządku! Dasz radę?

- A czy dotychczas cię zawiodłam? - zażartowała, rozpoczynając wspinaczkę, ale był to wymuszony żart. Rosła w niej żalność, odkąd ujrzeli dolinę. Wiedząc, że są tak blisko cywilizacji, zrozumiała, że ich czas razem jest ograniczony. Gdy byli w lesie, dwie osoby zamknięte w bardzo prymitywnym czasie, nie miała poczucia, że czas ucieka. Teraz nie mogła ignorować faktu, że już wkrótce, w ciągu kilku dni lub mniej, ich czas razem się skończy. Czuła się, jakby zmarnowała dużo czasu, przeciekającego jak złoty piasek przez palce, a ona dopiero teraz zrozumiała, co ma. Poczowała panikę na myśl o tym, że odkryła miłość tylko po to, żeby ją stracić, ponieważ nie było wystarczająco dużo czasu, aby pozwolić jej rosnąć.

Sięgnął ręką w dół i złapał ją, bez wysiłku podnosząc przez kilka ostatnich stóp. - Rozgość się; możemy być tutaj przez chwilę, bo to wygląda jak dziadek wszystkich ulew.

Jane obejrzała schronienie. To nie była tak naprawdę jaskinia; było trochę jak szczelina wycięta w skale, miała około dwóch i pół metra głębokości. Sklepienie było stromo pochylone, wzrastając do trzech, trzech i pół metra w otwór jaskini, ale z tyłu było tylko około półtora metra wysokości. Podłoże było kamieniste, jedna wielka skała, tak duża, jak gniazdko miłości i w kształcie orzeszka, leżała niedaleko wejścia do jaskini. Ale było tu sucho, a ze względu na płytkość nie było ciemno, więc Jane nie była skłonna szukać jakiś negatywów.

Biorąc pod uwagę niesamowite wyczucie czasu Granta, nie była zaskoczona, kiedy usłyszała pierwsze olbrzymie krople deszczu zaczynające przedostawać się przez drzewa, kiedy rozkładał plandekę z tyłu jaskini. Rozłożył ją za wielką skałą, wykorzystując ją większość jako schronienie. Usiadła na plandecce i zgięła nogi, owijając ramiona wokół nich i opierając podbródek na kolanach, słuchając dźwięku deszczu który padał coraz głośniejsze.

Wkrótce było głośno i nieustająca ściana wody, zasłoniła im widok powodując wrażenie, że znajdują się pod wodospadem. Usłyszała trzask pioruna, i poczuła jak ziemia się porusza przez potężne grzmoty wyładowań. Teraz było ciemno, bo deszcz zmył światło przedzierające się po grubym baldachimem. Ledwo zobaczyła Granta, który stał tuż przy

wejściu do jaskini z ramieniem wspartym o ścianę, czasem zaciągając się papierosem.

Dreszcze przechodziły przez jej ciało, kiedy deszcz ochłodził powietrze. Tuląc nogi jeszcze mocniej w poszukiwaniu ciepła, Jane patrzyła przez mrok na szerokie, silne ramiona widoczne na tle szarej kurtyny deszczu. Nie był to łatwy człowiek do poznania. Jego osobowość była tak mroczna, jak w dżungla, tyle że na widok mięśni tych pleców czuła się bezpieczna i chroniona. Wiedziała, że stanie między nią a każdym niebezpieczeństwem. Już ryzykował dla niej i to więcej niż jeden raz, a to w zasadzie wyglądało tak, jakby strzelanie do niego było codziennością. Być może tak właśnie było, ale Jane nie brała tego tak lekko.

Skończył papierosa i schował niedopałek. Jane miała wątpliwości, że ktoś będzie ich śledzić tutaj w deszczu, ale dla niego to było drugą naturą, aby zachowywać ostrożność. Wrócił do spokojnej obserwacji burzy, stojąc na straży, podczas gdy ona wypoczywała.

Coś ścisnęło się jej boleśnie w piersi. Był taki samotny. Był twardym, samotnym człowiekiem, ale wszystko w nim przyciągało ją jak magnes, gnieźdząc się w jej sercu i ciele.

Jej oczy spochmurniały, kiedy go obserwowała. Kiedy to się skończy, on odejdzie od niej tak, jakby te dni w dżungli nigdy nie istniały. Dla niego było to rutynowe. Wszystko co mogła mieć kiedykolwiek z nim, było teraz, kilka dni zanim to się skończy. Ale to nie było wystarczająco dużo.

Zimno przenikało ją teraz do kości. Nieustanna, nieprzenikniona zasłona deszczu niosła wilgotny chłód, a jej własne demony ochładzały ją od wewnątrz. Instynktownie, jak wężowy kot szukający ciepła, podniosła się z plandeki i podeszła do niego, przyciągana ciepłem i komfortem. Milcząco objęła go rękami w talii i przycisnęła twarz do cudownego ciepła jego piersi. Spoglądając na nią w dół, uniósł brwi w łagodnym śledztwie.

- Zimno mi, - mruknęła, kładąc mu głowę na piersi i patrząc w zamyśleniu na deszcz.

Owinął rękę na jej ramieniu, przyciągając ją bliżej do siebie i dzieląc się swoim ciepłem. Przeszył ją dreszcz; on przesunął w górę drugą ręką po jej nagim ramieniu, czując chłód jej skóry. Z własnej woli jego ręka nadal wędrowała w górę, głaszcząc jej satynową szczękę, odsuwając ciemną

plątanię włosów z dala od twarzy. Była w melancholijnym nastroju, małego zabawnego kotka, patrząc na deszcz, który wyglądał jakby nigdy nie miał przestać padać, jej oczy pociemniały a pełne, namiętne usta były smutne.

Chwyając ręką jej brodę, przechylił jej twarz tak, że mógł studiować jej spokojny wyraz. Uśmiech wykrzywił jego twarde usta. - Co się stało, kochanie? Deszcz sprawia, że jesteś smętna? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, pochylił głowę i pocałował ją, używając swojego własnego lekarstwa.

Ręce Jane uniosły się do ramion, przywierając do niego po oparciu. Jego usta były twarde i wymagające, ale jakże słodkie. Jego smak był po prostu tym, co chciała. Jej usta rozchyliły się, umożliwiając mu powolne badanie jego językiem. Głęboko w jej wnętrzu, zaczął się wic pożar, i ona również się wiała, poruszając się przy nim nieprzytomnym ruchem, który natychmiast czytał.

Odrywając odrobinę usta, mruknął: - Kochanie, to wygląda dla mnie jak propozycja.

Jej ciemne oczy były trochę oszołomione, gdy spojrzała na niego.

- Myślę, że tak, - wyszeptała.

Opuścił ręce na jej talię i owinał je wokół niej, unosząc ją aż do swojego poziomu. Owinęła swoje ręce wokół jego szyi i pocałowała go żarliwie, zatracając się w smaku i dotyku jego ust, i nie zdając sobie sprawy, że ją niesie, dopóki nie postawił jej na plandecce. Półmrok w głębi jaskini ukrywał każdy wyraz, jaki był w jego oczach, ale czuła zamiary jego bursztynowego wzroku, kiedy zaczął spokojnie rozpinać jej bluzkę. Usta Jane były wyschnięte, ale jej własne trzęsące się palce przeniosły się na jego klatkę piersiową i zaczęły rozpinać jego koszulę.

Kiedy obie koszule były rozpięte, strząsnął swoją i rzucił ją na plandekę, nie odrywając oczu od niej. Wyszarpując swój podkoszulek ze spodni, złapał go na dole i ściągnął przez głowę. Rzucił go na bok, całkowicie odsłaniając swoją szeroką, owłosioną klatkę piersiową. Tak jak dzień przedtem, widok jego półnagiego ciała zahipnotyzował ją. Jej klatka piersiowa bolała; trudno było jej oddychać. Potem jego twarde, gorące palce były wewnątrz jej koszuli, na jej piersiach, dopasowując je do swoich

dłoni. Kontrast jego ciepłych rąk na jej chłodnej skórze spowodował u niej zszokowany jęk rozkoszy. Zamykając oczy, pochyliła się do jego rąk, pocierając swoje sutki o jego twarde dłonie. Jego pierś uniosła się w głębokim, drżącym oddechu.

Czuła napięcie seksualne emanujące z niego falami. Jak żaden inny mężczyzna którego знаła, uczynił ją intensywnie świadomą swojej seksualności, jak również świadomości własnego ciała i jego użycia. Puste pulsowanie zaczęło ją dręczyć między nogami, i instynktownie zacisnęła uda razem, starając się złagodzić się ten ból.

Mimo, że niewielki, wyczuł jej ruch. Jedna z jego rąk opuściła jej pierś i przeniosła się w dół, po brzuchu i biodrach aż do jej mocno zaciśniętych ud. - To nie pomoże, - wymamrotał. - Musisz otworzyć swoje nogi, a nie je zamykać. - Jego palce potarły ją intensywnie i przyjemność eksplodowała wzdłuż jej nerwów. Niski jęk uciekł z jej ust; potem pochyliła się w jego stronę. Czuła, jak jej nogi rozsuwają się, umożliwiając mu dostęp do swojego wyczulonego ciała. Dotykał ją przez jej spodnie, tworząc takie fale uderzeniowe fizycznej przyjemności, że jej kolana się ugięły, że w końcu upadła przy nim, jej nagie piersi spłaszczyły się na jego szorstkiej, pokrytej włosami klatce piersiowej.

Szybko ułożył ją na plandecce i klęcząc nad nią, zdejmował jej spodnie, ciągnąc w dół nóg, jego ręce były szorstkie i pilne. Musiał przerwać zdejmując jej buty, ale po chwili była naga, za wyjątkiem koszuli, która nadal wisiała jej na ramionach. Wilgotne powietrze przeszło ją dreszcz, i sięgnęła do niego.

- Zimno mi, - poskarżyła się cicho. - Ogrzej mnie.

Ofiarowała się mu tak otwarcie i szczerze, że chciał zanurzyć się w niej natychmiast, ale równocześnie chciał więcej. Miał ją już przedtem, prawie naga, w swoich ramionach. W strumieniu, ten skrawek mokrego jedwabiu nie oferował żadnej ochrony, ale nie miał czasu, żeby zbadać ją jak tego chciał. Jej ciało jeszcze było dla niego tajemnicą; chciał dotykać każdego centymetra, smakować i cieszyć się zmienną konsystencją jej skóry.

Oczy Jane były szeroko otwarte i cieniste, kiedy klęczał nad nią, trzymając się z dala od jej wyciągniętych ramion. - Jeszcze nie, kochanie, - powiedział niskim, chropowatym głosem. - Pozwól mi najpierw popatrzeć

na ciebie. - Delikatnie złapał ją za nadgarstki i przycisnął je do plandeki nad głową, powodując, że jej ładne piersi wygięły się w łuk, jakby błagając o jego usta. Trzymając jej nadgarstki jedną ręką, przesunął drugą rękę po tych kuszących, delikatnych drżących kopułach.

Krótki, jęczący dźwięk uciekł z gardła Jane. Dlaczego trzymał jej ręce w taki sposób? Czowała się bardzo bezradna i narażona, rozłożona ku jego uciechu, ale też czowała się niewymownie bezpieczna. Mogła niemal poczuć, jak smakuje ją wzrokiem, obserwując uważnie jak jej sutki marszczą się w odpowiedzi na tarcie jego ręki. Był tak blisko niej, że czowała ciepło jego ciała, zapach ciepłej piżmowej męskości skóry. Wygięła się, próbując obrócić swoje ciało do tego ciepła i zapachu, ale zmusił ją, żeby nadal leżała płasko.

I wtedy dotknął ją swoimi ustami, przesuwał się po krzywiznie jej piersi i zamykając gorąco na jej sutku. Wciągnął go mocno, powodując palące fale przyjemności płynące od jej piersi do łona. Jane pisnęła a potem zagryzła wargę, aby powstrzymać dźwięki. Nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy, co usta mężczyzny na jej piersiach mogą z nią zrobić. Jej skóra spalała się w ogniu ostrej wrażliwości, która była zarówno ekstatyczna jak i nie do zniesienia. Wiła się, zaciskając razem nogi, starając się opanować ból, który groził, że ją opanuje.

Jego usta przeniosły się na drugą pierś, tarcie jego języka na jej sutku nasiliło się już tak, że aż stało się nie do zniesienia. Przesunął dłonią w dół, do jej uda, a jego dotyk wymagał, żeby otwarła się na niego. Powoli rozluźniła i zrelaksowała mięśnie, a on delikatnie rozchylił jej nogi. Jego palec przeczesał jej ciemne loki, które tak go wcześniej kusiły a jej ciało szarpnęło się w oczekiwaniu; potem przykrył ją swoją dłonią i dokładnie zbadał miękkie podatne ciało między nogami. Pod jego dotykiem, Jane zaczęła gwałtownie drżeć. - Grant, - jęknęła, a jej głos drżał w bezradnej prośbie.

- Spokojnie, - łagodził, dmuchając swoim ciepłym oddechem na jej ciało. Chciał ją tak bardzo, że czuł jakby miał wybuchnąć, ale w tym samym czasie nie mógł się nacieszyć dotykaniem jej, i patrzeniem jak wygina się łuk wyżej i wyżej, co sam spowodował. Był pijany dotykiem jej ciała, i wciąż próbował zaspokoić siebie. Wziął jej sutek w usta i ponownie

zaczął ssać wywołując jej kolejny krzyk.

Nagle poczuła jego palec między nogami, który wniknął w nią szukając w środku jej gotowości i fala przetoczyła się przez jej poobijane ciało. Coś w niej oszalało, i nie mogła już utrzymać nieruchomo swojego ciała. Wiła się i szarpała pod jego rękami, a jego usta zamieniły jej piersi w czysty ogień. Potem jego kciuk pocierał intensywnie jej napierające boleśnie ciało, i wybuchła w jego ramionach, oślepiona potężnym zamętem swoich zmysłów, krzycząc nieświadomie. Nic nigdy nie przygotowało jej na tą całkowicie ogarniającą umysł, wstrząsającą przyjemność jej ciała.

Gdy było już po wszystkim, leżała bezwładnie na plandece. On rozpiął spodnie i zdjął je, a jego oczy błyszczały dziko. Jane otworzyła powoli oczy, i patrzyła na niego oszołomiona. Chwycił jej nogi, uniosł je wysoko i rozwarł; potem znalazł się nad nią i powoli opuścił się na nią.

Jane zacisnęła ręce na plandece i zagryzła wargi, aby powstrzymać się od krzyku, kiedy jej ciało nieubłaganie się rozciągało i wypełniało. Przerwał, z drżeniem swojego wielkiego ciała, dając jej czas, aby go zaakceptowała.

Nagle to ona nie mogła znieść żadnej przerwy między nimi, uniosła się w górę biorąc go całkowicie w siebie, obejmując ramionami i przyciągając bliżej.

Nie zauważyła, łez, które spływały w srebrzystych smugach w dół po jej skroniach, ale Grant delikatnie wytarł je z swoim szorstkim kciukiem. Opierając swój ciężar na ramionach, przesunął całym swoim ciałem nad nią w subtelnej pieśczoce, i zaczął się poruszać powolnymi, odmierzonymi pchnięciami. Był tak blisko krawędzi, że czuł lekkie doznania wzdłuż kręgosłupa, ale to było ostatnie co chciał. Pragnął zachęcić ją ponownie, żeby eksplodowała zaspokojeniem, chciał oglądać ją szalejącą w jego ramionach.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał surowym, ochryłym głosem, chwytając jej kolejną łzę swoim językiem. Jeżeli on sprawia jej ból, to nie będzie przedłużać miłości, choć czuł, że powstrzymanie tego rozerwie go na strzępy.

- Tak, wszystko dobrze, - szepnęła, głaszcząc rękami w górę jego napiętych mięśni pleców. Dobrze... Co za słowo dla tej dzikiej wspaniałości należącej do niego. Nigdy nie marzyła że może się tak czuć. To było tak,

jakby znalazła połowę siebie, której nawet nie wiedziała, że jej brakowało. Nigdy nie marzyła, że może się tak czuć. Jej palce skurczyły się bezmyślnie na jego plecach, kiedy jego długie, powolne ruchy zaczęły rozgrzewać jej ciało.

Poczuł jej odpowiedź i zaciekle schował swoje usta we wrażliwym małym zagłębieniu między jej gardłem a obojczykiem, gryząc ją na tyle mocno, by poczuła jego zęby, a potem liżąc miejsce ugryzienia. Jęknęła, i ten miękki, trochę niekontrolowany dźwięk, przywiódł go do szaleństwa, i stracił kontrolę. Zaczął poruszać się w niej z narastającą siłą, owijając jej nogi wyżej wokół siebie, aby móc dostać od niej więcej, wszystko, głębiej i mocniej, słuchając jej krzyków i jeszcze bardziej szaleć. Nie było już żadnego poczucia czasu, ani niebezpieczeństwa, tylko dotyk kobiety pod nim i wokół niego. Gdy był w jej ramionach nie czuł już ciemności, lodowatych krawędzi cieni w swoim umyśle i duszy.

Potem, podobnie jak po niewiarygodnie gwałtownej burzy, leżeli wyczerpani w ciszy, bojąc się odezwać i rozbić ten kruchy spokój. Jego masywne ramiona przygniotły ją, co utrudniało jej oddychanie, ale chętnie spędziłaby resztę swojego życia tak leżąc. Jej palce powoli gładziły spocone – ciemnozłote włosy, przeczesując ciężki, żywy jedwab. Ich ciała były niechętnie do opuszczenia siebie. On nie wyszedł z niej; zamiast tego, złagodził swój ciężar, wtulając się w nią i teraz zdawał się lekko drzemać.

Być może to zdarzyło się między nimi zbyt szybko, ale nie mogła tego żałować. Była zaciekle szczęśliwa, że mu się oddała. Nigdy wcześniej nie była zakochana, i nigdy nie chciała odkrywać tajemnic fizycznej miłości mężczyzny i kobiety. Była nawet przekonana, że po prostu nie była osobą zmysłową, i postanowiła cieszyć się swoim samotnym życiem. Teraz cała jej koncepcja siebie, została zmieniona, i to było tak, jakby odkryła w sobie skarb. Po porwaniu, wycofała się od ludzi, za wyjątkiem kilku szlachetnych zaufanych, których kochała przedtem: rodziców, Chrisa, kilku innych przyjaciół. I mimo, że wyszła za mąż za Chrisa, pozostała w zasadzie sama, emocjonalnie wycofana. Może właśnie dlatego ich małżeństwo się nie udało, bo nie była chętna pozwolić się mu zbliżyć na tyle blisko, aby był jej prawdziwym mężem. Och, byli ze sobą intymnie, ale była obojętna, i ostatecznie przestał jej przeszkadzać. Dla niej właśnie było dokładnie to:

przeszkadzanie. Chris zasłużył na więcej. Był jej najlepszym przyjacielem, ale tylko przyjacielem, nie kochankiem. Było mu o wiele lepiej z ciepłą, czułą, uwielbiającą go kobietą, którą poślubił po ich rozwodzie.

Była zbyt uczciwa wobec siebie, żeby nawet udawać, że wina za ich nieudane małżeństwo należy do Chrisa. To była całkowicie jej wina, i wiedziała o tym. Myślała, że czegoś jej brakuje. Teraz uświadomiła sobie, że miała ciepłe, namiętne instynkty zakochanej kobiety – bo po raz pierwszy była zakochana. Nie była w stanie odpowiedzieć na Chrisa, po prostu dlatego, że nie kochała go tak, jak kobieta powinna kochać mężczyznę, którego poślubia.

Miała dwadzieścia dziewięć lat. Nie zamierzała udawać nieśmiałości, której nie czuła ze względu na wygląd. Kochała mężczyznę, który leżał w jej ramionach, i wykorzystała w pełni czas jaki jej pozostał. Miała nadzieję, że mają całe życie; ale jeśli los na to nie pozwoli, nie pozwoli przez swoją nieśmiałość stracić ani jednej minuty z chwil, które mają. Jej życie prawie zgasło dwadzieścia lat temu, zanim tak naprawdę się zaczęło. Wiedziała więc, że życie i czas są zbyt cenne, by je marnować.

Być może dla Granta to nic nie znaczy, w każdym razie nie tyle by chciał utrzymać taką miłość. Wiedziała intuicyjnie, że jego życie było o wiele trudniejsze niż jej, że widział rzeczy, które zmieniły go, które ukradły śmiech z jego oczu. Jego doświadczenia utwardziły go, zostawiły niezwykle ostrożnego. Ale nawet gdyby wziął ją tylko żeby się powierzchownie seksualnie zrelaksować, bez wątpienia kochała go wystarczająco mocno, aby dać mu cokolwiek będzie od niej potrzebował. Jane kochała jak robiła wszystko inne, kompletnie i odważnie.

Poruszył się, unosząc swój ciężar na przedramionach i wpatrując się w nią. Jego złote oczy były w zaciemnione, ale było w nich coś, od czego jej serce biło szybciej, bo patrzył na nią w sposób jaki mężczyzna patrzy na kobietę, która do niego należy. - Jestem dla ciebie zbyt ciężki.

- Tak, ale nie dbam o to. - Jane zacisnęła ręce na jego szyi i próbowała przyciągnąć go z powrotem w dół, ale jego siła była znacznie większa niż jej, i nie mogła go ruszyć.

Wycisnął jej szybki, twardy pocałunek. - Przestało padać. Musimy iść.

- Dlaczego nie możemy zostać na noc tutaj? Czy nie jesteśmy

bezpieczni?

Nie odpowiedział, tylko delikatnie rozłączył ich ciała i usiadł, sięgając po swoje ubrania, i to było wystarczającą odpowiedzią. Westchnęła, ale usiadła, by sięgnąć po jej własne ubrania. Westchnienie zamieniło się w skrzywienie, kiedy zdała sobie sprawę z różnych bolesnych miejsc, które miała przez kochanie się na ziemi.

Mogłaby przysiąc, że on na nią nie patrzy, ale świadomość jego otoczenia była niesamowita. Jego głowa szarpnęła się, a lekkie zmarszczenie ściągnęło razem ciemne brwi. - Czy zrobiłem ci krzywdę? zapytał nagle.

- Nie, nic mi nie jest. - Nie wyglądał na przekonanego jej zapewnieniem. Gdy schodzili po stromym zboczu na dno wąwozu, trzymał się bezpośrednio przed nią. Zniósł ją przez ostatnie dwadzieścia stóp, przerzucając ją przez ramię, mimo jej zaskoczenia a następnie oburzonych, protestów.

Protesty były stratą czasu; bo on po prostu je zignorował. Gdy w ciszy postawił ją na dole i ruszył, nie miała innego wyjścia, jak tylko podążać za nim.

Dwa razy po południu usłyszeli helikopter, i dwa razy wciągnął ją po najgrubszą pokrywę liści, czekając, aż dźwięk całkowicie zniknie. Ponura linia jego ust powiedziała jej, że nie uważa tego po prostu za zbieg okoliczności. Byli ścigani, i tylko gęsta pokrywa lasu powstrzymywała ich od przyłapania. Nerwy Jane skręcały się na myśl o opuszczeniu tej pokrywy; nie bała się już tylko o siebie, ale też o Granta. Znalazł się w niebezpieczeństwie tylko dlatego, że z nią był. Turego chciał jej żywej, ale Grant nie był dla niego w żaden sposób użyteczny.

Jeśli chodzi o wybór między życiem Granta i daniem Turego czego chciał, Jane wiedziała, że da mu wszystko. Musiałaby tylko dostać szansę na rozmowę z Turego, choć byłoby to teraz niemożliwe, aby złapać niestrzeżonego w sposób jaki mogła zrobić za pierwszym razem. Wiedział teraz, że nie była zalotną, uroczą zabawką bogacza. Zrobiła z niego głupca, a on jej tego nie zapomni.

Grant podszedł do dużego przewróconego drzewa i odwrócił się, aby złapać ją w pasie i przenieść nad nim bez żadnego uszczerbku dla jego siły.

Zatrzymał się, odgarnął jej splątane włosy z twarzy, jego dotyk był zaskakująco łagodny. Wiedziała, jak śmiertelne te ręce mogą być. - Jesteś zbyt cicho, - mruknął. - To sprawia, że myślę, że coś kombinujesz, i to mnie denerwuje.

- Właśnie sobie myślałam, - broniła się.

- Tego się właśnie obawiałem.

- Jeśli Turego nas złapie...

- Nie zrobi tego, - powiedział Grant stanowczo. Patrząc na nią, widział więcej, niż tylko atrakcyjną, taminowooką kobietę. Znał ją teraz, znał jej odwagę i siłę, jej sekretne lęki i pogodną naturę. Znał też, jej temperament, który zapalał się jak pochodnia lub znikał w mgnieniu oka. Sabin radził, że lepiej szybko ją zabić, niż pozwolić, by wpadła w ręce Turego; Grant widział już tyle śmierci, aby zaakceptować to jaką realistyczną opcję, kiedy nadejdzie czas. Ale to było zanim ją poznał, spróbował i poczuł jedwabistość jej skóry, patrzył, jak pod nim szaleje. Teraz wszystko się zmieniło. On się zmienił - w sposób, który go nie zachwycił ani ufał, ale musiał to przyznać. Jane stała się dla niego ważna. Nie mógł sobie na to pozwolić, ale na razie musiał to zaakceptować. Dopóki nie będzie bezpieczna, może być jego, ale już niedługo. Nie było miejsca w jego życiu na stałość, na zapuszczanie korzeni, bo wciąż nie był pewien, czy on kiedykolwiek będzie żyć ponownie w słońcu. Tak jak Sabin, on też zbyt długo pozostawał w cieniu. Były jeszcze ciemne plamy na jego duszy, które ujawniały się brakiem emocji w oczach. To była wciąż straszna, spokojna akceptacja rzeczy, które były zbyt straszne, aby być akceptowane.

Jeśli wszystko poszło by zgodnie z pierwotnym planem, to odleciałaby w tamtym helikopterze i byłaby bezpieczna w domu. I nigdy by jej naprawdę nie poznał; dostarczył by ją ojcu i odszedł. Ale zamiast tego, zostali zmuszeni do spędzenia dni tylko w swoim towarzystwie. Spali obok siebie, jedli razem, przeżywali wspólne chwile niebezpieczeństwa i humoru. Może śmiech był dla niego bardziej intymny; niebezpieczeństwo widział wiele razy i z wieloma osobami, ale humor był rzadkością w jego życiu. Nauczyła go śmiać się, i w ten sposób zdobyła część jego.

Niech ją cholera za to, że była kobietą jaką była, za to, że okazała się żywą, dobroduszną i pożądaną, gdy spodziewał się zepsutej, rozpieszczonej

suki. Cholera ją za to, że sprawia, że mężczyźni jej pragną, że sprawiła, że on jej pragnął. Po raz pierwszy w życiu poczuł dziką zazdrość ściskającą jego serce. Wiedział, że będzie musiał ją opuścić, ale do tego czasu, chciał, żeby była jego i tylko jego. Pamiętając dotyk jej ciała pod sobą, wiedział, że będzie musiał mieć ją ponownie. Jego złote oczy zwęziły się w uczuciu intensywnej zaborczości, która go ogarnęła. Wyraz kontrolowanej przemocy przemknął po jego twarzy, wyraz który ludzi, jacy go znali nauczyli unikać prowokowania go. Grant Sullivan był wystarczająco niebezpieczny w normalny sposób życia; rozgniewany był śmiertelny. Teraz ona była jego, a jej życie było zagrożone. Za dużo już stracił; swoją młodość, śmiech, zaufanie do innych, nawet część własnego człowieczeństwa. Nie mógł sobie pozwolić na utratę czegokolwiek jeszcze. Był zdesperowany próbując odzyskać swoją duszę. Musiał odnaleźć nawet niewielką część tego chłopca z Georgii, który chodził boso w ciepłym brudzie zaoranych pól, który nauczył się przetrwania w tajemniczej głębi wielkiego bagna. Co Wietnam zaczął, lata pracy w wywiadzie i różne misje prawie zakończyły, zbliżając się do niszczenia go jako człowieka.

Jane i jej pieprzony rodzaj galanterii były źródłem ciepła, jakiego nie czuł od lat.

Wyciągnął rękę i złapał ją za kark, jego silne palce zatrzymały ją. Zaskoczona, zwróciła na niego pytające spojrzenie, i uśmiech, który zaczął się formować na ustach, wyblakł w gwałtownym wyrazie twarzy, jakiego nie mógł ukryć.

- Grant? Czy coś się stało?

Bez namysłu, użył chwytu którym trzymał ją za szyję, przyciągnął do siebie i pocałował jej pełne usta, wciąż lekko opuchnięte od ich wspólnego kochania w jaskini. Dał sobie czas, całując ją powolnymi, głębokimi ruchami swojego języka. Z małym dźwiękiem przyjemności zarzuciła mu rękę na szyję i uniosła się na palcach, aby przycisnąć go w pełni do siebie. Czuł miękkość w spojeniu jej ud i przycisnął się do niej, jego ciało było wstrząsane pragnieniem, a ona automatycznie dopasowała się do jego twardości.

Była jego, jak nigdy nie należała do innego mężczyzny.

Jej bezpieczeństwo zależało od tego, jak szybko uda się mu wywieźć ją

z kraju, bo czuł, że Turego się do nich zbliża. Ten człowiek nigdy się nie podda, nie kiedy mikrofilm wciąż był zagubiony. Nie było mowy, nawet w piekle, obiecał sobie Grant, że pozwoli Turego kiedykolwiek ponownie dotknąć Jane. Odrywając od niej swoje usta, mruknął surowym tonem:

- Jesteś teraz moja. Zaopiekuję się tobą.

Jane oparła głowę na jego piersi. - Wiem, - wyszeptała.

ROZDZIAŁ 8

Na zawsze zmieniłam sposób postrzegania nocy, pomyślała Jane w ciemnościach. Strach przed samotnością w ciemności prawdopodobnie zawsze z nią pozostanie, ale gdy Grant sięgnął po nią, przestała być wrogiem, który trzymał mnie na dystans. Zamiast tego czuła ciepły koc bezpieczeństwa, który był owinięty wokół nich, izolując od świata. Poczwała jego ręce na sobie i w ogóle zapomniała o nocy.

Całował ją, dopóki nie wspięła się na niego, prosząc go bez słowa o uwolnienie od potrzeby, którą w niej wzbudził. Potem delikatnie pozbawił jej i siebie ubrania, a następnie przewrócił się na plecy, sadzając okraciem na sobie. - Rano sprawiłem ci ból, - powiedział, a jego głos był niski i szorstki. - Teraz ty wszystko kontrolujesz, weź tylko tyle, ile będzie ci wygodnie.

Komfort nie miał żadnego znaczenia; kochać się z nim było prymitywną wspaniałością, i nie mogła stawiać na to żadnych ograniczeń. Straciła kontrolę, poruszając dziko na nim, a jej nieskrępowany zachwyty zerwał cienką nić kontroli, którą starał się utrzymać. Wydał z siebie szorstki dźwięk, głęboko w gardle i przycisnął ją do siebie, przekręcając ją, dopóki nie znalazła się pod nim. Dzika rosnąca przyjemność, jaką sobie dawali pozostawiła jej umysł z dala od wszystkiego oprócz niego i miłości, która rosła wewnątrz niej. Nie było już ciemności. Dzięki jego pasji, z rosnącą potrzebą jego ciała, zabrał ją z ciemności. Kiedy zasypiała w jego ramionach, nawet przez chwilę nie pomyślała o nieprzeniknionej ciemności, która ich otaczała.

Następnego dnia rano, jak zawsze, budziła się powoli, kręcąc się i mruczając do siebie, tuląc do cudownie ciepłego, twardego ciała pod nią, wiedząc, nawet we śnie, że to Grant. Jego ręce przesuwają się po plecach na dół i ugniatały jej pośladki, rozbudzając ją zupełnie. Potem przesunął się lekko na bok, trzymając ją w ramionach i ułożył ją na plecach. Jej oczy mrugały otwarte, ale było jeszcze ciemno, więc zamknęła je ponownie i odwróciła się przyciskając twarz do jego szyi.

- Już prawie świta, kochanie, - powiedział w jej włosy, ale nie mógł zmusić się, aby przestać ją dotykać, żeby usiąść i się ubrać. Przesuwał ręce

po jej nagiej, jedwabistej skórze, odkrywając na nowo wszystkie miejsca, których dotykał i całował w nocy. Jej odpowiedź doprowadzała go do szaleństwa. Była tak otwarta i hojna, pragnąc go i oferując się z prostotą, która zapierała mu dech w piersiach.

Jęknęła, a on usadził ją w pozycji siedzącej, potem sięgnął, by rozpiąć klapę namiotu i wpuścić lekki przebłysk światła.

- Obudziłaś się już?

- Nie, - mruknęła, opierając się o niego i ziewając.

- Musimy iść.

- Wiem. - Mrucząc coś pod nosem, znalazła to, co uważała za swoją bluzkę i zaczęła ją rozplątywać. Materiału było zbyt wiele, więc przerwała w frustracji i podała mu ją. - Myślę, że to twoja. Jest zbyt duża, aby być moja.

Wziął koszulę, a Jane macała wokół aż znalazła swoją pod kocem, gdzie leżeli. - Nie możesz ukraść samochodu, czy coś? - spytała, nie chcąc nawet myśleć o kolejnym dniu chodzenia.

Nie roześmiał się, ale mogła wyczuć, że kąciki jego ust drgnęły. - To jest niezgodne z prawem, wiesz.

- Przestań się ze mnie śmiać! Miałeś wiele specjalistycznych szkoleń, prawda? Nie wiesz, jak uruchomić zapłon?

Westchnął. - Myślę, że uruchomiłbym zapłon wszystkiego, co byśmy znaleźli, ale kradzież pojazdu będzie jak wskazanie Turego naszej pozycji.

- Jak daleko jesteśmy się od Limon? Pewno możemy się dostać tam przed Turego, który będzie sprawdzać każdą wioskę pomiędzy tu i tam?

- To byłoby zbyt ryzykowne, kochanie. Najbezpieczniej dla nas jest nadal iść przez bagna wschodniego wybrzeża, a następnie iść wzdłuż wybrzeża. Nie mogą nas wytropić na bagnach. - Przerwał. - Muszę iść do wsi po żywność, ale ty masz być ukryta wśród drzew.

Jane cofnęła. - Akurat, do diabła, zostanę.

- Cholera, czy nie zdajesz sobie sprawy, że to zbyt niebezpieczne, abyś pokazywała swoją twarz?

- A co z twoją twarzą? Ja przynajmniej mam ciemne włosy i oczy jak każdy inny. Nie zapomnij, że widział cię ten żołnierz, i nie wątpię, że twój

przyjaciel pilot, powiedział im o tobie wszystko, więc wiedzą, że jesteśmy razem. Długa blond grzywa jak twoja jest dość niezwykła w okolicy.

Przebiegł palcami po swoich kudłatych włosach, lekko zaskoczony, jak są długie. - Nic z tym nie mogę zrobić.

Złożyła ręce uparcie. - Nie idziesz nigdzie beze mnie.

Przez chwilę zapadła między nimi cisza. Zaczęła myśleć, że odniosła zaskakująco łatwe zwycięstwo, kiedy przemówił, a niemal łagodny ton jego głosu spowodował dreszcze idące w górę jej kręgosłupa, ponieważ był to najbardziej nieubłagany głos jaki kiedykolwiek słyszałem. - Zrobisz to, co mówię, bo inaczej cię zwiążę, zaknebluję i zostawię tutaj w namiocie.

Teraz była jej kolej żeby milczeć. Intymność, która zaszła między nimi, sprawiła, że zapomniała, że w pierwszej kolejności był wojownikiem, a dopiero potem jej kochaniem. Pomimo delikatnej pasji, z jaką się z nią kochał, był wciąż tym samym człowiekiem, który rzucał nią i niósł przewieszoną przez ramię, po dżungli. Nie żywiła do niego urazy za to, po tym wszystkim, co mu zafundowała, ale to było coś zupełnie innego. Czowała się tak, jakby on na siłę chciał jej przypomnieć o ich początkowych relacjach, dając jej pewność, że ich fizyczna bliskość nie uczyniła ich równymi w jego oczach. To tak, jakby użył jej ciała, ponieważ ona mu je tak chętnie ofiarowała, ale nie widział powodu, aby pozwolić, by miało to jakiś wpływ na niego.

Jane odwróciła się od niego, mnąc koszulkę i szukając słów, wreszcie widząc wszystko jasno. Nie pozwoli mu zobaczyć żadnego śladu bólu w swoich oczach; wiedziała, że miłość, którą czuła, była całkowicie jednostronna.

Jego ręka wystrzeliła i zabrał jej koszulkę. Zaskoczona, spojrzała na niego. - Muszę się ubrać. Powiedziałeś, że potrzebujemy...

- Wiem, co powiedziałem, - warknął, układając ją na kocu. Pokusa jej miękkiego ciała, wiedza że ją zranił i jej charakterystyczny uniesiony podbródek wystawiły go na próbę, wszystko to uniemożliwiało mu pamiętanie o konieczności ruszenia. Rdzeń lodu pojawił się w głębi jego piersi i powstrzymywał go od wyszeptania do niej, jak wiele ona dla niego znaczy. Oddalenie, które hodował w sobie przez lata życia na krawędzi śmierci nie zostało jeszcze przewyciężone; i być może nigdy nie będzie.

Nadal było dla niego niezbędne, żeby zachować małą szczególną część dla siebie, szczelną, z dala, na uboczu i na zimno. Mimo to, nie mógł jej pozwolić jej odsuwać się od niego z tym starannie pustym wyrazem twarzy. Była jego, i nadszedł czas, żeby pogodziła się z faktami.

Położył ręce na jej udach, rozłożył je i oplótł nimi swoje biodra. Jane wstrzymała oddech, jej ręce chwyciły go za plecy. Powoli pchnął w nią, wypełniając ją potężnym ruchem, który wygiął jej ciało leżące na kocu. Wszedł głęboko w jej wnętrze, przyciskając mocno do siebie. Jej wewnętrzna ciasność sprawiła, że niemal jęknął głośno, kiedy dzikie dreszcze rozkoszy przebiegły mu po plecach. Wpychając rękę w jej włosy, odwrócił głowę, aż jej usta znalazły się pod jego, a potem pocałował ją z gwałtownością, która wskazywała na piekło wewnątrz niego. Odpowiedziała mu natychmiast. Jej usta przylegały do jego a ciało uniosło się na spotkanie jego pchnięć w coraz bardziej ekstatycznych falach. Chciał, zanurzać się w niej głębiej i głębiej, aż połączyli by się w jedno ciało. Trzymał ją pod sobą, a ich ciała były zakleszczone w całkowitej intymności. Rozkoszował się intensywnymi falami przyjemności, które ich połączyły, starając się osiągnąć szczyt swojej pasji. Kiedy był w niej, wtedy nie czuł potrzeby izolowania się. Brała część niego, której nie zamierzał jej dawać, ale nie mógł tego zatrzymać. To było, jakby jeździł kolejką górską i nie było sposobu, wydostania się aż do osiągnięcia do końca linii. Musiał po prostu przejechać się, i wycisnąć każdą chwilę przyjemności jaką tylko mógł przez krótki czas, w którym miał ją tylko dla siebie.

Jane przyłgnęła do jego ramion, pozbawiona swoich zmysłów przez ruchy jego ciała. Wydawało się, że stracił kontrolę; był dziki, niemal brutalny, jego ciało było tak gorące, że jego skóra paliła jej dłonie. Była wciągnięta w głąb swojej pasji, wijąc się pod nim i prosząc o więcej. Potem, nagle, jej przyjemność eksplodowała, a on przycisnął swoje usta do jej łapiąc jej bezmyślne okrzyki. Jej rozpalona jak pochodnia ekstaza złapała go w wybuchu i zaczął drżeć w końcowych falach uderzeniowych przetaczających się przez jego ciało. Teraz to ona go posiadała, a kiedy było już po wszystkim, upadł na nią, zamknął oczy a jego klatka piersiowa falowała, jego ciało lśniło od potu.

Jej palce delikatnie dotknęły zmierzwionych, ciemnozłotych nici w jego włosach, odsuwając je z czoła. Nie wiedziała, co wywołało jego nagłą, gwałtowną chęć posiadania jej, ale to nie miało znaczenia. Liczyło się mimo wszystko, że potrzebował jej w sposób podstawowy, którego nie chciał, ale któremu nie mógł zaprzeczyć. To nie było to, co chciała, ale to było na początek. Powoli przejechała ręką po plecach, czując potężne mięśnie, które leżały pod jego elastyczną brązową skórą. Mięśnie drgnęły a następnie rozluźniły się pod jej dotykiem, a on zrobił się cięższy, jakby opuściło go napięcie.

- Teraz naprawdę musimy iść, - mruknął przy jej piersi.

- Ummm. - Nie chciało się jej ruszać; jej kończyny były ciężkie, całkowicie zrelaksowane. Mogłaby szczęśliwa leżeć tak przez resztę dnia, drzemiąc wraz z nim i budzić się, by się kochać. Wiedziała, że ten spokój nie będzie trwał; już w chwili, gdy uniósł się i rozłączył ich ciała.

Ubierali się w ciszy, za wyjątkiem szelestu ich ubrań, dopóki nie zaczęła sznurować swoich butów na nogach. Wyciągnął rękę i uniósł jej podbródek, a następnie, jego kciuk przesunął się po jej dolnej wardze. - Obiecuj mi, - zażądał, zmuszając ją, żeby popatrzyła na niego. - Powiedz mi, że masz zamiar robić to, co mówię, bez żadnych kłótni. Nie każ mi cię związać.

Czy on prosił o posłuszeństwo, czy zaufanie? Jane zawahała się, a potem poszła za instynktem. - Dobrze, - wyszeptała. - Obiecuję.

Jego źrenice rozszerzyły się, a jego kciuk badał kąciki jej ust. - Zaopiekuję się tobą, - powiedział, i to było więcej niż obietnicą.

Zwinęli namiot; następnie Jane wyjęła skromny zapas pozostałej żywności. Wlała ostatnie wody Perrier do jego manierki, wyrzuciła butelki, i rozdzieliła dwa ostatnie batoniki muesli, które zachowała. To i mała puszka grejfruta było ich śniadaniem, i ostatnim jedzeniem.

Ranek już prawie przeminął, a ciepło i wilgotność wzrosły do poziomu niemal nie do zniesienia, gdy Grant zatrzymał się i rozejrzał. Otarł czoło z potu. - Jesteśmy prawie przy wiosce. Zostań tu, a ja będę z powrotem w godzinę lub coś koło tego.

- Jak długo oznacza „coś koło tego”? - zapytała uprzejmie, ale dźwięk zgrzytających zębów sprawiło, że się uśmiechnął.

- Dopóki nie wrócę. - Wyjął pistolet z kabury i podał go jej.
- Rozumiem, że wiesz, jak z tego korzystać?

Jane wzięła broń z jego ręki, z ponurym wyrazem na ustach. - Tak. Po tym, jak zostałam porwana, tata stwierdził, że muszą się nauczyć, jak chronić siebie. Obejmowało to kurs strzelania z broni palnej, a także zajęcia samoobrony. - Jej szczupła dłoń trzymała pistolet z szacunkiem, i niechętną wiedzą. - Nigdy nie widziałem jednak takiego. Co to jest?

- Bren kaliber 10 milimetrów, - mruknął.

Uniosła brwi. - Czy ta broń nie była jeszcze w fazie eksperymentów?

Wzruszył ramionami. - Według niektórych osób tak. Używałem go przez jakiś czas, i to nie jest to, co chcę. - Przyglądał się jej przez chwilę, po czym zmarszczył brwi. - Czy będziesz potrafiła go używać, jeśli będzie trzeba?

- Nie wiem. - Uśmiech błąkał się na jej ustach. - Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tego.

Dotknął jej włosów, mając gorącą nadzieję, że ona nigdy nie będzie musiała znaleźć odpowiedzi na swoje pytanie. Nie chciał, żeby cokolwiek, kiedykolwiek przyciemniło wesołość jej uśmiechu. Pochylił się, pocałował ją szorstko i dokładnie, a następnie bez słowa wtopił się w las, który umilkł, wskazując jego drogę. Jane spoglądała na pistolet w ręku przez dłuższą chwilę, a potem podeszła do zwałonego drzewa i dokładnie obejrzała je poszukując śladów jakichkolwiek zwierząt zanim usiadła.

Nie była w stanie się rozluźnić. Jej nerwy skakały, i choć nie szarpała się wokół na każdy hałaśliwy świergot ptaków lub szczekających małąp, ani nawet na niepokojące szelesty w zaroślach, jej zmysły były ostro i boleśnie dostosowane do tych odgłosów. Przywykła do obecności Granta w pobliżu, i tylko przez jego zwyczajną obecność czuła się chroniona. Bez niego, czuła się wrażliwsza i bardziej samotna, niż kiedykolwiek.

Strach zjadał ją od środka, ale to nie był strach o siebie, tylko o Granta. Weszła w to z otwartymi oczami, akceptując ryzyko jako zapłatę, ale Grant był zaangażowany wyłącznie z jej powodu. Jeśli coś mu się stanie, to wiedziała, że nie będzie w stanie tego znieść, i bała się. Jak on spodziewał się chodzić spokojnie po małej wiosce i nie zostać zauważonym. Wszystko w nim przyciągało uwagę, od jego postawy po jego splecione blond włosy i te dzikie, złote oczy. Znała determinację Turego by ją sprawdzić

z powrotem, a ponieważ Granta widziano razem z nią, jego życie wisiało teraz na włosku, tak samo jak jej.

Do tej chwili Turego musiał się już zorientować, że to ona ma mikrofilm. Jest zarówno wściekły jak i zdesperowany; wściekły, bo zrobiła z niego głupca, i zdesperowany, bo mogłaby zniszczyć jego karierę rządową. Jane wykręciła palce, jej ciemne oczy zrobiły się zdeterminowane. Pomyślała o zniszczeniu mikrofilmu, aby upewnić się, że nigdy nie wpadnie w ręce Turego, żadnej wrogiej grupy lub rządu - ale nie wiedziała, co na nim było, tylko to, że jest to niezwykle ważne. Nie chciała niszczyć informacji, których jej własny kraj może potrzebować. Nie tylko dlatego, ale może potrzebowała go jako narzędzia negocjacyjnego. George dobrze ją wyszkolił, przesiąkając ją swoją ostrożnością, nieobliczalną taktyką, taktyką, która uczyniła go tak tajemniczym, że niewiele osób wiedziało o jego istnieniu. Gdyby została przyparta do muru, wykorzystałaby każdą przewagę jaką miała, zrobiłaby cokolwiek musiała - ale miała nadzieję, że nie dojdzie do tego rodzaju sytuacji. Najlepszy scenariusz byłby taki, że Grantowi uda się przemycić ją z tego kraju. I wtedy, kiedy będzie już bezpieczna, w Stanach, nawiąże kontakt i odda mikrofilm ludziom, którzy powinni go mieć. Wtedy będzie mogła się skoncentrować na pogoni za Grantem aż uświadomi sobie, że nie może bez niej żyć. Najgorszy scenariusz, jaki mogła sobie wyobrazić, to że coś stało się z Grantem. Wszystko w niej stroniło nawet od tej myśli.

Został już za bardzo zraniony. Był szorstkim, twardym wojownikiem, ale nosił blizny, te niewidoczne, wewnątrz, jak i te, które naznaczyły jego ciało. Odszedł na emeryturę, próbując zebrać się do kupy, ale pustka odbijająca się w jego oczach powiedziała jej, że on wciąż żyje częściowo w cieniu, gdzie światło słoneczne i ciepło nie może się dostać.

Wezbrała w niej zacięta opiekuńczość. Była silna; przeżyła już sporo, pokonała przerażenie z dzieciństwa, które mogłoby ją emocjonalnie sparaliżować. Nie pozwoliła podciąć sobie skrzydeł, zamiast tego wzniosła się jeszcze wyżej, rozkoszując się swoją wolnością. Ale nie była na tyle silna, aby przetrwać w świecie bez Granta. Musiała wiedzieć, że żyje i że jest mu dobrze, albo dla niej nie będzie więcej słońca. Jeśli ktoś ośmieliłby się go skrzywdzić...

Pot gromadził się we włosach na skroniach i spływał pomiędzy piersiami. Wzdychając, zastanawiała się, jak długo czeka. Otarła twarz i związała sobie włosy na czubku głowy, aby ulżyć i zdjąć gorącą masę z karku. Było tak gorąco! Powietrze było parne, otaczające jej skórę jak ciepły, mokry koc, co utrudniało oddychanie. Wkrótce miało padać; zbliżał się ten czas dnia, kiedy zwykle nadchodziły burze.

Najpierw obserwowała idące w linii mrówki, następnie próbowała bawić się poprzez liczenie różnych rodzajów ptaków, które przemknęły na głowę i ćwierkały na zielonych tarasach. Dżungla tętniła życiem, a ona nauczyła się, że zachowując ostrożność, można bezpiecznie przez nią przejść – ale nie chciała próbować tego bez Granta. Posiadał wiedzę i doświadczenie. I ona nie była już przekonana, że za każdym krzakiem czeka ją śmierć. Zwierzęta, które żyły w zielonej głębi były ogólnie nieśmiałe i uciekały, kiedy podchodził człowiek. Było prawdą, że najbardziej niebezpiecznym zwierzęciem w dżungli był sam człowiek.

Minęło ponad godzinę i poczucie niepokoju mrowiło ją wzdłuż kręgosłupa. Siedziała nieruchomo, jej zielone i czarne ubrania dobrze stapiały się z otaczającym liśćmi, jej zmysły były w gotowości.

Nic nie widziała, nie słyszała nic niezwykłego, ale mrowienie wzdłuż kręgosłupa wzrosło. Jane siedziała jeszcze przez chwilę, a potem usłyszała krzyk swojego instynktu. Niebezpieczeństwo było blisko, bardzo blisko.

Powoli poruszyła się, uważając, aby nie zaszeleścić nawet liściem, i zaczęła się czołgać za osłoną z korzeni przewróconego drzewa. Były pokryte kłaczami i krzewami, które wyrosły, karmiąc się śmiercią wielkiej rośliny. Ciężar pistoletu, który trzymała przypominał jej, że Grant miał powód, żeby go jej zostawić.

Błysk ruchu przyciągnął jej uwagę, ale odwróciła tylko oczy, żeby go sprawdzić. Minęło kilka długich sekund, zanim znowu go ujrzała, trochę opaloną skórę i zielony kształt, który nie był ani rośliną czy zwierzęciem, ale czapką. Mężczyzna poruszał się powoli, ostrożnie, trochę hałasując. Miał karabin, i ogólnie kierował się stronę wsi.

Serce Jane waliło w piersi. Grant mógł spotkać się z nim twarzą w twarz, ale Grant będzie zaskoczony, podczas gdy ten człowiek, ten partyzant, spodziewa się go znaleźć. Dla Jane nie ulegało wątpliwości, że normalnie

Grant by zwyciężył, jeśli jednak zostanie zaskoczony od tyłu, to mógł być zastrzelony, zanim będzie miał okazję do działania.

Charakterystyczny odgłos łopat śmigłowca zaatakował powietrze, wciąż odległy, ale sygnalizujący wzmożone poszukiwanie. Jane czekała, podczas gdy hałas śmigłowca wyblakł, mając nadzieję, że jego obecność zaalarmowała Granta. Z pewnością tak było; był zbyt ostrożny, aby nie mieć się na baczności. Za to, jeśli nic innego, była wdzięczna za obecność helikopterów.

Musiała znaleźć Granta zanim stanie twarzą w twarz z jednym z partyzantów i zanim ją znajdą. Ten samotny człowiek nie był jedynym, który jej szukał.

Przez ostatnie kilka dni wiele się od Granta nauczyła, w tym cichy sposób, w jaki szedł, i jak instynktownie korzystać z najlepszych dostępnych kryjówek. Wślizgnęła się w dżungłę, poruszając się powoli, trzymając się nisko, i zawsze będąc w tyle lub z boku cichego prześladowcy. Przerazenie trzepotało jej w piersi, prawie ją dusząc, ale przypomniawszy sobie, że nie ma wyboru.

Ciernie złapały ją za włosy, szarpiąc boleśnie, a łzy pojawiły się w oczach, kiedy zagryzła wargę by stłumić odruchowy okrzyk bólu. Drżąc, uwolniła włosy. O Boże, gdzie był Grant? Czy już został złapany?

Kolana drżały jej tak bardzo, że nie była już w stanie iść na czworakach. Opadła na ręce i kolana i zaczęła się czołgać, jak uczył ją Grant, utrzymując najgrubsze liście między sobą a człowiekiem, niezgrabnie trzymając pistolet w ręku.

Grzmot przetoczył się w dali, sygnalizując zbliżanie się codziennego deszczu. Ona zarówno bała się jak i modliła się deszcz. To zagłuszyłoby wszystkie dźwięki i zmniejszyło widoczność do kilku metrów, zwiększając jej szanse na ucieczkę - lecz także sprawiało, że było prawie niemożliwe by Grant ją znalazł.

Słaby trzask w zaroślach za nią zaalarmował ją, ale odwróciła się o ułamek sekundy za późno. Zanim zdążyła podnieść pistolet, mężczyzna był na niej, wykopując pistolet z ręki i wykręcając ją do tyłu, a następnie wciskając jej twarz w ziemię. Dyszała, jej oddech został niemal odcięty przez nacisk kolana na plecach. Wilgotna, rozkładająca się roślinność leśna

została wciśnięta w jej usta. Przekręcając głowę na bok, Jane wypłuła brud. Próbowwała uwolnić swoje ramię; przeklął i wykręcił jej rękę za plecami wyżej, wywołując u niej mimowolny okrzyk bólu.

Ktoś krzyknął w oddali, a mężczyzna odpowiedział, ale w uszach Jane słyszała tylko szum i nie mogła zrozumieć, co mówili. Potem z grubsza ją przeszukał, uderzając swoją wolną rękę po jej ciele a co zmieniło kolor jej twarzy na czerwony z wściekłości. Gdy był już przekonany, że ona nie ma żadnych innych broni, uwolnił jej rękę i przerzucił ją na plecy.

Zaczęła wstawać na nogi, ale on odwrócił karabin wokół tak blisko, że długa, lśniąca lufa była tylko kilka cali od jej twarzy. Spojrzała na nią, a potem podniosła wzrok, by spojrzeć na porywacza. Może mogłaby go zbić z tropu.

- Kim jesteś? - zażądała w dobrej imitacji wściekłości obrażonej kobiety i odpychając lufę z dala, jakby to był jakiś owad. Jego płaskie, ciemne oczy krótko wyraziły zaskoczenie a potem ostrożność. Jane zerwała się na równe nogi i przysunęła swoją twarz blisko jego, pozwalając mu zobaczyć swój zwężony, zły wzrok. Korzystając z całego hiszpańskiego jaki знаła, szła do przodu i mówiła mu, co o nim myśli. Na dokładkę dodała wszystkie etniczne przekleństwa, których nauczyła się w collegu, po cichu zastanawiając się, czy rozumie wszystko czym wyzywa żołnierza, który z każdą chwilą wyglądał na coraz bardziej oszołomionego.

Wielokrotnie dźgała go palcem w pierś, idąc z nim do przodu, a on faktycznie cofnął się o kilka kroków. Potem inny żołnierz, ten którego zauważyła wcześniej, dołączył do nich, i mężczyzna opanował się.

- Bądź cicho! - krzyknął.

- Nie będę cicho! - odkrzyknęła Jane, ale inny żołnierz chwycił jej rękę i związał w nadgarstkach. Oburzona, Jane kopała za sobą, uderzając go butem w goleń. Wydał z siebie zaskoczony okrzyk bólu, a potem odwrócił się i uniósł pięść, ale w ostatniej chwili zatrzymał swój cios. Turego prawdopodobnie dał rozkaz, że nie można rozbić jej krzywdy, przynajmniej dopóki nie wyciągnie z niej informacji jakie chciał.

Odrzucając splątane włosy z dala od oczu, Jane spojrzała na porywaczy.

- Czego chcecie? Kim jesteście?

Mężczyźni zignorowali ją i popchnęli szorstko przed sobą. Z rękami

związanymi na plecach, jej równowaga była zachwiana, i potknęła się o splątane kłacza. Nie mogąc się wyprostować, upadła w przód z krótkim krzykiem. Instynktownie jeden z żołnierzy ją chwycił. Starając się sprawić wrażenie, że to przypadek, postawiła swoją nogę i splątała z jego, powodując, że upadł na krzak. Upadła gwałtownie na splątany korzenia, co przez chwilę ją oszołomiło i zadzwoniło jej w uszach.

* * *

Pojawił się znikąd. W jednej chwili go nie było; i nagle był pośród nich. Trzy szybkie ciosy krawędzią dłoni w twarz i szyję pierwszego żołnierza spowodowało, że człowiek padł jak zepsuta lalka. Żołnierz, którego uderzyła Jane krzyknął i próbował okręcić karabin, ale Grant zaatakował z buta, uderzając mężczyznę w brodę. Dało się słyszeć obrzydliwy łomot; głowa mężczyzny odskoczyła, a on zwiotczał.

Grant nawet się nie zasapał, ale jego stężała twarz wyrażała zimną wściekłość, kiedy stawiał Jane na nogi i szorstko odwracał. Nóż przeciął łatwo więzy na jej nadgarstkach. - Dlaczego nie zostałeś tam, gdzie cię zostawiłem? - wychrypiał. - Gdybym nie usłyszał twojego krzyku...

Nie chciała o tym myśleć. - Zostałam, - zaprotestowała. - Aż tych dwóch prawie do mnie podeszło. Staralam się ukryć, i znaleźć ciebie zanim wejdiesz prosto na nich!

Posłał jej niecierpliwe spojrzenie. - Poradziłbym sobie z nimi. - Złapał ją za nadgarstek i zaczął ciągnąć za sobą. Jane zaczęła się bronić, a potem westchnęła. Skoro w tak oczywisty sposób sobie z nimi poradził, co mogła powiedzieć? Zamiast tego skupiła się raczej na utrzymaniu na nogach i unikaniu korzeni i kolczastych pnączy, które uderzały w nią.

- Gdzie idziemy?

- Bądź cicho.

Rozległ się głośny trzask, i Grant rzucił ją na ziemię, obejmując ją swoim ciałem. Bez tchu, w pierwszym Jane pomyślała, że to grzmot nadciągającej burzy zaskoczył ich; następnie jej serce zabiło konwulsje w piersi, kiedy zdała sobie sprawę, co to był za hałas. Ktoś do nich strzelał! Ci dwaj żołnierze nie byli jedynymi, którzy byli w pobliżu. Jej oczy rozszerzyły się do ciemnych kałuży; oni strzelali do Granta, nie do niej! Oni mieli rozkaz wziąć ją żywcem. Panika zacisnęła jej gardło, a ona chwyciła jego.

- Grant! Czy wszystko w porządku?

- Taaa, - mruknął, kładąc prawą rękę wokół niej i czołgając się z nią za osłonę dużego drzewa mahoniowego, przeciągając ją jak drapieźnik niosący swoją ofiarę. - Co się stało z Brenem?

- Wykopał go z mojej ręki... tam. - Machnęła ręką, aby wskazać ogólny obszar, w którym straciła pistolet. Grant rozejrzał się, sprawdzając dostępne schronienie i klnąc kiedy zdecydował, że to było zbyt duże ryzyko.

- Przykro mi, - powiedziała Jane, jej ciemne oczy były pełne winy.

- Zapomnij o tym. - Zdjął karabin z ramienia, jego ruchy były pewne i szybkie, kiedy zajmował się bronią. Jane przytuliła się do ziemi, obserwując, jak on szybko rzuca okiem wokół ogromnego pnia drzewa. Blask w jego bursztynowych oczach sprawił, że poczuła się trochę przerażona; w tym momencie był kwintesencją wojownika, doskonale wyszkolony i stonowany, chłodno oceniający sytuację i ustalający, jakie kroki podjąć.

Kolejny strzał zaświszczał przez drzewa, i uderzył w korę odrywając ją tylko centymetrów od twarzy Granta. Szarpnął się do tyłu, a następnie przeciągnął po cienkiej linii krwi, która spłynęła z jego policzka z miejsca, gdzie uderzyła go drzazga.

- Pozostań nisko przy ziemi, - rozkazał płaskim i twardym tonem.

- Przeczłógać się na brzuchu przez te krzaki tuż za nami, i czołgać się dalej, nieważne co się będzie działo. Musimy się stąd wydostać.

Zrobiła to mając w oczach smuzkę krwi spływającą po jego twarzy, ale nic nie powiedziała. Kontrolując drżenie nóg i ramion, położyła się na brzuchu i wykonała rozkaz, wijąc się do wskazanych krzewów. Czowała go tuż za sobą, kierującego nią ręką na jej nodze. Celowo utrzymywał się pomiędzy nią a kierunkiem, z którego nadlatywały strzały, a świadomość tego ścisła boleśnie jej serce.

Grzmot zagrzmiął, tak blisko, że aż zadrżała ziemia zadrżała. Grant spojrzął do góry. - No dalej, deszczu, - mruknął. - Zaczynj padać.

Zaczął się kilka minut później, przeciskając się przez liście z kapiącym dźwiękiem, a następnie gwałtownie nasilając do gromkiego potopu, którego się spodziewała. Natychmiast przemokli do suchej nitki, jak gdyby ktoś wrzucił ich do wodospadu. Grant popychał ją przed sobą, nie zważając już

na hałas jaki robili, bo huk deszczu zacierał wszystko. Szli jeszcze około stu metrów na rękach i kolanach, a potem pociągnął ją do pozycji pionowej i przycisnął usta do jej ucha. - Biegnij! - wrzasnął, ledwo co słysząc siebie przez ogłuszający hałas deszczu.

Jane nie wiedziała, jak ma biec, ale to zrobiła. Jej nogi drżały, była odurzona i zdezorientowana, ale jakoś jej stopy poruszały się, kiedy Grant ciągnął ją przez las na złamanie karku. Jej wzrok był zamazany; widziała tylko mylącą zbieraninę zielonego i deszcz, zawsze deszcz. Nie miała pojęcia, dokąd idą, ale zaufała instynktowi Granta, który ich poprowadzi.

Nagle wydostali się na brzeg dżungli, gdzie człowiek wyciął liście w próbie doprowadzenia cywilizacji do małej części dżungli. Zataczając się szli przez pola zamienione od deszczu w bagno, Jane utrzymywała się w pozycji pionowej tylko dzięki nierozzerwalnemu uchwytowi Granta na swoim nadgarstku. W pewnym momencie upadła na kolana, a on pociągnął ją przez kilka metrów, zanim to zauważył. Bez słowa chwycił ją i przerzucił przez ramię, niosąc ją, bez wysiłku, jak zawsze, nie okazując śladu zmęczenia, które ona czuła.

Zamknęła oczy i wisiała, prawie odurzona, czując jak robi się jej niedobrze, kiedy jej żołądek był wstrząsany jego twardym ramieniem. Ich otoczenie stało się niekończącym koszmarem uderzających szarych biczów wodnych, owijających ich w zasłonę pozbawioną obrazu i dźwięku. Przerazenie zaległo jej w brzuchu jak zimna, rozmoczona grudka, wywołana widokiem krwi na twarzy Granta. Nie mogłaby znieść, gdyby coś mu się stało, po prostu by nie mogła...

Opuścił ją z ramienia, opierając o coś twardego i zimnego. Palce Jane rozłożyły się na oparciu i słabo rozpoznała dotyk metalu. Potem Grant szarpnięciem otworzył drzwi starego pickupa, podniósł ją i wepchnął do kabiny. Ze zwinnym skrętem ciała wsunął się pod koło, a następnie zatrzasnął drzwi.

- Jane, - wyrzucił, chwytając ją za ramię w ciasnym uścisku i potrząsając. - Czy wszystko w porządku? Trafili cię?

Zapłakała, ale jej oczy były suche. Wyciągnęła drżącą rękę, by dotknąć czerwonej smugi, która spływała mu po mokrej od deszczu twarzy. - Jesteś ranny, - szepnęła; nie mógł jej usłyszeć przez huk walącego w metalowy

dach deszczu, ale czytał jej z ust i wziął ją w ramiona, przyciskając mocno, i pokrywając szybkimi pocałunkami jej kapiące włosy.

- To tylko zadrapanie, kochanie, - uspokoił ją. - A co z tobą? Wszystko w porządku?

Udało jej się skinać, przywierając do niego i czując niesamowite ciepło jego ciała, pomimo tego, że ubranie miał przemoczone. Trzymał ją przez chwilę, a potem ściągnął jej ręce z szyi i umieścił po drugiej stronie samochodu. - Siedź tu a ja spróbuję to uruchomić. Musimy się stąd wydostać, zanim deszcz przestanie padać i ktoś może nadejść.

Pochylił się i sięgnął pod deską rozdzielczą ciężarówki, wyciągając kilka luźnych przewodów.

- Co robisz? - zapytała tępo Jane.

- Wyciągam okablowanie tego starego rupiecia, - odpowiedział, i posłał jej szybki uśmiech. - Teraz zwróć szczególną uwagę, ponieważ natarczywie chciałaś, bym to zrobił. Może pewnego dnia będziesz chciała ukraść ciężarówkę.

- Nie będziesz w stanie prowadzić, kiedy nic nie widzisz, - powiedziała, jeszcze tym bezradnym, zdrętwiałym głosem, będącym przeciwieństwem jej zwykłego czarującego rzeczowego tonu. Złączył brwi, ale nie mógł się powstrzymać, aby kołysać ją w ramionach i uspokajać, że wszystko będzie w porządku. Sam nie był o tym przekonany; całe piekło spadło mu na głowę, przypominając mu, jak bardzo nie lubił, kiedy do niego strzelano - a teraz również Jane była celem. Nienawidził tej całej sytuacji tak bardzo, że był pewien, że teraz jego oczy mają ten zabójczy wygląd, wygląd, który stał się legendą w dżungli i polach ryżowych w Azji Południowo-Wschodniej.

- Widzę na tyle dobrze, żeby nas stąd wydostać.

Złączył dwa przewody razem a silnik zakaszłał i zakręcił, ale nie uruchomił się. Klnąc pod nosem, spróbował ponownie i po raz drugi silnik załapał. Wrzucił jedynekę i nacisnął sprzęgło. Ruszyli z jękiem, i protestem starego pojazdu. Deszcz na szybie był tak ciężki, że słabe wycieraczki były prawie bezużyteczne, ale Grant zdawał się wiedzieć, gdzie jedzie.

Rozglądając się wokół, Jane zobaczyła zaskakująco dużą liczbę budynków, mimo deszczu, i wydawało jej się, że widzi kilka ulic idących

od tej, na której byli. Wieś była zamożna, z większością pułapek cywilizacji, i wyglądało to jakoś niestosownie istniejąc tak blisko dżungli.

- Gdzie jedziemy? - zapytała.

- Na południe, kochanie. Do Limon, lub przynajmniej tak daleko, jak ten gruchot pojedzie.

ROZDZIAŁ 9

Limon. Nazwa brzmiała jak w niebo, i kiedy siedziała wtulona w podarte siedzisko starej ciężarówki, miasto wydawało się tak daleko. Jej ciemne oczy były szeroko otwarte i wrażliwe, kiedy obserwowała zalewaną strumieniami przednią szybę, starając się zobaczyć drogę. Grant rzucił jej szybkie spojrzenie, i to było wszystko co mógł zrobić bezpiecznie podczas jazdy, bo musiał całą uwagę zwracać na drogę. Utrzymując spokojny głos, powiedział: - Jane, wciśnij się w kąć tak daleko jak możesz. Trzymaj głowę z dala od tylnej szyby. Rozumiesz?

- Tak. - Posłuchała, kurcząc się w kącie. Stary samochód miał małe okno z tyłu i jeszcze mniejsze po bokach, pozostawiając głębokie ochronne kąty w rogach. Uszkodzona sprężyna kuła ją w tylną nogę, przez co musiała się przesunąć. Tapicerka po tej stronie siedzenia prawie nie istniała, składając się głównie z różnych kawałków tkaniny, przykrywających niektóre sprężyny. Grant siedział na brudnym skrawku juty. Patrząc w dół, zobaczyła wielką dziurę w podwoziu przy drzwiach.

- Ta rzecz ma charakter, - skomentowała, chcąc odzyskać niewielką część opanowania.

- Taak, wszystko tu jest rozwalone. - Ciężarówka przekrzywiła się w bok na morzu błota, a Grant skierował całą uwagę na skierowanie tego gruchota na linię prostą.

- Skąd w ogóle wiesz, gdzie jedziemy?

- Nie wiem. Zgaduję. - Diabelski uśmiech wykrzywił mu usta, znak, że adrenalina buzuje w jego ciele. To była fizyczna wysoka, ostra czułość wywołana przez wyzwanie jego sprytu i umiejętności przeciwko wrogowi. Gdyby to nie było zagrożeniem dla Jane, może nawet byłby bardzo zadowolony z tej gry w kotka i myszkę. Zaryzykował kolejne szybkie spojrzenie na nią, i rozluźnił się trochę, kiedy zobaczył, że teraz jest spokojniejsza, zbierając się do kupy i opanowując swój strach. Strach jeszcze tam był, ale pod kontrolą.

- Lepiej dla nas, żebyś dobrze zgadywał, jęknęła kiedy obrzydliwy gruchot przechylił się na bok. - Jeśli spadniemy z urwiska, to przysięgam, że nigdy ci nie wybaczę!

Uśmiechnął się ponownie i niepewnie przeniósł ciężar ciała. Pochylił się nad kierownicą. - Czy możesz zdjąć ze mnie plecaki? Przeszkadzają mi. I trzymaj się nisko!

Prześlizgnęła się przez siedzenie i odpięła plecaki, odciągając je z dala od niego, aby mógł się oprzeć. Jak mogła zapomnieć o swoim plecaku? Dotknięta swoją zupełną lekkomyślnością, przeciągnęła sprzączki przez szlufki w spodniach i zapięła pasy.

Grant nie zwracał teraz na nią uwagi, ale zmarszczył brwi patrząc na deskę rozdzielczą. Zastukał knykciem w miernik paliwa. - Cholera!

Jane jęknęła. - Nic nie mów. Nie mamy prawie paliwa!

- Nie wiem. Ten cholerny wskaźnik nie działa. Możemy mieć pełny zbiornik, lub stanąć w każdej chwili.

Rozejrzała się. Deszcz nie był już tak intensywny jak wcześniej, choć nadal mocno padało. Las napierał na drogę po obu stronach, a wioski nie było już widać. Droga nie była utwardzona, i ciężarówka przechylała się na nierównej powierzchni, zmuszając ją do przyłgnięcia do siedzenia żeby się utrzymać - ale droga i ciężarówka wciąż się posuwały. Nawet gdyby stanęła w tej chwili, byłoby już dalej niż przed chwilą. Przynajmniej teraz do nich nie strzelano. Przy odrobinie szczęścia Turego pomyśli, że oni nadal poruszają się pieszo i będzie kontynuować poszukiwania w pobliżu wioski, przynajmniej przez chwilę. Każda minuta była teraz cenna, zwiększając odległość pomiędzy nimi i ich prześladowcami.

Pół godziny później deszcz przestał padać, a temperatura od razu zaczęła rosnać. Jane otworzyła boczne okno ciężarówki, szukając jakiegokolwiek chłodu. - Czy ta rzecz ma radio? - zapytała.

Prychnął. - A co byś chciała posłuchać, listę przebojów? Nie, ta rzecz nie ma radia.

- Nie ma potrzeby, żebyś był oschły, - pociągnęła nosem.

Grant zastanawiał się, czy kiedykolwiek przedtem został oskarżony o bycie "oschłym". Nazywano go różnie, ale nigdy tak; Jane miała wyjątkowy sposób patrzenia na różne rzeczy. Jeśli spotkaliby jaguara, to pewnie nazwałaby go "ładnym kotkiem"! Wzrosła w nim znajoma potrzeba, żeby ją udusić lub się z nią kochać. Jego ponura twarz pojaśniała, kiedy zaczął rozważać, co da mu większą przyjemność. Ciężarówka

ocierała się o krzaki wystające na wąską drogę. Jane ledwo się uchyliła, żeby uniknąć uderzenia w twarz przez gałąź, która dostała się przez otwarte okno, opryskując ją kroplami deszczu, które jeszcze były na liściach.

- Zamknij to okno - rozkazał, a obawa wyostrzyła mu głos. Jane posłuchała i ponownie usiadła w kącie. Od razu poczuła pot spływający jej strużkami po twarzy, i wytarła rękawem czoło. Dłonią dotknęła włosów, i odepchnęła ciężką masę z dala od twarzy, przerażona splątanymi lokami jakie odkryła. Czego by nie dała za kąpiel! Prawdziwą kąpiel, z gorącą wodą, mydłem i szamponem, a nie chlapaniem się w skalistym strumieniu. I jeszcze czyste ubrania! Pomyślała o szczotce do włosów w swoim plecaku, ale nie miała siły, żeby teraz po niego sięgnąć.

No cóż, nie było sensu marnować czasu, życząc sobie czegoś, czego mieć nie mogła. Teraz były ważniejsze sprawy.

- Czy masz coś do jedzenia? - zapytała.

- W moim plecaku.

Złapała plecak i otworzyła go, wyciągając owinięty ręcznikiem pakiet z chlebem i serem. To było wszystko, ale nie była w nastroju, żeby się spierać o ograniczone menu. Jedzenie było jedzeniem. Teraz, nawet racje polowe byłby dobre.

Pochylając się, wyjęła mu nóż zza pasa i szybko pokroiła chleb i ser. W mniej niż minutę, zrobiła dwie grube kanapki z serem i włożyła nóż do pochwy. - Jesteś w stanie trzymać kanapkę i kierować, czy chcesz, żebym cię nakarmiła?

- Poradzę sobie. - To było niewygodne, zмагаć się z kierownicą jednocześnie trzymając kanapkę, ale Jane musiałaby się przysunąć bliżej niego, by go karmić, i wtedy wystawiłaby głowę w tylnej szybie. Droga za nimi była na razie pusta, ale nie miał zamiaru ryzykować jej dobra.

- Mogłabym położyć głowę na twoich kolanach i cię karmić, - zasugerowała delikatnie, a jej ciemne oczy były senne i czułe.

Szarpnął się lekko, napinając całe ciało. - Kochanie, jeśli położysz głowę na moich kolanach, mogę wjechać tym pudłem na drzewo. Lepiej zostań tam, gdzie jesteś.

Czy to było zaledwie wczoraj, kiedy wziął ją tak całkowicie w tej jaskini? Uczynił ją swoją, posiadał ją i zmienił tak, że trudno sobie

przypomnieć, jak to było kiedy go nie znała. Cały jej świat się przesunął, przekierowując się na niego.

To co czuła wyraźnie objawiało się w jej oczach, w jej wyrazistej twarzy. Szybki rzut oka na nią spowodował, że przełykanie zmieniło się w narastającą suchość w gardle, a ręce zacisnęły się na kierownicy. Pragnął jej, natychmiast; chciał zatrzymać samochód i wciągnąć ją na siebie okraciem, a potem schować się w jej wewnętrznym cieple. Jej smak i zapach utrwalił się w jego umyśle, a jego ciało nadal czuło jedwabistość jej skóry pod nim. Być może nie będzie w stanie nasycić się nią na tyle, żeby to mu wystarczyło w tym krótkim czasie jaki im pozostał, ale miał zamiar spróbować, i te próby prawdopodobnie doprowadzą go do szaleństwa z przyjemności.

Pożarli kanapki, a potem Jane podała mu manierkę. Woda Perrier była już lekko stęchła, ale była przynajmniej mokra, i wypił ją łapczywie. Kiedy przekazał manierkę jej, również piła łapczywie starając się uzupełnić wilgoć, którą jej ciało straciło pocąc się. W ciężarówce było tak gorąco! Nawet przedzieranie się przez dżunglę, nie wydawało się tak gorące, choć nie było nawet cienia wiatru pod baldachimem z drzew. Metalowa kabina ciężarówki sprawiała, że czuła się jak w puszcze, jak gotowana krewetka. Zmusiła się, by przestać pić, zanim opróżni manierkę i zakręciła ją.

Dziesięć minut później ciężarówka zaczęła zacinać się i kaszleć; następnie silnik zgasł całkowicie, a Grant toczył ją zatrzymując się tak daleko, na ile było to na tej wąskiej drodze możliwe. - Zabrało to prawie dwie godziny, - powiedział, otwierając drzwi i wysiadając.

Jane precyzyjnie się przez ciężarówkę i wysiadła na jego stronie, ponieważ zaparkował tak blisko skraju, że jej drzwi były zablokowane przez drzewa. - Myślisz, że ile przejechaliśmy?

- Pięćdziesiąt kilometrów, lub coś koło tego. - Nawija kosmyk jej włosów wokół swojego palca wskazującego i uśmiechnął się do niej. - Czujesz się na siłach, żeby spacerować?

- Miła popołudniowa przechadzka? Jasne, czemu nie?

Opuścił głowę i wycisnął twardy pocałunek na jej ustach. Zanim zdążyła odpowiedzieć, odciągnął ją i zepchnął z drogi pod osłonę lasu. Wrócił do samochodu, a kiedy się obejrzała, zobaczyła jak zaciera ich ślady; następnie

zeskoczył łatwo na niski brzeg i podszedł do jej boku. - Jest jeszcze jedna wioska w dół drogi, parę mil stąd, miałem nadzieję, że uda nam się kupić więcej benzyny, ale... - urwał i wzruszył ramionami na tą zmianę planów.

- Będziemy iść wzdłuż drogi i spróbujemy dostać się do wioski o zmroku, chyba że oni są zbyt blisko nas. Jeśli tak, będziemy musieli wrócić do dżungli.

- Nie idziemy teraz na bagna?

- Nie możemy, - wyjaśnił łagodnie. - Jest zbyt dużo otwartej przestrzeni do przebycia, a oni teraz wiedzą, że jesteśmy na tym terenie.

Ponury wyraz w jej oczach pokazał się i zniknął tak szybko, że nie był pewien, że go widział go. - To moja wina. Gdybym tylko ukryła się przed nimi, zamiast próbować cię znaleźć...

- To już przeszłość. Nie martw się o to. Musimy dostosować nasze plany, a plan jest taki, żeby dotrzeć do Limon tak szybko, jak to możliwe, jak się tylko da.

- Masz zamiar ukraść kolejny samochód?

- Zrobię wszystko, co trzeba zrobić.

Tak, tak właśnie robi. Ta wiedza właśnie sprawiała, że czuła się przy nim tak bezpiecznie; był nieskończenie zdolny, w wielu różnych dziedzinach. Nawet znużona, podążająca za nim przez zarośnięty gąszcz zieleni czuła się szczęśliwa, bo była z nim. Nie pozwoliła sobie myśleć o tym, że wkrótce, on pocałuje ją od niechcienia na pożegnanie i odejdzie, jakby była niczym więcej niż zakończeniem kolejnego zadania. Zajmie się tym, kiedy to się stanie; nie zamierzała teraz mnożyć sobie kłopotów. Musiała poświęcić swoją energię, żeby wydostać się z Kostaryki, lub przynajmniej w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie Grant nie będzie narażony na zastrzelenie podczas próby jej ochrony. Kiedy zobaczyła krew na jego twarzy, niektóre istotne organy wewnątrz niej zmroziły się wiedząc, że nie przeżyje, jeśli coś się z nim stanie. Chociaż była w stanie zobaczyć, że nie został poważnie ranny, świadomość, że to jest możliwe, przestraszyła ją. Nieważne jak był silny, jak żywotny i niebezpieczny, był człowiekiem, a tym samym był mógł umrzeć.

Usłyszeli tylko jeden pojazd na drodze, i poruszał się on w kierunku wsi, skąd ukradli pojazd. Słońce nieznacznie się obniżyło, a słabe światło

w lesie zaczęło zanikać. Tuż przed zapadnięciem całkowitej ciemności, dotarli do skraju pola i poszli w dół drogi około pół kilometra, gdzie było widać inne wioski. To było bardziej małe miasteczko niż wieś; widać było jasne światła elektryczne, samochody i ciężarówki, które były zaparkowane na ulicach. Po dniach spędzonych w dżungli, to wyglądało jak prężna metropolia, fundament cywilizacji.

- Zostaniemy tutaj, dopóki nie zrobi się zupełnie ciemno, a następnie pójdziemy do miasta, - zdecydował Grant, opadając na ziemię i wyciągając się na plecach. Jane spojrzała na migotliwe światła miasta, rozdarta pomiędzy niejasnym niepokojem a chęcią skorzystania z oferowanych udogodnień miasta. Chciała się wykapać i przespać w łóżku, ale po tak długim czasie spędzonym sam na sam z Grantem, myśl, że znowu będzie otoczona przez innych ludzi budziła jej obawy. Nie mogła odpocząć jak to Grant zrobił, więc pozostała na nogach, z napiętą twarzą napięta i zaciśniętymi dłońmi.

- Równie dobrze możesz odpocząć, a nie skakać jak nerwowy kot.

- Jestem zdenerwowana. Czy dotrzemy do Limon wieczorem?

- Zależy od tego, co znajdziemy, kiedy dotrzemy do miasta.

Spojrzała na niego z nagłą irytacją. Był mistrzem w unikaniu prostych odpowiedzi. Było tak ciemno, że nie mogła zobaczyć jego rysów; był tylko czarny kształt leżący na ziemi, ale była pewna, że był świadomy jej gniewu, i wtedy kącik jego ust unosił się w tym jego prawie uśmiechu. Była zbyt zmęczona, by znaleźć w tym odrobinę humoru, więc odeszła od niego o kilka kroków i usiadła, opierając głowę na zgiętych kolanach i zamknęła oczy.

Nie usłyszała nawet dźwięku, który by ją ostrzegł, ale nagle stał za nią, a jego silne ręce masowały napięte mięśnie jej ramion i szyi. - Czy chciałabyś dzisiaj spać w prawdziwym łóżku? - wyszeptał jej do ucha.

- I wziąć prawdziwą kąpiel. I zjeść prawdziwe jedzenie. Tak, chciałbym.
- powiedziała, nieświadoma swojego tęsknego tonu.

- Miasto tej wielkości ma prawdopodobnie pewnego rodzaju hotel, ale nie możemy ryzykować idąc tam, kiedy tak wyglądamy. Postaram się znaleźć kogoś, kto przyjmuje gości i nie będzie zadawać wiele pytań.

Wziął ją za rękę, pociągnął na nogi i objął ją ramieniem. - Chodźmy

więc. Dla mnie łóżko również brzmi dobrze.

Idąc przez pola, coraz bliżej migających świateł, Jane stała się bardziej świadoma tego, jak wyglądała, i przejechała palcami splątane włosy. Wiedziała, że jej ubrania były brudne, i jej twarz również była prawdopodobnie brudna.

- Nikt nas nie będzie chciał wpuścić, - przewidywała.

- Pieniądze sprawią, że ludzie nie zauważą brudu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Masz pieniądze?

- Dobry skaut jest zawsze przygotowany.

W oddali, żalosne zawodzenie gwizdka pociągu unosiło się w powietrzu, podkreślając fakt, że pozostawili za sobą izolację lasów tropikalnych. Dziwne, Jane poczuła się niemal całkowicie obnażona, i zbliżyła się do Granta. - To jest głupie, ale boję się, - szepnęła.

- To tylko łagodna forma szoku kulturowego. Poczujesz się lepiej, kiedy znajdziesz się w wannie z ciepłą wodą.

Trzymali się obrzeży miasta, w cieniu. Wydawało się, że to ruchliwa mała społeczność. Niektóre ulice były brukowane, a główna arteria posiadała zamożnie wyglądające sklepy. Ludzie chodzili, śmiali się i rozmawiali, a skądś dochodził niepowtarzalny dźwięk z szafy grającej, kolejnego elementu cywilizacji skracającego jej nerwy. Powszechnie znany czerwono biały znak z napojem bezalkoholowym kiwał się nad chodnikiem, i poczuła, jakby wyłoniła się z jakiejś szczeliny czasu. To na pewno był szok kulturowy.

Łapiąc ją i popychając za siebie, Grant zatrzymał się i rozpoczął cichą rozmowę z starym człowiekiem o kaprawych oczach, który wydawał się niechętny temu, że mu przeszkadzają. Wreszcie Grant podziękował mu i odszedł, wciąż trzymając mocno ramię Jane. - Córka najstarszego kuzyna jego bratowej oferuje noclegi, - powiedział jej, a Jane przełknęła okrzyk śmiechu.

- Czy wiesz, gdzie mieszka córka najstarszego kuzyna jego bratowej?

- Jasne. Trzeba iść tą ulicą, potem skrócić w lewo, potem w prawo, potem wzdłuż alei aż droga skończy się na podwórzu.

- Jeśli tak mówisz.

Oczywiście łatwo znalazł ten pensjonat, i Jane oparła się o ścianę, białej

lepianki otoczonej dziedzińcem, kiedy zadzwonił dzwonkiem i rozmawiał z małą, pulchną kobietą, która otworzyła drzwi. Wydawała się niechętna przyjąć takich niezmiernie brudnych gości. Grant dał jej zwitek banknotów i wyjaśnił, że on i jego żona robili badania terenowe dla amerykańskiej firmy farmaceutycznej, ale ich samochód się zepsuł, zmuszając ich do opuszczenia obozu. Czy były to pieniądze czy opowieść o smutku, ale coś ujęło Señorę Trejos, jej twarz złagodniała i otworzyła siatkowe drzwi, wpuszczając ich do środka.

Widząc wyczerpanie na twarzy Jane, Señora Trejos złagodniała jeszcze bardziej. - Biedne jagniątko, - zagruchała, ignorując brudny wygląd Jane i owijając swoją pulchną ręką wokół młodej kobiety. - Jesteś wyczerpana, prawda? Dam ładną miłą sypialnię z miękkim łóżkiem dla Ciebie i señora, i przyniosę ci coś dobrego do jedzenia. Może wtedy lepiej się poczujesz?

Jane nie mogła poradzić, że uśmiecha się do kobiety o miłych ciemnych oczach. - To wszystko brzmi wspaniale - udało jej się powiedzieć mniej niż płynnie po hiszpańsku. - Ale przede wszystkim, muszę się wykapać. Czy jest to możliwe?

- Ależ oczywiście! - Señora Trejos promieniała z dumy. - Santos i ja, mamy wodę ogrzewaną przez zbiornik. Przywozi paliwo do ogrzewania z San Jose.

Wciąż mówiąc, poprowadziła ich przez jej wygodny dom, z chłodnymi płytkami na podłogach i kojącymi białymi ścianami. - Pokoje na piętrze są zajęte, - powiedziała przepaszająco. - Został mi tylko jeden pokój pod schodami, ale jest ładny i miły, no i bliżej łazienki.

- Dziękuję, Señora Trejos, - powiedział Grant. - Pokój na parterze będzie więcej niż nas uszczęśliwić.

I tak było. Był mały, z gołymi podłogami i gładkimi białymi ścianami, bez żadnych mebli, za wyjątkiem drewnianego podwójnego łóżka, pojedynczego krzesła z wikliny, stojącego z wdziękiem przy łukowatym oknie i małej drewnianej umywalki z dzbankiem i miską. Jane spojrzała na łóżku z nieskrywaną tęsknotą. Wyglądało tak, fajnie i wygodnie, z ogromnymi miękkimi poduszkami.

Grant podziękował Señorze Trejos ponownie; a ona poszła przygotować im coś do jedzenia, zostawiając ich samych. Jane spojrzała na niego

i stwierdziła, że cały czas ją obserwował. Sam na sam z nim w sypialni, czuła się inaczej, niż kiedy była z nim sama w dżungli. Tam, ich odosobnienie było akceptowalne. Tutaj miała uczucie zamykania się na świat, i bycia razem w większej intymności.

- Idź się kąpać pierwsza, - powiedział w końcu. - Tylko nie zaśnij w wannie.

Jane nie traciła czasu na protesty. Przeszukała parter, podążając za zapachem, aż znalazła Señorę Trejos szczęśliwie krzątającą się po kuchni.

- Przepraszam, Señora, - powiedziała z wahaniem. Nie знаła wszystkich słów, jakie były potrzebne do wyjaśnienia jej braków w ubraniach albo czymkolwiek co mogłaby nosić po kąpieli, ale Señora Trejos natychmiast się połapała. Kilka minut później Jane dostała zwykłą białą koszulę nocną wepchniętą w ręce i znalazła się w cennej łazience Señory.

Łazienka miała popękane płytki i głęboką, staromodną wanną z zakrzywionymi nogami, ale kiedy odkręciła kran to wypełniła się gorącą wodą. Wzdychając z zadowolenia, Jane szybko rozpięła plecak z pasa i go upuściła, a następnie zdjęła ubranie i weszła do wanny, nie chcąc czekać, aż się zapełni. Ciepło przesączyło się przez jej bolące mięśnie i wydała jęk przyjemności. Wolałaby moczyć się w wannie godzinami, ale Grant czekał na swoją kolej, więc nie pozwoliła sobie oprzeć pleców o ściankę i zrelaksować. Szybko zmyła warstwy brudu, nie mogąc uwierzyć, jak dobrze poczuć się znowu czystym. Następnie umyła włosy, wzdychając z ulgą, przeczesywała pasma rozdzielając je aż przechodziły przez palce jak mokry jedwab.

Spiesząc się, owinęła włosy w ręcznik i wyjęła z plecaka maszynkę do golenia. Siedząc na krawędzi wanny, ogoliła nogi i pachy, a następnie posmarowała się balsamem do skóry. Uśmiech wypłynął na jej usta, kiedy pomyślała o spędzeniu nocy w ramionach Granta. Była czysta i pachnąca, a jej skóra była jedwabista. Biorąc wszystko pod uwagę, to nie będzie jej łatwo wygrać miłości wojownika, i musi skorzystać z całej broni jaką ma do swojej dyspozycji.

Umyła zęby, uczesała mokre włosy i wciągnęła przez głowę białą koszulę nocną, mając nadzieję, że nie spotka kogośkolwiek z innych lokatorów Señory Trejos podczas krótkiej drogi z powrotem do swojego

pokoju. Señora kazała jej zostawić ubrania na podłodze w łazience, w widocznym miejscu, żeby zostały uprane, więc Jane chwyciła plecak i pobiegła korytarzem do pokoju, w którym czekał Grant.

Zamknął okiennice na łukowych oknach i opierał się jednym ramieniem o ścianę, opadając by usiąść na jedynym krześle. Popatrzył na jej wejście, i atramentowe źrenice w centrum jego złotych tęczówek rozszerzyły się tak, aż widać było tylko cienki pierścień z bursztynu wokół czerni. Jane zatrzymała się, upuszczając plecak przy łóżku, czując nagle nieśmiałość, pomimo burzliwego kochania jakiego doświadczyła wspólnie z tym mężczyzną. Spojrzał tak, jakby chciał się na nią rzucić, a ona uświadomiła sobie, krzyżując ramiona na piersiach, że jej nagość była w pełni widoczna pod cienką koszulą nocną. Odchrząknęła, czując nagle suchość w ustach.

- Łazienka jest twoja.

Wyprostował się powoli, nie odrywając od niej oczu. - Dlaczego nie pójdziesz do łóżka?

- Wolę poczekać na ciebie, - wyszeptała.

- Obudzę cię, gdy przyjdę do łóżka. - Intensywność jego spojrzenia obiecała jej, że nie będzie spać sama tej nocy.

- Moje włosy... muszę wysuszyć włosy.

Skinął głową i wyszedł z pokoju, a Jane osłabiona usiadła na krześle, drżąc wewnątrz z powodu w jaki spojrzał na nią. Pochylając się, wytarła energicznie włosy, a następnie zaczęła przeczesywać je by wyschły. Były tak gęste i długie, że pozostały wciąż wilgotne, kiedy Grant wrócił do pokoju i stanął w milczeniu, patrząc na nią, jak siedzi pochylona, a jej smukłe ramiona poruszają się jak przeciąga szczotką przez ciemną masę. Usiadła, odrzucając głowę by rzucić włosy na ramiona, i przez chwilę po prostu patrzyli na siebie.

Kochali się już przedtem, ale teraz zmysłowa świadomość przelatywała między nimi jak prąd elektryczny. Bez dotykania siebie, oboje stali się pobudzeni, ich serca biły szybciej, a skóra rozgrzewała się.

Był ogolony, prawdopodobnie za pomocą maszynki, którą zostawiła w łazience. To był pierwszy raz, kiedy widziała go bez kilkudniowej brody, i czyste, twarde linie jego poranej bliznami twarzy spowodowały, że wciągnęła oddech. Był nagi, za wyjątkiem ręcznika obwiązanego wokół

jego szczupłej talii, a kiedy patrzyła, ściągnął ręcznik i upuścił go na podłogę. Sięgając za siebie, zamknął drzwi na klucz. - Czy jesteś gotowa iść do łóżka?

- Moje włosy... jeszcze nie całkiem wyschły.

- Zostaw to, - powiedział, podchodząc do niej. Szczotka upadła na podłogę, kiedy złapał ją za rękę i pociągnął w górę. Natychmiast znalazła się w jego ramionach, unosząc nogi w jego gwałtownym uścisku. Ich usta spotkały się zachłannie, a jej palce zaplątały w jego ciemniejsze od wody włosy, zatrzymując go bliżej. Jego usta były świeże i gorące, jego język wbijał się głęboko w jej usta w pocałunku, który wydarł z niej jęk kiedy prądy pragnienia przebiegały jej nerwy.

Był przy niej twardy, jego męskość popychała jej miękkość, jego ręce przyciskały jej biodra i ocierały ją o niego. Jane odsunęła usta, bez tchu, i opuściła głowę na jego szerokie ramię. Nie mogła powstrzymać dzikiej przyjemności, którą przywołał, jakby jej ciało było poza kontrolą, już sięgało szczytu, które obiecywało jego podniecenie. Była dość zadowolona z życia w celibacie przez lata, i uśpionej pasji, dopóki nie poznała Granta. Był tak dziki i wolny, jak piękne i majestatyczne jaguary, które wtapiają się cicho w splątaną zieloną dżunglę. Dzikość w nim zażądała odpowiedzi, i ona była bezradna, aby go powstrzymać. Nie musiał cierpliwie budować jej pasji; jeden pocałunek i drżała przy nim, pusta, cierpiąca i gotowa na niego, jej piersi były nabrzmiące i bolesne, jej pochwa mokra i miękka.

- Zdejmijmy to coś z ciebie, - wyszeptał, ściągając koszulę nocną i odrzucając ją. Niechętnie go puściła, kiedy ściągnął jej koszulę przez głowę, rzucając ją na krzesło; potem chwycił ją w ramiona i zaniósł do łóżka.

Ich nagie ciała poruszały się razem, i nie trzeba było czekać. Wszedł w nią, a ona krzyknęła krótko z pysznego szoku na niego. Łapiąc ustami jej mały okrzyk, uniósł jej nogi i owinął wokół swojej talii, a następnie zaczął się poruszać wchodząc w nią głębiej.

Było tak samo jak ostatniej nocy. Nie myślała o niczym, oprócz mężczyzny z ramionami tak szerokimi, że aż przesłoniły światło. Łóżko było miękkie pod nimi, pościel chłodna i gładka, a rytmicznemu skrzypieniu sprężyn podczas jego ruchów towarzyszył śpiew owadów za

oknem. Czas nie miał znaczenia. Były tylko jego usta na jej, jego ręce na jej ciele, powolne pchnięcia głęboko w jej wnętrzu, i dotyk ognia, aż doszli razem w szalonej radości a pościel nie była już chłodna, ale wilgotna od ich ciepłych, rozgorączkowanych ciał.

Potem znowu zrobiło się cicho, a on leżał ciężko na niej, falując pierśią w głębokich oddechach, a jej ręce przeniosły się na jego potężne plecy. Jej usta drżały od słów miłości, którą chciała mu wyznać, ale powstrzymała się. Wszystkie jej instynkty mówiły jej, że on nie chciałby wiedzieć, a ona nie chciała by zrobić czegoś, co popsułoby ich czas razem.

Może coś jej dał, w każdym razie, jeśli nie swoją miłość, to coś co najmniej równie nieskończenie cennego. Kiedy jej delikatne palce badały głębokie doliny kręgosłupa, zastanawiała się, czy dał jej swoje dziecko. Dreszcz przyjemności przeszedł w dole jej ciała, a ona przytrzymała go bliżej, mając nadzieję, że jej ciało otworzyło się na jego nasienie.

Poruszył się, by wyłączyć lampę, i w ciemności przeniósł się, żeby położyć się obok niej. Ona zwinęła się przy jego boku, położyła głowę na ramieniu, a po chwili on zachichotał nisko.

- Dlaczego po prostu nie oszczędzisz sobie czasu i nie wejdiesz na mnie teraz? - zasugerował i zgarnął ją, żeby położyć na swojej piersi.

Jane odetchnęła z głęboką satysfakcją, wyciągając się na nim i zapętłając ręce na szyi. Z twarzą dociśniętą do jego gardła czuła się wygodnie i bezpiecznie, jakby znalazła spokojny port. "Kocham cię," powiedziała cicho, poruszając wargami, nie wydając dźwięku przy jego gardle.

* * *

Obudzili się wcześniej rano, ze słońcem jasno wpadającym przez listwy żaluzji. Zostawiwszy Jane rozciągniętą i marudzącą na łóżku, Grant wstał i otworzył okiennice, pozwalając by różowe światło wlewało się do pokoju. Kiedy się odwrócił, zobaczył promień światła mieniący się na jej ciepłym odcieniu skóry, barwiący jej sutki na morelowo, łapiący błyszczące światła w ciemnych włosach. Jej twarz była zaczerwieniona, a jej oczy nadal ciężkie od snu.

Nagle jego ciało zapulsowało, a on nie mógł znieść, że jest oddzielony od niej nawet szerokością małego pokoju. Wrócił do łóżka i pociągnął ją pod siebie, a potem patrzył, jak jej twarz zmienia się, kiedy powoli poruszał się

w niej, obserwował blask, który ją zapalał. Coś rośnie w jego piersi, co sprawiało, że trudno mu było oddychać, a gdy zatracił się w miękkich głębinach jej ciała, znalazł jedną ostatnią, rażąco jasną myśl: że ona znalazła się zbyt blisko niego, i pozwolić jej odejść będzie najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił.

Ubrał się, zakładając świeżo wyprane ubrania, które jedna z córek Señory Trejos przyniosła wraz z tacą owoców, chleba i sera. Jane zaczerwieniła się dziko, kiedy zdała sobie sprawę, że Señora Trejos musiała przynieść im tacę w nocy, a następnie dyskretnie się wycofa, kiedy usłyszała dźwięki tego, co robili. Szybki rzut oka na Granta powiedział jej, że on myślał o tym samym, bo kącik ust drgał mu w rozbawieniu.

Señora przesłała również miękką białą, z rękawami do ramion bluzkę, i Jane włożyła ją z przyjemnością, więcej niż zadowolona, że mogła odrzucić swoją poszarpaną czarną koszulkę. Po rozdzieleniu na kawałki pomarańczy z tacy, wgryzła się w soczysty owoc i patrzyła jak wciąga swoją ciemnozieloną podkoszulkę przez głowę.

- Będiesz dość zauważalny w tym kamuflażowym mundurze, - powiedziała, sepleniąc trochę z pomarańczą w ustach.

- Wiem. - Szybko pocałował jej pomarańczowo-lepkie wargi. - Włóż koszulkę do plecaka i bądź gotowa do wyjścia, kiedy wrócę.

- Wrócisz? A gdzie idziesz?

- Postaram się zdobyć jakiś transport. Tym razem nie będzie to tak łatwe.

- Możemy jechać pociągiem, - zauważyła.

- Karabin będzie troszkę widoczny, kochanie.

- Dlaczego nie mogę iść z tobą?

- Bo jesteś bezpieczniejsza tutaj.

- Kiedy ostatnim razem mnie zostawiłeś, wpadłam w kłopoty, - poczuła się w obowiązku, aby mu o tym przypomnieć.

Nie docenił tego przypomnienia. Skrzywił się na nią, kiedy chwycił kawałek melona. - Jeśli będziesz po prostu trzymać swój mały tyłek, tam gdzie ci powiem, to wszystko będzie w porządku.

- Czuję się dobrze, gdy jestem z tobą.

- Cholera, przestań się ze mną kłócić!

- Nie kłóć się z tobą. Wskazuję tylko na pewne oczywiste fakty! Ty

jesteś tym, który się kłóci!

Jego oczy zamieniły się w żółty ogień. Pochylił się tak, że niemal stali nos w nos, jego kontrola opadła w ramach silnego stresu. Jego zęby były mocno zaciśnięte, kiedy powiedział, wyraźnie wymawiając słowa, - Jeśli uda ci się wrócić do domu, bez dostania najgorszego lania swojego życia, to będzie cud.

- Nigdy w życiu nie dostałam nawet klapsa, - zaprotestowała.

- To widać!

Zakołysała się na krześle i zachnęła. Ręce Granta zacisnęły się; potem podszedł do niej i uniósł ją z krzesła, przyciągając ją do siebie z głębokim, twardym pocałunkiem - Bądź grzeczna dla odmiany, - powiedział, świadom, że niemal ją błaga - Wrócę za godzinę...

- Albo coś koło tego! - dokończyła za niego. - No dobrze, będę czekać! Ale nie podoba mi się to!

Wyszedł, zanim całkowicie poniosły go przez nią nerwy, a Jane zjadła więcej owoców, strasznie wdzięczna za coś świeżego do jedzenia. Decydując za niego, że miał na myśli tylko zostanie w domu, a nie w pokoju, w pierwszej kolejności przygotowała wszystko do podróży, jak kazał, a następnie odszukała Señorę i odbyła z nią przyjemną rozmowę. Kobieta krzątała się po kuchni przygotowując jedzenie dla swoich gości, a jej dwie córki starannie sprzątnęły dom i zrobiły górę prania. Kiedy Grant wrócił, Jane miała ręce głęboko w misce z ciastem.

Poszedł najpierw do ich pokoju, i kiedy znalazł ją w kuchni, intensywna ulga zamigotała mu w oczach zanim ją zamaskował. Jane wyczuła jego obecność i spojrzała w górę, uśmiechając się. - Czy wszystko jest załatwione?

- Tak. Czy jesteś gotowa?

- Tak, jak tylko umyję ręce.

Przytuliła Señorę i podziękowała jej, podczas gdy Grant stał w drzwiach i patrzył na nią. Czy ona tak bez wysiłku czaruje wszystkich? Señora uśmiechała się promiennie do niej, życząc jej bezpiecznej podróży i zapraszając ponownie. Zawsze znajdzie się pokój dla pięknej młodej Señory i jej męża w domu Trejos!

Zabrali swoje plecaki, a Grant przewiesił karabin przez ramię.

Ryzykowali, że z tego powodu przyciągną uwagę, ale nie miał odwagi go zostawić. Przy odrobinie szczęścia, o zmroku znajdą się na płaskowyżu poza granicami Kostaryki, ale dopóki tak się nie stało, nie mógł pozwolić sobie na osłabienie swojej czujności. Bliski kontakt dzień wcześniej był tego dowodem. Turego nie zrezygnuje; miał do stracenia zbyt wiele.

Idąc przez aleję, Jane spojrzała na niego. - Jak dokładnie się umówiłeś?

- Jeden rolnik idzie do Limon i nas podwiezie.

Po przygodach ostatnich kilku dni, to wydawało się niemal nudne, ale Jane była chętna się nudzić. Miła, spokojna jazda, który była jej biletem. Jak dobrze byłoby nie czuć się ściganym!

Kiedy zbliżali się do końca alei, nagle stanął przed nimi mężczyzna. Grant zareagował natychmiast, odpychając Jane w bok, ale zanim zdążył chwycić karabin wokół zaroilo się od pistoletów mierzących mu w twarz, a kilku więcej mężczyzn weszło do alei – wszyscy byli uzbrojeni, wszyscy z bronią skierowaną na Granta. Jane przestała oddychać, oczy otworzyła szeroko z przerażenia. Wtedy poznała mężczyznę w środku, a jej serce się zatrzymało. Czy Grant umrze teraz, z jej powodu?

Nie mogła tego znieść. Musiała coś zrobić, cokolwiek.

- Manuel! - krzyknęła, wypełniając swój głos radością. Podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. - Tak się cieszę się, że mnie znalazłeś!

ROZDZIAŁ 10

To był jakiś koszmar. Grant nie odrywał od niej zwężonego wzroku, a nienawiść błyszcząca w jego oczach sprawiła, że jej żołądek zwinął się w węzeł, ale nie było sposobu, aby mogła go uspokoić. Robiła to wszystko dla niego, wieszając się na Turego i plotąc bezmyślnie, opowiadając mu, jak bardzo była przestraszona kiedy ten szaleniec pozbawił ją przytomności i wykradł z plantacji, cały czas trzymając się koszuli Turego jakby nie mogła znieść myśli, że go puści. Nie miała jasnego planu, co powinna zrobić, poza tym, że jakoś musiała pozostać wolna, żeby mogła pomóc Grantowi, a do tego musiała zdobyć zaufanie Turego i uspokoić jego zranioną próżność.

Cała sytuacja balansowała na krawędzi noża; wszystko mogło pójść w każdym kierunku. Ostrożność świeciła w ciemnych oczach Turego, ale także pewna ilość okrutnej satysfakcji odnośnie zapędzenia w róg swojej zdobyczy. Wiedziała, że chciał, aby cierpiała za to, że go wykiwała, ale na razie była bezpieczna, ponieważ on nadal chciał dostać mikrofilm. Grant był tym, którego życie było zagrożone, i tylko jedno słowo Turego do tych ludzi, dzieliło go od zabicia tam gdzie stał. Grant musiał to wiedzieć, ale nie było nawet błysk strachu w jego spojrzeniu, tylko zimna, błyszcząca, pożerająca go wściekłość, którą okazał, kiedy spojrzał na Jane. Być może właśnie to złagodziło podejrzenia Turego. Nigdy już nie rozluźni straży wokół niej, ale Jane była w stanie martwić się tylko o jedną rzecz na raz. Teraz musiała chronić Granta w jakikolwiek sposób mogła.

Ramię Turego oplotło się wokół jej talii, ciągnąc ją mocno do siebie. Pochylił głowę i pocałował ją, głęboko intymnym pocałunkiem, a Jane musiała powstrzymać się, żeby się nie opierać w żaden sposób, pomimo że wzdrygała się z konieczności znoszenia jego dotyku i smaku. Wiedziała, co on robi; pokazywał swoją moc i kontrolę, używając jej jako broni przeciwko Grantowi. Gdy uniósł głowę, na jego przystojnych ustach pojawił się okrutny uśmiezek.

- Mam cię teraz, chiquita, - uspokoił ją gładkim tonem. - Jesteś całkiem bezpieczna. Ten... szaleniec, jak go nazwałaś, nie będzie cię już niepokoił, obiecuję. Jestem pod wrażeniem, - kontynuował drwiąco, pochylając głowę

w stronę Granta. - Słyszałem o tobie, señor. Z pewnością może być tylko jeden człowiek z żółtymi oczami i bliznami na twarzy, który wtapia się w dżunglę, jak cichy kot. Jesteś legendą, ale sądzono, że nie żyjesz. Już dawno nikt o tobie nie słyszał.

Grant milczał, a jego uwaga była skierowana teraz na Turego, ignorując przy tym Jane, jakby już nie istniała. Nie poruszył żadnym mięśniem; jakby zamienił się w kamień. Nawet nie oddychał. Jego całkowity bezruch był niepokojący, ale miało się też wrażenie wielkiej siły pod kontrolą, dzikiego zwierzęcia czekającego na idealny moment do ataku. Mimo że był tylko jeden przeciw wielu, pozostali wyglądali jak szakale otaczający potężnego tygrysa; mężczyźni, którzy posiadali mieli broń zwróconą na niego, byli wyraźnie zdenerwowani.

- Być może dobrze byłoby wiedzieć, kto teraz płaci za twoje usługi. Są też inni, którzy chcieliby bardzo mieć możliwość zadawania ci pytań, nieprawdaż? Związać go, i umieścić w samochodzie, - nakazał Turego, nadal obejmując Jane. Zmusiła się, by nie patrzeć, jak Grant był brutalnie wiązany i ciągnięty do dwutonowego pojazdu typu wojskowego, posiadającego z tyłu plandekę. Zamiast tego posłała Turego swój najbardziej olśniewający uśmiech i oparła głowę na jego ramieniu.

- Byłam tak bardzo przerażona, - wyszeptała.

- Oczywiście, że byłaś chiquita. Czy to dlatego właśnie stawiałaś opór moim ludziom, kiedy znaleźli cię wczoraj w lesie?

Mogła się domyślić, że jest za cwany, żeby po prostu jej uwierzyć! Pozwoliła by jej oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem. - To byli twoi ludzie? No cóż dlaczego nic nie mówili? Otoczyli mnie i bałam się, że chcą mnie zaatakować... wtedy, kiedy udało mi się wymknąć temu szalonemu człowiekowi; musiałam tak zrobić z powodu hałasu, jaki robili twoi ludzie! Zaprowadzili go prosto do mnie! - Jej głos drżał z oburzenia.

- Już po wszystkim, teraz zaopiekuję się tobą. - Zaprowadził ją do samochodu, wsadził do kabiny, a następnie wspiął się tuż obok niej i wydał związane instrukcje dla kierowcy.

Stało się dokładnie to, czego się obawiała, znalazła się pod opieką Turego, ale w tej chwili musiała grać i jakoś go przekonać, że była całkowicie niewinna ucieczki sprzed nosa strażników. Nie byłby tym, kim

był, będąc naiwnym idiotą; mimo że udało jej się skutecznie oszukać go pierwszy raz, po raz drugi będzie to o wiele trudniejsze.

- Gdzie jedziemy? - zapytała niewinnie, pochylając się ku niemu.
- Z powrotem na plantację? Czy przywiozłeś ze sobą jakieś moje ubrania? On przyniósł mi rano tę bluzkę, - powiedziała, wskazując na miękką białą tkaninę, - ale naprawdę chciałbym nosić własne ubrania.

- Przyznaję, że tak bardzo martwiłem się o ciebie, że nie pomyślałem o ubraniach. - Skłamał gładko Turego. Jego ciężka ręka była na jej ramionach, a Jane uśmiechała się do niego. Był nienaturalnie przystojny, z doskonałymi rysami twarzy, które bardziej pasowały do posągu niż człowieka, choć może i Turego nie był człowiekiem. Nie wiadomo było w jakim jest wieku; wyglądał na dwadzieścia parę, choć Jane wiedziała, że był po czterdziestce. Żadne emocje nie zmieniły jego twarzy; nie miał zmarszczek, kurzych łapek w kącikach oczu, żadnych oznak, że czas lub życie go dotknęło. Jego jedyną słabością była jego próżność; wiedział, mógł wziąć Jane siłą w dowolnym czasie, ale chciał ją uwieść, by dobrowolnie się mu oddała. Miała być kolejnym karbem na łóżku; wtedy, gdy będzie miał mikrofilm, będzie dysponować nią bez żalu.

Tylko mikrofilm ją chronił, i tylko ona sama mogła ochronić Granta. Jej umysł pracował, próbując wymyślić jakiś sposób, w który mogłaby uwolnić go więzów i zdobyć mu jakąś broń. Wszystko, czego potrzebował, to niewielka przewaga.

- Kim on jest? Zdaje się, że go poznałeś.

- Nie przedstawił ci się? Przecież spędziłaś z nim kilka dni sama, moje serce. Z pewnością wiesz, jak się nazywa.

Znowu miała tylko ułamki sekund na podjęcie decyzji. Czy prawdziwe nazwisko Granta było powszechnie znane? Zresztą, czy Grant to podał jej prawdziwe nazwisko? Nie mogła ryzykować. - Powiedział mi, że nazywa się Joe Tyson. Czy to nie jest jego prawdziwe nazwisko? - zapytała z niedowierzaniem w głosie, siadając, żeby skierować całą uwagę swoich brązowych oczu na niego, mrugając, jakby w zdumieniu.

Dziwne, Turego się zawahał. - Tak może się teraz nazywać. Jeśli on jest tym, o którym myślę, to był kiedyś znany jako Tygrys.

Był niespokojny! Grant był związany, mierzono do niego z dziesięciu

pistoletów, ale Turego czuł w jego obecności niepokój! Czy to niewielkie wahanie oznaczało, że Turego nie był pewien prawdziwego nazwiska Granta i nie chciał ujawnić swojej niewiedzy - lub może ta niepewność miała szerszy zakres?

Czy on nie był do końca pewien, że Grant był Tygrysem? Turego nie chciałby się ośmieszyć, twierdząc, że ujął Tygrysa, tylko po to, żeby potem okazało się, że jego więźniem jest ktoś o wiele mniej interesujący.

Tygrys. Wiedziała, jak zyskał przyzwisko i reputację. Z jego bursztynowymi oczami i zabójczą aurą, porównanie było nieuniknione. Ale on również był człowiekiem, i spała w jego ramionach. Przytulał ją w czasie długich godzin ciemności, utrzymując nocne demony z dala od niej i pokazał jej część siebie, o jakiej nie wiedziała, że istniała. Ponieważ z Grantem, czuła się kompletną, zdolną do miłości i namiętności, ciepłą i szczodłą kobietą. Mimo, że wiedziała, kim on był, sposób w jaki teraz go postrzegała był zabarwiony miłością. Był człowiekiem, nie nadprzyrodzoną istotą, która wtapia się we wszystkie ciemne i splątane dżungle świata. Mógł krwawić, i odczuwać ból. Potrafił się śmiać, tym głębokim, zardzewiałym śmiechem, który chwycił ją za serce. Po Grancie, czuła się zbrukana tylko siedząc obok Turego.

Roześmiała się dźwięcznie. - To brzmi jak rodem z gatunku płaszcza i szpady! Czy to znaczy, że on jest szpiegiem?

- Nie, oczywiście, że nie. Nic tak romantycznego. Tak naprawdę on jest tylko najemnikiem, zatrudniającym się obecnie u każdego, do każdego rodzaju brudnej roboty.

- Tak jak porwanie mnie? Dlaczego miałby to zrobić? To znaczy, nikt by nie zapłacił za mnie żadnego okupu! Mój ojciec nawet się do mnie nie odzywa, a ja na pewno nie mam pieniędzy na własną rękę!

- Być może chciał od ciebie coś innego. - zasugerował.

- Ale ja nie mam nic! - Udało jej się przybrać oszołomiony głos i wyraz twarzy a Turego uśmiechnął się do niej.

- Być może masz coś, czego nie jesteś świadoma.

- Co? Czy ty coś wiesz?

- Dowiemy się w swoim czasie, moja miłości.

- Nikt mi nic nie mówi! - jęknęła i zaczęła się dąsać. Pozwoliła sobie na

to przez około trzydziestu sekund, a następnie zaczęła go wypytywać, jak niecierpliwe dziecko: - Gdzie jedziemy?

- Tylko w dół tej ulicy, moja miła.

Znaleźli się na samych obrzeżach miasta i zauważyła zniszczony blaszany magazyn stojący na końcu ulicy. Był w fatalnym stanie, jego ściany były powyginane, blaszany dach zwinął się w kilku miejscach, a w innych brakowało w ogóle całych fragmentów. Odrapane niebieskie drzwi wisiały krzywo na zawiasach. Właśnie magazyn był ich celem i kiedy ciężarówka zatrzymała się obok niebieskich drzwi a Turego pomógł Jane wysiąść z kabiny, przekonała się dlaczego. Znajdowało się tam kilka osób, a ci, którzy byli w pobliżu szybko odwracali wzrok i odsuwali się.

Grant został wyciągnięty z tyłu samochodu i popchnięty w stronę drzwi; potknął się i ledwo złapał równowagę, zanim zdążył uderzyć w budynek. Ktoś się zaśmiał, i kiedy Grant się wyprostował rzucając niepokojące spojrzenie na porywaczy, Jane zobaczyła, cienką zaschniętą strużkę krwi w kącie jego ust. Jego warga była rozbita i spuchnięta. Serce jej stanęło, a oddech uwiązł w gardle. Ktoś uderzył go kiedy on miał ręce związane za plecami! Tuż za jej pierwszą chorobą z niepokoju reakcją przyszła wściekłość, surowa i mocna, rosnąca w niej jak fala. Skręciła się z wysiłku by to ukryć, zanim odwróciła się ponownie do Turego.

- Co będziemy tutaj robić?

- Chcę tylko zadać kilka pytań naszemu znajomemu. Nic ważnego.

Pod silną eskortą wprowadzono ją do budynku, i westchnęła kiedy ciepło uderzyła ją w twarz jak cios. Metalowy budynek był jak piec, ogrzewając powietrze, aż było prawie niemożliwe, by oddychać. Pot natychmiast pojawił się koralikami na skórze, i poczuła zawroty głowy, nie będąc w stanie wciągnąć wystarczającej ilości tlenu, aby zaspokoić swoje potrzeby.

Ewidentnie Turego używał magazyn jako swego rodzaju bazę, bo było tam pełno sprzętu rozrzuconego wokół. Pozostawiając Granta pod strażą, Turego zaprowadził Jane na tyły budynku, gdzie było kilka małych pokojów połączonych ze sobą, prawdopodobnie dawnych biur. Było tu tak, gorąco jak wszędzie, ale tutaj zauważyła małe otwarte okno, przez które wpadało w miarę świeże powietrze. Pokój był brudny, zarzucony

papierami, śmierdzący stęchlizną i pokryty pajęczynami. Stare drewniane biurko z brakującą nogą, stało przechylone na jedną stronę, dodatkowo niewątpliwie było czuć smród gryzoni. Jane zmarszczyła wybrednie nos.

- Fuj! - powiedziała z całkowicie szczerym obrzydzeniem.

- Przepraszam za ten pokój, - powiedział Turego gładko, posyłając jej jeden z tych swoich uśmiechów, jak z reklamy pasty do zębów. - Mam nadzieję, że nie zabawimy tu długo. Alfonso zostanie tu z tobą, a ja zadam naszemu przyjacielowi pytania na temat jego działalności, i kto zatrudnił go by cię porwać.

Co oznaczało, że ona również miała być pilnowana. Jane nie protestowała, nie chcąc wzbudzać jego podejrzeń jeszcze bardziej, ale ścierpła jej skóra. Bardzo obawiała się sposobu jego "przepytywania". Musiała szybko coś wymyśli! Ale nic nie przychodziło jej do głowy, a Turego uniósł jej brodę i pocałował ponownie. - To nie potrwa długo, - wymamrotał. - Alfonso, pilnuj jej dobrze. Byłbym bardzo zdenerwowany, gdyby ktoś ukradł mi ją jeszcze raz.

Jane pomyślała, że poznaje Alfonso jako jednego ze strażników, którzy byli na plantacji. Kiedy Turego wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Jane posłała Alfonso leniwe spojrzenie spod opuszczonych rzęs i wypracowany, niepewny uśmiech. Był dość młody i przystojny. Został prawdopodobnie ostrzeżony przed nią, ale mimo to nie był w stanie nie odpowiedzieć na jej uśmiech.

- Byłaś strażnikiem na plantacji? - zapytała po hiszpańsku.

Skinął niechętnie głową.

- Wydawało mi się, że cię rozpoznaję. Nigdy nie zapomnę przystojnych mężczyzn, - powiedziała z większym entuzjazmem niż precyzją, jej wymowa była zniekształcona wystarczająco, by pokazać odrobinę rozbawienia na twarz Alfonso. Zastanawiała się, czy wie, co Turego robi, albo czy został fałszywie poinformowany na temat jej ochrony.

Cokolwiek mu powiedziano, nie był skłonny ku rozmowie. Jane kręciła się po pokoju, patrząc na wszystko, co mogłaby wykorzystać jako broń, ale starając się, żeby nie było to oczywiste. Nastawiała uszy nasłuchując każdego dźwięku z magazynu, jej nerwy skakały. Co Turego robił? Jeśli

skrzywdził Granta...

Jak długo to już trwa? Pięć minut? Dziesięć? Lub mniej? Nie miała pojęcia, ale nagle nie mogła znieść tego dłużej, i podeszła do drzwi. Alfonso wyciągnął rękę przed siebie, tarasując jej drogę.

- Chcę zobaczyć Turego, - powiedziała niecierpliwie. - Jest za gorąco, żeby tutaj czekać.

- Musisz tu zostać.

- No cóż, nie zostanę! Nie bądź takim sztywniakiem Alfonso; on nie będzie miał nic przeciwko. Możesz iść ze mną, jeśli nie masz mnie spuszczać z oczu.

Weszła mu pod pachę i otworzyła drzwi, zanim zdążył ją powstrzymać. Ze stłumionym przekleństwem poszedł za nią, ale Jane rzuciła się już przez drzwi i połączone pokoje. Kiedy weszła do głównego magazynu usłyszała obrzydliwy odgłos pięści uderzającej ciało, a krew odpłynęła jej z twarzy.

Dwóch mężczyzn trzymało Granta między sobą, trzymając go za związane ramiona, podczas gdy inny stał przed nim, rozcierając pięść. Turego stał z boku z małym, nieludzkim uśmiechem na ustach. Głowa Granta opadły do przodu na piersi, a krople krwi znaczyły podłogę u jego stóp.

- Ta cisza nie zyska ci nic, poza większym bólem, mój przyjacielu, - powiedział cicho Turego. - Powiedz mi, kto cię wynajął. To wszystko, co chcę teraz wiedzieć.

Grant nic nie powiedział, a jeden z trzymających go mężczyzn chwycił za garść włosów, szarpiąc jego głowę. Tuż zanim Alfonso zdążył chwycić ją za rękę, Jane zobaczyła twarz Granta, i wyszarpnęła się, napędzana przez dziką siłę.

- Turego! - krzyknęła przeraźliwie, przyciągając uwagę wszystkich do siebie.

Brwi Turego opadły razem tuż nad nosem. - Co ty tu robisz? Alfonso, zabierz ją z powrotem!

- Nie! - wrzasnęła, odpychając Alfonso z dala. - Tam jest za gorąco, i nie zostanę! Naprawdę, to już za dużo! Spędziłam nieszczęśliwy czas w tej dżungli, i pomyślałam, że kiedy mnie uratowałeś, to ponownie będę miała wygodę, ale nie sądziłam, że przyciągniesz mnie na to nędzne

wysypisko i zostawisz w tym śmierdzącym pokoiku. Nalegam, abyś zabrał mnie do hotelu!

- Jane, Jane, ty nie rozumiesz tych rzeczy, - powiedział Turego, podchodząc do niej i biorąc jej ramię. - Wystarczy kilka chwil więcej i on powie mi, co chcę wiedzieć. Nie jesteś zainteresowana tym, kto go zatrudnił? - Odwrócił ją, prowadząc ponownie do biura. - Proszę, bądź cierpliwa, miłości.

Jane zrezygnowała, pozwalając się posłusznie prowadzić. Zaryzykowała szybkie spojrzenie wstecz na Granta i jego oprawców, i zobaczył, że czekają na powrót Turego przed wznowieniem bicia. Wisiał bezwładnie w ich uścisku, nie będąc w stanie nawet się wyprostować.

- Masz zostać tutaj, - powiedział surowo Turego, gdy ponownie dotarli do biura. - Obiecuj mi, że tak zrobisz, dobrze?

- Obiecuję, - powiedziała Jane, zwracając się do niego z uśmiechem na twarzy; nie zauważył nadchodzącego ciosu. Uderzyła go kantem dłoni poniżej nosa, odginając mu głowę i powodując krwawienie. Zanim zdążył krzyknąć z bólu czy zaskoczenia, uderzyła łokciem w splot słoneczny i zgiął się z cierpiącym chrząknięciem. Niczym w dobrym baletowym układzie choreograficznym, uniosła kolano i uderzyła w niechroniony podbródek, a Turego upadł jak szmaciana lalka. Jane poświęciła szybką myśl dziękując ojcu, który nalegał na te wszystkie klasy samoobrony, a następnie pochyliła się i szybko wyciągnęła pistolet z kabury Turego.

Kiedy znowu rzuciła się przez drzwi, nagle w budynku rozległ się strzał, a ona zamarła w przerażeniu.

- Nie, - jęknęła, a potem rzuciła się w stronę dźwięku.

* * *

Kiedy Jane rzuciła się w ramiona Turego, Grant został schwytany przez furję tak pochłaniającą, że wszystko przesłoniła mu czerwona mgła, ale ponieważ został przeszkolony by panować nad sobą, utrzymał kontrolę, mimo że był na skraju szaleństwa. Potem mgła zniknęła, a jej miejsce zajęła zimna pogarda. Cholera, czego się spodziewał? Jane była mistrzem przetrwania, zawsze spadała na cztery łapy. Najpierw oczarowała Turego, następnie, kiedy Grant wykradł ją Turego, oczarowała go bez wysiłku, jaki włożyła w trzymanie Turego pod swoim urokiem. Teraz Turego wrócił,

a ponieważ miał przewagę, nastąpiło „Żegnaj Sullivan”. Nawet poczuł coś w rodzaju gorzkiego podziwu dla sposobu w jaki tak szybko i dokładnie dostosowała się do sytuacji, i ton jaki przybrała, żeby oczarować ponownie Turego.

Nadal jednak, poczucie zdrady było oszałamiające, i nic teraz nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż dostanie jej w swoje ręce. Niech ją cholera za bycie kłamliwą, zdradziecką dziwką! Powinien był wiedzieć, podejrzewać, że jej opatentowany wygląd niewinności z szeroko otwartymi oczami, to nic więcej, niż dobrze przećwiczona sztuczka.

Stare instynkty, tylko częściowo wstrzymane, nagle powróciły w pełnej mocy. Zapomnij o tej suce. Najpierw musiał uważać na siebie, potem na nią. Ocierała się w ramionach Turego jak kot, podczas gdy Grant wiedział, że nie ma przyszłości, chyba że coś szybko wymyśli.

Część z tych myśli zakończył, kiedy Turego dodał dwa do dwóch i dokładnie zgadł tożsamość Granta. Rok był zbyt krótkim okresem czasu dla ludzi w branży, aby nawet pomyśleć o zapomnieniu go. Po tym, jak zniknął, jego nieobecność zapewne sprawiła, że jego reputacja wzrosła do legendarnych rozmiarów. Cóż, pozwoli Turego myśleć, że też przybył po zaginiony mikrofilm; Grant nie czuł skrępowania myśląc o wykorzystaniu Jane w jakikolwiek sposób mógł. Nie tylko go wykorzystwała, sprawiła, że tańczył jak mu zagrała jak jakaś marionetka na sznurkach. Gdyby nie zgodził się wydostać jej z Kostaryki, miałby niezłą zabawę odbijając ją Turego i zdobyć w jakikolwiek sposób mógł. Ale wziął tę pracę, więc musiał ją zakończyć – o ile wyjdzie z tego cało. Kiedy znowu dostanie ją w swoje ręce, ona przekona się, że nie będzie się z nią obchodził jak w rękawiczkach.

Turego był ciekawy. Z rękami związanymi za plecami, podtrzymywany przez dwóch wynajętych zbirów, Grant dowiedział się, jak bardzo.

- Kto cię wynajął? Czy teraz działasz na własną rękę?

- Nie, nadal jestem protestantem, - powiedział Grant, uśmiechając się łagodnie. Na skinienie Turego, pięść uderzyła go w twarz, rozwalając wargę i wypełniania jego usta krwią. Kolejny cios dostał w brzuch, i zgiąłby się, gdyby nie okrutne podparcie dla jego wykręconych ramion.

- Naprawdę, nie mam na to czasu, - mruknął Turego. - Jesteś tym,

którego nazywają Tygrys, i nie jesteś człowiekiem, który działa za darmo.

- Oczywiście że tak, jestem chodzącą dobroczynnością.

Pięść wylądowała na jego policzku, odrzucając mu głowę do tyłu. Ten facet był prawdziwym bokserem; wymierzał ciosy z precyzją. Kilka razy w twarz, a następnie w żebra i nerki. Ból przechodził przez Granta aż jego żołądek falował. Sapnął, i niewyraźne widział, chociaż umysł wciąż był jasny, a on celowo zwał cały swój ciężar na tych dwóch kibiców, którzy go trzymali, kiedy uginał kolana.

Wtedy usłyszał głos Jane, rozdrażniony i wymagający, jakiego nigdy u niej nie słyszał, następnie gładkie zapewnienia Turego. Uwaga mężczyzna nie była skupiona na nim; wyczuł jej brak, jak dzikie zwierzę bardzo wrażliwe na każdy niuans. Opadł jeszcze bardziej, celowo naciskając na więzy wokół nadgarstków i zacięte zadowolenie wezbrało w nim, kiedy poczuł, że może poruszać prawą ręką.

Miał potężne dłonie, ręce, które mogłyby niszczyć. Użył tej mocy na sznurze, którym go związano, napinając ręce i rozciągając sznur, potem rozluźniając i pozwalając obniżyć się sznurowi coraz bardziej. Zrobił tak dwa razy, i sznur opadł wokół jego palców w luźnych zwojach.

Patrząc poprzez zmrużone oczy, zobaczył, że nikt nie zwraca na niego większej uwagi, nawet bokser, który w zamyśleniu tarł kostki i czekał na powrót Turego, gdziekolwiek poszedł. Jane też nigdzie nie było widać. Nadszedł czas.

Dwaj trzymający go mężczyźni byli nieprzygotowani; rzucił nimi daleko jakby odrzucał zabawki. Przez ułamek sekundy wszyscy się zdekoncentrowali, a ułamek sekundy było wszystkim, czego potrzebował. Chwycił strzelbę i uderzył kolbą w brodę żołnierza, któremu ją zabrał przewracając go do tyłu. Odwrócił się, podnosząc karabin spod nóg i chwycił w ręce. Żołnierze naprawdę nie mieli dużej szansy; nie mieli nawet części jego wyszkolenia lub lat doświadczeń. Nie wiedzieli, jak reagować na atakującego, który uderzał i kręcił się, zanim ktokolwiek mógł się ruszyć. Tylko jednemu udało się chwycić za karabin i wystrzelił gwałtownie, kula przemknęła daleko nad głową Granta. Ten żołnierz był ostatnim, który stał; Grant pokonał go z niemal pogardliwą łatwością. Potem zawahał się tylko absolutnie przez chwilę, czekając na ruch

kogokolwiek z nich, ale nie było żadnego. Jego wzrok przeniósł się do drzwi na drugim końcu magazynu, i zimny, skręcony uśmiech wypełził na jego posiniaczone i zakrwawione usta. Poszedł po Jane.

* * *

Nigdy nie poznała takiego przerażenia; nawet jej strach przed ciemnością był niczym w porównaniu do tego, co teraz czuła. Nie była w stanie poruszać się wystarczająco szybko; czuła, że jej stopy poruszają się, jakby brodziła w jakimś syropie. O Boże, a co jeśli go zabili? Myśl ta była zbyt straszna do wyobrażenia, a jednak rosła w jej piersi, aż nie mogła oddychać. Nie, pomyślała, nie, nie, nie!

Przedarła się przez drzwi, z pistoletem w ręku, na wpół oszalała ze strachu i gotowa do walki o mężczyznę, z narażeniem własnego życia. Widziała mylącą scenę rozwalonych mężczyzn i jej umysł stanął, nie mogąc zrozumieć, dlaczego tak wielu z nich leżało. Czy nie padł tylko jeden strzał?

Nagle ramię owinęło się wokół jej szyi, szarpiąc ją do tyłu i blokując pod brodą. Drugi ramię wyciągnęło się, a długie palce zacisnęły się wokół dłoni, w której trzymała pistolet, wytrącając go jej z ręki.

- Zabawna sprawa, kochanie, ale czuję się bezpieczniej, kiedy jesteś nieuzbrojona, - niski głos syknął jej do ucha.

Na dźwięk tego głosu, Jane zamknęła oczy, i dwie łzy potoczyły się jej spod powiek. – Grant - wyszeptała.

- Obawiam się, że tak. Później możesz mi powiedzieć, że cieszysz się, że mnie widzisz; a teraz idziemy.

Zdjął swoje ramię z jej szyi, ale kiedy próbowała się do niego odwrócić, złapał ją za prawą rękę i wygiął za plecy, nie tak wysoko, żeby bolało, ale na tyle wysoko, że mogłoby, gdyby ruszyła się chociaż o centymetr.

- Rusz się! - warknął, popychając ją do przodu, a Jane potknęła się pod wpływem siły tego ruchu, wrywając rękę i wydając mimowolny okrzyk.

- Ranisz mnie, - jęknęła, wciąż oszołomiona, starająca się zrozumieć.
- Grant, zaczekaj!

- Przestań pieprzyć, - poradził, kopniakiem otwierając drzwi i wypychając ją na piekące białe światło słoneczne. Ciężarówka wciąż tam stała, i on się nie zawahał. - Wsiadaj Jedziemy na przejażdżkę.

Otworzył drzwi na wpół unosząc, wpół rzucając Jane do samochodu, wsadzając ją rozciągniętą na siedzeniu. Krzyknęła, a jej miękki płacz przeszył go niczym nóż, ale powiedział sobie, żeby nie był głupcem; że ona nie potrzebuje nikogo, aby się nią zaopiekował. Jak kot, zawsze lądowała na czterech łapach.

Jane uniosła się do pozycji siedzącej, jej ciemne oczy były pełne łez, kiedy patrzyła na jego poobijaną, zakrwawioną twarz zarówno z bólu jak i przerażenia. Chciała go uspokoić, powiedzieć mu, że to wszystko było grą, desperackim hazardem, żeby ocalić im życie, ale nie wydawał się skłonny do słuchania. Przecież nie mógł tak łatwo zapomnieć o wszystkim co dzielili, wszystkim, czym byli dla siebie! Dlatego właśnie się nie podda. Podniosła rękę, aby do niego sięgnąć, gdy jakiś ruch w drzwiach za nimi przyciągnął jej uwagę, i krzyknęła w ostrzeżeniu.

- Grant!

Odwrócił się, i kiedy to robił Turego podniósł trzymany karabin i strzelił. Dźwięk wybuchającego trzasku przeciął powietrze, ale Jane nadal go słyszała, i czuła, wyczuła chrząknięcie bólu Granta, kiedy opadł na jedno kolano i podniósł pistolet. Turego rzucił się na bok, szukając ochrony, ale pistolet plunął ogniem, i mały czerwony kwiat rozkwitł wysoko na prawym ramieniu Turego, posyłając go z powrotem przez drzwi.

Jane słyszała, jak ktoś krzyczy, ale dźwięk ten był wysoko i daleko. Rzuciła się przez otwarte drzwi ciężarówki, upadając rękami i kolanami na gorący, skalisty grunt. Grant klęczał, pochylony nad silnikiem samochodu, jego prawa ręka ścisnęła lewe ramię, a jasna czerwona krew kapłała mu przez palce. Spojrzał na nią, jego złote oczy błyszczały i płonęły w ogniu walki, zaciekle nawet na jego obrzękniętej i posiniaczonej twarzy.

Trochę potem oszalała. Złapała go za podkoszulek i podciągnęła na nogi, używając siły, o której nie miała pojęcia, że posiada. - Wsiadaj! - krzyknęła, popychając go do drzwi. - Cholera, wsiadaj do ciężarówki! Chcesz się zabić?

Skrzywił się kiedy bokiem fotela uderzył w swoje posiniaczone żebra; Jane popychała i krzyczała jak potępiona, a łzy spływały po jej twarzy.

- Zamknij się wreszcie! - krzyknął, boleśnie wciągając się do środka.

- Nie możesz mi kazać się zamknąć! - krzyczała, pchając go dopóki nie wsiadł. Wytarła łzy z policzków i sama wspięła się do kabiny. - Zejdź mi z drogi, żebym mogła to uruchomić! Czy są tu jakieś klucze? Gdzie są klucze? O, cholera! - Zanurkowała głową pod kierownicę, macając gorączkowo pod deską rozdzielczą i wyciągając przewody.

- Co ty robisz? - jęknął Grant, a jego umysł był omotany bólem.

- Uruchamiam samochód łącząc przewody! - wyszlochała.

- Rozszarpujesz to przeklęte okablowanie! - Jeśli próbowała unieruchomić ich transport, to robiła dobrą robotę. Zaczął wyszarpywać ją spod kierownicy, ale nagle pochyliła się, wcisnęła sprzęgło i złączyła razem dwa przewody. Silnik z rykiem obudził się do życia, i Jane zatrzasnęła drzwi po swojej stronie, wrzucając bieg i popuszczając sprzęgło. Ciężarówka gwałtownie skoczyła do przodu, rzucając Granta na drzwi.

- Musisz wrzucić niski bieg! - krzyknął, podciągając się do pozycji siedzącej i coraz mocniej ściskając siedzenie.

- Nie wiem, gdzie jest niski bieg! Wrzuciłam ten, jaki udało mi się znaleźć!

Przeklinając, sięgnął do dźwigni zmiany biegów, czując ból w zranionym ramieniu niczym gorący nóż, i zamknął dłoń na gałce. Nie mógł nic zrobić, z bólem, więc go zignorował. - Naciśnij sprzęgło - rozkazał. - Będę zmieniać biegi. Jane, naciśnij to przeklęte sprzęgło!

- Nie krzycz na mnie! - krzyknęła, wciskając sprzęgło. Grant wrzucił właściwy bieg w ciężarówce, a ona wcisnęła sprzęgło; tym razem ciężarówka ruszyła bardziej płynnie. Położyła nogę na pedale gazu, wciskając go w podłogę, i ciężki samochód zarzuciło na zakręcie, buksując tylnymi kołami na żwirze. - Skręć w prawo, - rozkazał Grant, a ona skręciła zaraz w prawo.

Ciężarówką rzucało pod tym dużym naciskiem, a skrzynia biegów wyła, kiedy Jane trzymała nogę na pedale gazu.

- Zmień bieg!

- Sam go zmień!

- Wciśnij sprzęgło!

Wcisnęła sprzęgło, a on zmienił bieg. - Kiedy powiem ci, żebyś wcisnęła sprzęgło, będę zmieniać biegi, rozumiałaś?

Wciąż płakała, wycierając twarz w nieregularnych odstępach czasu. Grant powiedział: - Skręć w lewo, - a ona rzuciła ciężarówkę w lewo, obracając ją i powodując, że zakopała się na poboczu drogi w celu uniku.

Droga wyprowadziła ich z miasta, ale przejechali tylko kilka kilometrów, kiedy Grant powiedział krótko, - Zatrzymaj się. - Jane nie zakwestionowała tego; zjechała na pobocze i zatrzymała pojazd.

- Dobra, wynocha. - Znów usłuchała bez pytania, wyskakując i stojąc niezręcznie, kiedy spadł na ziemię. Jego lewa ręka była pokryta smugami krwi, ale patrząc na jego twarz Jane wiedziała, że nie miał zamiaru się zatrzymać. Schował pistolet za pas i przewiesił karabin przez ramię.

- Idziemy.

- Gdzie idziemy?

- Z powrotem do miasta. Twój chłopak nie oczekują od nas, że zawrócimy za nim. Możesz przestać płakać, - dodał okrutnie. - Nie zabiłem go.

- To nie jest mój chłopak! - wypluła Jane, okręcając się do niego.

- Na pewno tak to wyglądało z miejsca, gdzie stałem.

- Próbowałam zbić go z tropu! Jedno z nas musiało być wolne!

- Oszczędź mi tego, - poradził znudzonym tonem. - Kupiłem to raz, ale nie sprzedasz mi tego ponownie. A teraz zaczniesz wreszcie iść?

Postanowiła, że teraz nie ma sensu próbować go przekonywać. Kiedy później uspokoi się na tyle, aby słuchać, i kiedy ona uspokoi się na tyle, aby móc wszystko spójnie wyjaśnić, wtedy to załatwią. Kiedy odwróciła się od niego, spojrzała w otwarte drzwi ciężarówki i ujrzała coś wciśniętego w kącie na podłodze. Jej plecak! Wczołgała się z powrotem i pochyliła mocno żeby wyciągnąć plecak spod siedzenia; w podnieceniu, wszystko całkowicie pomijała i zapomniała.

- Zostaw to cholerstwo! - rzucił Grant.

- Potrzebuję go, - warknęła w odpowiedzi. Przypięła go ponownie paska.

Wyciągnął pistolet z za pasa i Jane przełknęła, jej oczy robiły się ogromne. Spokojnie strzelił w jedną z przednich opon samochodu, a następnie włożył pistolet z powrotem za pas.

- Dlaczego to zrobiłeś? - szepnęła, przetykając ponownie.

- Niech to wygląda tak, jakbyśmy musieli opuścić pojazd.

Złapał ją za ramię w ciasnym uścisku i pociągnął z drogi. Zawsze, kiedy usłyszał silnik zmuszał ją, żeby się kładła na ziemię i leżała nieruchomo, dopóki dźwięk nie zniknął. Jej bluzka, przedtem tak biała i piękna tylko przez godzinę lub trochę, była cała w błocie i podarta w miejscach, gdzie zahaczyły ją ciernie. Rzuciła mu krótkie spojrzenie, a potem o tym zapomniała.

- Kiedy Turego przybędzie po nas ponownie? - wydyszała.

- Wkrótce. Niecierpliwisz się?

Zgrzytając zębami zignorowała go. Dwadzieścia minut później zbliżyli się ponownie do skraju miasta, i okrążyli je szerokim łukiem. Chciała zapytać go, czego szuka, ale po sposobie w jaki pokazał jej głowę, wiedziała, że ma milczeć. Chciała usiąść, żeby przemyć jego posiniaczoną twarz i opatrzyć ranę na ramieniu, ale nie mogła zrobić żadnej z tych rzeczy. Teraz nic od niej nie chciał.

Jednak co innego mogła zrobić? Nie było sposobu, żeby mogła przewidzieć, że on będzie się w stanie uciec. Musiała użyć najlepszego planu, jaki miała w tym czasie.

Wreszcie wślizgnęli się do zrujnowanej szopy stojącej przy równie zrujnowanym domu i opadli na ziemię w stosunkowo chłodnym wnętrzu. Grant skrzywił się, kiedy przypadkowo napiął lewą rękę, ale gdy Jane zaczęła do niego podchodzić, posłał jej zimne spojrzenie, które zatrzymała ją w pół kroku. Opadła z powrotem na ziemię i oparła czoło na zgięte kolana. - Co my teraz zrobimy?

- Wydostaniemy się z tego kraju, tak szybko, jak tylko się da, - powiedział stanowczo. - Twój tata wynajął mnie, żebym doprowadził cię do domu, i to właśnie mam zamiar zrobić. Im prędzej oddam cię jemu, tym lepiej.

ROZDZIAŁ 11

Po tym co usłyszała, Jane siedziała cicho, trzymając czoło na kolanach i zamknięte oczy. Zimna pustka rosła w niej, wypełniając ją, wbijając lęk i strach. A co jeśli nie uda jej się Granta przekonać, że go nie zdradziła? W życiu jakie prowadził, to było chyba coś, przed czym musiał się bronić stale, więc nie byłby nawet zaskoczony zdradą. Chciała spróbować ponownie przemówić mu do rozsądku; oczywiście dopóki on rzeczywiście jej opuści, ona nie przestanie próbować. Ale... co jeśli on nie będzie słuchać? Co ona wtedy zrobi? Jakoś nie mogła sobie wyobrazić swojej przyszłości bez Granta. Emocjonalny dystans między nimi, teraz, był bolesny, ale wciąż mogła podnieść głowę i go zobaczyć, pocieszyć się jego fizyczną bliskością. Co robi, jeśli jego już nie będzie?

Zacząło wzrastać ciepło i wilgotność, znosząc chłód cienia oferowanego przez starą, otwartą szopę, a w oddali huknął grzmot, który ogłosił nadejście codziennego deszczu. Drzwi skrzypnęły głośno i wkrótce zgarbiona stara kobieta, poruszająca się powoli, nadeszła z boku domu do małej zagrody, gdzie czasami chrząkające świny leżały w błocie i próbowały uciec od ciepła. Grant obserwował kobietę czujnymi oczami, nie poruszając ani jednym mięśniem. Nie było realnego niebezpieczeństwa, że ich zobaczy; chwasty i krzaki wyrwały się spod kontroli, rosnąc obficie na przestrzeni między domem i szopą, była tylko wąska, mało używana ścieżka prowadząca do szopy. Świny piszczały z głośnym entuzjazmem, gdy stara kobieta karmiła je, i przemawiała czule a po chwili mozolnie ruszyła z powrotem do chaty.

Jane nie ruszyła palcem, nie otworzyła oczu, nawet gdy świny zaczęły chrząkać oznajmiając nadejście posiłku. Grant spojrzał na nią, i słabe zdziwienie wkradło się do chłodu w jego oczach. To nie było do niej podobne, siedzieć tak cicho i nie zbadać hałasu. Oczywiście wiedziała, że to świny, ale nie spojrzała w górę, aby zobaczyć, czemu tak głośno piszczą, nawet wtedy, gdy stara kobieta zaczęła do nich mówić. Zazwyczaj była ciekawa jak kot, wtykający nos we wszystko, niezależnie czy dotyczyło ją, czy nie. Trudno było powiedzieć, kiedy trzymała głowę w dole, ale pomyślał, że była blada; nieliczne piegi, które mógł zobaczyć

wyróżniały się wyraźnie na tle skóry.

W jego umyśle błysnął obraz Turego pochylającego głowę i przyciskającego usta do Jane, i sposób, w jaki Jane stała tak spokojnie i zaakceptowała ten pocałunek. Wściekłość wzrosła w nim ponownie powodując zwiniecie i zaciśnięcie pięści. Niech ją cholera! Jak mogła pozwolić, tej szumowinie się dotknąć?

Grzmoty zbliżyły się, trzaskając głośno a powietrze przyniosło zapach deszczu. Wiatr zaczął się wzmacniać, wiejąc przez przesmyk i przynosząc ze sobą powitalny chłód. Powietrze było żywe, niemal świecące z energii elektrycznej, którą niosło. Wszystkie małe stworzenia zaczęły szukać schronienia; ptaki latały tam i z powrotem, w celu znalezienia najbardziej bezpiecznego miejsca, żeby przeczekać burzę.

Podczas deszczu dobrze byłoby odejść, kiedy każdy szuka schronienia, ale całe jego ciało bolało od bicia jakie otrzymał, a jego lewa ręka nadal była sztywna i sączyła się z niej krew. Tutaj nie groziło im bezpośrednio niebezpieczeństwo, więc był zadowolony, że może odpocząć. Noc będzie jeszcze lepszą porą, żeby się ruszyć.

Deszcz przeszedł od mżawki do potopu w mniej niż minutę. Ziemia nie była w stanie przyjąć ogromnej ilości wody, i mały strumień zaczął się sączyć przez przesmyk. Grant wstał, tłumiąc jęk, kiedy jego zeszywniałe ciało zaprotestowało, i usiadł na wpół zgniłej skrzyni z warzywami. Wyglądała wątko, ale utrzymała jego wagę. Jane nadal się nie poruszyła. Nie rozglądała się dopóki woda nie zaczęła moczyć jej spodni; potem podniosła głowę i zdała sobie sprawę, że rzeka zaczęła płynąć wokół niej. Nie spojrzała na Granta, tylko przeniosła się z dala od wody, wiatru. Usiadła tyłem do niego i przyjęła wcześniejszą pozycję, ze zgiętymi kolanami i ramionami owiniętymi wokół jej nóg, z głową opierającą się na kolanach.

Grant potrafił czekać; cierpliwość była jego drugą naturą. Mógł trzymać pozycję przez cały dzień, jeśli to było konieczne, ignorując nieprzyjemne doznania, jak gdyby nie istniały. Ale cisza i brak ruchu w szopie zaczęły grać mu na nerwach, bo to nie było to, czego nauczył się oczekiwać od Jane. Czy ona coś planuje?

W końcu deszcz przestał padać i ekscytujące ciepło znowu zaczęło

rosnąć. - Czy będziemy tu siedzieć cały dzień? - nerwowo zapytała w końcu Jane, przerywając długie milczenie.

- Równie dobrze możemy to siedzieć cały dzień. Nie mam nic lepszego do roboty. A ty?

Nie odpowiedziała na to, ani nie zadała więcej pytań, zdając sobie sprawę, że on nie jest w nastroju do powiedzenia jej czegokolwiek. Była tak głodna, że było jej niedobrze, ale nie miała żadnego jedzenia w swoim plecaku, ale nie miała zamiaru narzekać na to. Opuściła głowę na kolana i próbowała szukać zapomnienia w drzemkę; bo przynajmniej wtedy mogła zapomnieć, jak była nieszczęśliwa.

I rzeczywiście udało jej się zasnąć, a on obudził ją o zmierzchu, potrząsając za ramię. - Chodźmy, - powiedział, podciągając ją na nogi. Serce Jane stanęło, ponieważ właśnie w tym momencie jego dotyk był silny, ale delikatny, i miała nadzieję, szaloną nadzieję, że uspokoił się i odzyskał rozum kiedy drzemała. Ale potem puścił jej ramię i odsunął się od niej, z twardą twarzą i nadzieja umarła.

Poszła za nim jak zabawka na sznurku, idąc jego śladem, zatrzymując się, gdy on się zatrzymywał, zawsze w tej samej odległości. Śmiało udał się do centrum miasta, idąc ulicami, jakby nikt ich w ogóle nie szukał, a co dopiero jakaś mała armia. Kilka osób spojrzało na nich dziwnie, ale nikt ich nie zatrzymał. Jane przypuszczała, że wyglądali dziwnie: wysoki blondyn z posiniaczoną, obrzękniętą twarzą i karabinem lekko trzymanym w jednej ręce, prowadzi kobietę z dziko splątanymi włosami, w brudnych ubraniach i plecaku przypiętym do paska, kołyszącym się wokół jej nóg, kiedy szła. Cóż, dla niej też to wszystko wydawało się dziwne. Czuła się tak, jakby oni zgubili się w grze wideo, z szalonymi obrazami migających neonów na nimi. Po chwili zdała sobie sprawę, że te obrazy są prawdziwe; na ulicy wisiał napis informujący „cantina” błyszcząc neonami w różowym i niebieskim kolorze.

Co on robi? Na tyle przyciągali uwagę, że Turego musiałby usłyszeć o nich, gdyby zadał jakieś pytania. No i Grant wiedział, że Turego może mieć pomoc lokalnych organów ścigania, szukających ich w ramach spreparowanych zarzutów; Turego pewnością miał dość uprawnień, żeby zaangażować dowolną liczbę osób w poszukiwania. Wyglądało tak, jakby

Grant chciał, żeby Turego ich znalazł.

Skręcił w boczną ulicę i zatrzymał się przed małym, słabo oświetlonym barem. - Trzymaj się blisko mnie i trzymaj gębę na kłódkę, - rozkazał krótko, i weszli.

Mały bar był duszny i zadymiony, a silny zapach alkoholu zmieszany z potem przenikał powietrze. Za wyjątkiem kelnerki, wyglądającej na zaszczutą i dwóch namiętnych prostytutek, nie było tu innych kobiet. Kilku mężczyzn spojrzało na Jane, oceniając swoimi ciemnymi oczami, ale potem spojrzeli na Granta i odwrócili się do swoich drinków, najwyraźniej uznając, że nie była warta problemów.

Grant znalazł im miejsca przy stoliku z tyłu, w głęboko w cieniu. Po chwili podeszła do nich kelnerka, a Grant nie pytając Jane o zdanie zamówił dwie tequile.

Jane zatrzymała kelnerkę. - Poczekaj - macie sok z limonki? - Kiedy młoda kobieta skinęła, Jane odetchnęła z ulgą. - Szklankę soku z limonki, zamiast tequili, proszę.

Grant zapalił papierosa, osłaniając ręką płomień. - Czy ty jesteś abstynentką, czy co?

- Nie piję na pusty żołądek.

- Zjemy coś później. Tutaj nie dają jedzenia.

Zanim cokolwiek powiedziała zaczęła, aż będą mieli swoje drinki.

- Czy to nie jest niebezpieczne dla nas, aby być tutaj? Każdy z ludzi Turego mógł nas widzieć, kiedy szliśmy ulicą.

Jego oczy były wąskimi szczelinami, kiedy obserwował ją przez niebieski dym z papierosa. - Dlaczego to cię tak martwi? Czy nie uważasz, że on powita cię z otwartymi ramionami?

Jane pochyliła się do przodu, zwięzając swoje oczy. - Posłuchaj mnie. Musiałam kupić nam czas, i zrobiłam to w jedyny sposób jaki udało mi się wymyśleć. Przykro mi, że nie miałam czasu, aby wyjaśnić ci to wcześniej, ale nie sądzę, by Turego pozwoliłby mi krzyknąć "przerwa" żebym mogła się z tobą naradzić! Gdyby również mnie związał, to w żaden sposób nie mogłabym ci pomóc!

- Dziękuję, kochanie, ale poradziłbym sobie bez tego rodzaju pomocy, - wycedził, dotykając lewego oka, które było spuchnięte i czerwone.

Poczuła piekący gniew; była niewinna, i zmęczona traktowaniem jak Benedict Arnold. Pomyślała o wylaniu mu soku z limonki na kolana, ale jej żołądek zaburczał i zemsta zajęła odległe drugie miejsce przed wprowadzeniem czegoś do jej pustego żołądka, nawet jeśli to był tylko sok owocowy. Usiadła na krześle i popijała go, chcąc, żeby picie soku trwało tak długo, jak to tylko możliwe.

Minuty wlekły się, a Jane poczuła mrowienie między łopatkami. Każda sekunda, którą tu marnowali na siedzenie zwiększyła niebezpieczeństwo, dawała Turego większe szanse na ich znalezienie. Porzucenie ciężarówki nie oszuka go na długo.

Jakiś mężczyzna wślizgnął się na krzesło obok niej i Jane podskoczyła, serce podeszło jej do gardła. Rzucił jej tylko pobieżnie spojrzenie zanim nie skierował swojej uwagi na Granta. Był nijakiej postaci, jego ubranie było znoszone, jego twarz pokryta przez kilkudniowym zarostem, a zapach zwietrzałego alkoholu spowodował, że Jane zmarszczyła nos. Ale potem powiedział kilka słów do Granta, tak cicho, że nie mogła ich zrozumieć, i wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Grant ujawnił ich obecność nie dlatego, że chciał by Turego ich znaleźć, ale dlatego, że chciał, aby znalazł ich ktoś inny. To był hazard, ale się opłacił. Nie był już w tym biznesie, ale był znany, i ufał swojej reputacji w nawiązaniu kontaktu. Ten człowiek był prawdopodobnie tylko płotką, ale użyteczną.

- Potrzebuję transportu, - powiedział Grant. - W ciągu godziny. Dasz radę?

- Si, - powiedział mężczyzna, dla podkreślenia powoli kiwając głową.

- Dobrze. Podstaw go za Niebieskiego Pelikana dokładnie za godzinę od teraz. Włóż klucz pod prawe siedzenie, wysiądź i odejdz.

Mężczyzna skinął głową ponownie. - Powodzenia, amigo.

Ten trudny, krzywy uśmiech wygiął wargi Granta. - Dzięki. Teraz jeszcze muszę coś załatwić.

Człowiek wmieszał się w tłum, a potem zniknął. Jane powoli kręciła szklanką soku w dłoniach, nie odrywając wzroku od stołu. - A teraz, kiedy nawiązałeś kontakt, czy nie powinniśmy stąd wyjść?

Grant podniósł tequilę do ust, gardło poruszyło się, kiedy połknął ostro

smakujący alkohol. - Zaczekamy tutaj jeszcze chwilę.

Nie, nie powinni zbliżyć się do tego faceta zbyt blisko. George zawsze mówił jej, jak ważne było to, aby nawiązać kontakt, bez przyciągania uwagi. Mężczyzna wykorzystał szansę pochodząc do nich tak otwarcie, ale potem, Grant odebrał tę szansę poprzez bycie tak dostępnym. Prawdopodobnie było jasne, że sytuacja jest rozpaczliwa, choć Grant wyglądał, jakby nie myślał o niczym ważniejszym niż spanie. Rozwalił się na swoim krześle, oczy miał przymknięte, a Jane zauważyła, że trzymał lewą rękę na karabinie. Mogłaby pomyśleć, że był całkowicie zrelaksowany.

- Myślisz, że moglibyśmy znaleźć łazienkę? - zapytała, zachowując lekki ton.

- Tu? Wątpię w to.

- Gdziekolwiek.

- Ok. Skończyłaś z tym? - Wypił resztę tequili i Jane zrobiła to samo z sokiem z limonki. Jej skóra była ścierpła ponownie; poczuła, że mrowienie na karku się nasiliło, kiedy wstała.

Torowali sobie drogę do drzwi przez gąszcz nóg, stołów i krzeseł, a kiedy tylko wyszli Jane powiedziała: - Myślę, że byliśmy obserwowani.

- Wiem o tym. Dlatego idziemy w przeciwnym kierunku niż Niebieski Pelikan.

- Co to na miłość boską jest Niebieski Pelikan? Skąd wiesz tyle o tym mieście? Byłeś tutaj przedtem?

- Nie, ale mam oczy otwarte. Niebieski Pelikan jest pierwszym barem jaki mijaliśmy.

Teraz sobie przypominała. To był bar z migającym neonem, ten, który dał jej tak intensywne poczucie nierzeczywistości.

Szli boczną uliczką w dół w ziejącą jaskinię ciemności. Ulica nie była wybrukowana, nie było chodników ani świateł ulicznych, nie było nawet żadnego z niestosownych neonów dających jaskrawe światło. Ziemia po jej butami była nierówna i otaczał ją kwaśny odór starych śmieci. Jane nie myślała; jej dłoń wystrzeliła i chwyciła pas Granta.

Zawahał się, ale kontynuował drogę, nic nie mówiąc. Jane przełknęła, ponieważ zdając sobie sprawę, że mogła zostać przerzucona ponownie

przez ramię, kiedy po raz pierwszy złapała go od tyłu. Co zrobi, jeśli nie będzie już mogła się go trzymać w ciemności? Stanie załamując ręce? Przeszła długą drogę od dziecka, które siedziało w przerażającym otępieniu przez wiele dni, więc może nadszedł czas na jeden krok dalej. Powoli, świadomie, Jane rozluźniła swój chwyt na jego pasie i opuściła ramię do boku.

Zatrzymał się i spojrzał na nią, ciemność skryła jego rysy. - Nie mam nic przeciwko temu, że trzymasz się za mój pas.

Milczała, czując jego niechętną ciekawość, niezdolna dać mu żadnego wyjaśnienia. Wszystkie etapy jej przemiany odbywały się wewnątrz niej, osiągnane tylko przez bolesny wysiłek, i nie było to coś, o czym można łatwo rozmawiać. Nawet przerażająco drogi, psycholog dziecięcy, którego rodzice zatrudnili nie był w stanie wyciągnąć z niej nic o porwaniu. Wszyscy wiedzieli o koszmarach, które miała, i jej nagłym, nieuzasadnionym strachu przed ciemnością, ale nigdy nie opowiedziała nikomu żadnych szczegółów tego, czego doświadczyła. Ani rodzicom, ani nawet Chrisowi, a on był jej najlepszym przyjacielem na długo zanim został jej mężem. Przez wszystkie lata po porwaniu, opowiedziała o tym tylko jednej osobie, wystarczająco zaufała tylko jednej osobie. Teraz między nimi była przepaść przez którą próbowała przerzucić most, ale on ją odpychał. Bez względu na to, jak bardzo chciała rzucić mu się w ramiona, musiała stanąć sama, bo wkrótce może nie będzie miała wyboru w tej sprawie.

Strach przed samotnością w ciemności był niczym w porównaniu do obawy, że może zostać sama przez resztę swego życia.

Wymyślił szaloną drogę przez miasto, polegającą na kluczeniu, wycofywaniu, zmianach ich trasy, tak wiele razy, że Jane zupełnie straciła poczucie kierunku. Dyszała jak pies, deptając mu prawie po piętach. Zatrzymał się raz, i stanął na straży, podczas gdy Jane zakradła się z tyłu lokalnej wersji garkuchni. Wyposażenie toalety pochodziło sprzed II wojny światowej, oświetleniem była słaba żarówka zwisająca pojedynczo z sufitu, a truchło ogromnego karalucha leżało na plecach w rogu, ale nie była w nastroju do spierania się. Przynajmniej kran działał bez problemu, i kiedy odkręciła wodę w pękniętej umywalce, poleciał letni strumień

wody. Umyła ręce i pochylając się nad zlewem, ochlapała się wodą po twarzy. Nie było ręczników, więc wytarła ręce w spodnie i poczekała aż twarz jej sama obeschnie.

Gdy wyszła na palcach z budynku, Grant wyszedł z cienia, gdzie się ukrył i wziął ją za rękę. Jak się okazało, nie byli zbyt daleko od Niebieskiego Pelikana, bo gdy skręcili za róg, zauważyła migający neon w kolorze niebieskim i różowym. Ale Grant nie poszedł prosto do niego; tylko okrążył cały obszar, czasami stając bez ruchu przez kilka minut, czekając i obserwując.

W końcu zbliżyli się do starego forda kombi, który stał zaparkowany za barem, ale nawet wtedy zachowywał ostrożność. Podniósł maskę i zapalił zapalniczkę, żeby zbadać silnik. Jane nie pytała, czego szukał, bo miała niejasne pojęcie, że wie. Zamknął maskę jak najciszej, widocznie uspokojony.

- Wsiadaj, i wyjmij klucz spod siedzenia.

Otworzyła drzwi. Górne światło było wyłączone, ale to było do przewidzenia. Zbierając się w sobie, zajrzała za oparcie fotela, wstrzymując oddech, w przypadku gdyby ktoś faktycznie tam był. Ale wnętrze było puste, a ona z ulgą wypuściła oddech z płuc.

Pochyliła się i wsadziła rękę pod siedzenie, szukając klucza. Otworzyły się drugie drzwi, a samochód kołysał się pod ciężarem Granta. - Szybciej, - warknął.

- Nie mogę znaleźć kluczy! - Jej przebierające palce znalazły dużo brudu, kilka śrub, kawałek papieru, ale ani śladu kluczy. - Może to nie jest ten samochód!

- To musi być ten. Sprawdź jeszcze raz.

Opadła na podłogę i sięgnęła tak daleko, pod siedzenie, jak mogła, zamiatając rękami do tyłu i do przodu. - Nic. Spróbuj pod twoim siedzeniem.

Pochylił się, wyciągając rękę, aby sprawdzić pod swoim siedzeniem. Klnąc cicho, wyciągnął pojedynczy klucz przytwierdzony do małego kawałka drewna. Mruczając pod nosem o przeklętych ludziach, którzy nie są w stanie przestrzegać prostych instrukcji, włożył kluczyk w stacyjkę i uruchomił samochód.

Pomimo swojego wieku, silnik był cichy i gładki. Grant wrzucił bieg i wycofał się z alei. Nie włączył świateł, dopóki nie znalazł się daleko od Niebieskiego Pelikana i dobrze oświetlonej głównej ulicy.

Jane odchyliła się na śmierzącym stęchlizną fotelu, nie mogąc uwierzyć, że w końcu wszystko wydawało się być na dobrej drodze. Tak wiele się wydarzyło od dzisiejszego rana, że straciła poczucie czasu. Nie mogło być późno; prawdopodobnie około godziny dziesiątej, lub coś koło tego. Patrzyła na drogę przez chwilę, zahipnotyzowana przez sposób, w jaki reflektory omiatały pobocze poza zasięgiem ich wzroku, zmęczona, ale nie mogąca spać. - Czy my nadal jedziemy do Limon?

- Dlaczego? Czy tak właśnie kazał ci twój kochanek?

Jane siedziała nieruchomo, zaciskając zęby z gniewu, który ją cisnął. No dobra, spróbuje jeszcze raz. - On nie jest moim kochankiem, a ja mu nic nie powiedziałam. Wszystko co starałam się zrobić, to pozostać niezwiązana, dopóki nie przyłapię jednego z nich niestrzeżonego i zdobędę broń. - Wypluwała te słowa monotennie, ale jej pierś unosiła się, próbując kontrolować gniew. - A jak myślisz, skąd miałam pistolet, który mi zabrałeś?

Czuła, że to był punkt, którego nie mógł ignorować, ale to zrobił, wzruszając ramionami. - Słuchaj, nie musisz mi nic wyjaśniać, - powiedział znudzonym tonem. - Nie jestem zainteresowany...

- Zatrzymaj samochód! - krzyknęła, wściekła.

- Nie zaczynaj odstawiać jednego ze swoich napadów, - ostrzegł, posyłając jej z ukosa twarde spojrzenie.

Jane zanurkowała po kierownicę, zbyt zła, aby obchodziło ją czy spowoduje wypadek. Przeklinając, odepchnął ją jedną ręką, ale Jane zanurkowała pod jego ramieniem i chwyciła za kierownicę, przekręcając ją gwałtownie w swoją stronę. Grant wcisnął hamulec, walcząc, aby utrzymać samochód pod kontrolą jedną ręką, podczas gdy drugą trzymał Jane. Złapała kierownicę ponownie ją pociągnęła, a samochód podskoczył gwałtownie, kiedy uderzył w pobocze.

Grant puścił ją i walczył z samochodem, który tańczył tam i z powrotem na wąskiej drodze. W końcu zahamował gwałtownie całkowicie zatrzymując samochód, żeby skierować całą uwagę na Jane, ale jeszcze

zanim samochód się zatrzymał ona otworzyła drzwi i wyskoczyła.

- Sama wydostanę się z Kostaryki! - wrzasnęła, trzaskając drzwiami.

Wysiadł z samochodu. - Jane, wracaj tutaj, - ostrzegł, kiedy zaczęła odchodzić.

- Nie przejadę kolejnej mili z tobą, ani nawet centymetra więcej!

- Wracasz, albo zwiążę cię jak prosię, - powiedział, pochodząc do niej, starannie odmierzoną krokiem.

Nie zatrzymała się. - To twoje lekarstwo na wszystko, co nie? - uśmiechnęła się szyderczo.

Wystartował bez ostrzeżenia. Poruszał się tak szybko, że Jane nie miała czasu uciec. Wydała zaskoczony okrzyk, skręcając się kiedy po nią sięgnął; wyciągniętą ręką złapał ją za bluzkę a Jane szarpała się dopóki jej nie zatrzymał. To było podwójnie irytujące, że dała się tak łatwo złapać, i w świeżym przyływie wściekłości rzuciła się, żeby uwolnić się od niego, skręcając bardziej gibkie ciało, starając się przełamać jego uścisk. Złapał ją za dziko wymachujące ramię i przycisnął do boku. - Cholera, kobieto, dlaczego musisz wszystko utrudniać? - wysapał.

- Puść... mnie! - krzyknęła, ale on objął ją, trzymając ręce przyciśnięte do boków. Kopała i wrzeszczała, ale był zbyt silny; nic nie mogła zrobić, kiedy niósł ją do samochodu.

Ale musiał użyć jednego ramienia, aby móc otworzyć drzwi samochodu, a kiedy to zrobił, obróciła się gwałtownie, jednocześnie podnosząc stopy. Połączenie skrętu i nagłego zwiększenia masy złamało uchwyt, i wysunęła mu się z rąk. Złapał ją ponownie, jego palce zahaczyły o głęboki dekolt na bluzce. Tkanina rozerwała się od uchwytu, opadając na jej ramionach.

Z oczu Jane trysnęły łzy, kiedy wstrząśnięta próbowała zakryć piersi, trzymając zniszczone szmatki przed nimi. - Zobacz, co zrobiłeś! - Odwracając się od niego, wybuchnęła płaczem, jej ramiona się trzęsły.

Surowy, twardy szloch, jaki wyrwał się z jej gardła był tak gwałtowny, że opuścił swoje otwarte ramiona.

Potańczał ze znużeniem. Dlaczego nie mogła płakać pociągając lekko nosem, zamiast tych szlochów, które brzmiały jakby została pobita?

Pomimo wszystkiego, co się stało, chciał wziąć ją w ramiona i trzymać jej głowę przy swojej piersi, głaskać jej ciemne włosy i szeptać, że

wszystko będzie w porządku.

Odwróciła się od niego, wycierając twarz jedną ręką a drugą przyciskając zniszczoną bluzka do piersi. - Pomyśl o kilku rzeczach! - powiedziała ochryple. - Pomyśl o tym, skąd miałam ten pistolet. I pomyśl o Turego. Pamiętasz, kiedy pojawił się za tobą z karabinem, a ja cię ostrzegłam? Czy zanim strzeliłeś do niego, zauważyłeś, że jego twarz była zakrwawiona? Przypominasz sobie, że krwawił z nosa? Czy myślisz, że jego nos krwawił przez różnicę wysokości? Ty wielki, głupi, twardogłowy dupku! - ryknęła, stojąc obok z wściekłością, i potrząsając swoją pięścią pod jego nosem. - Cholera, czy ty nie widzisz, że cię kocham?

Grant znieruchomiał jak kamień, żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy, ale zgubił oddech, jak gdyby właśnie dostał ogromny cios w klatkę piersiową. Wszystko teraz go uderzyło, a on zatoczył się pod tym ciężarem. Miała rację. Twarz Turego była zakrwawiona, ale on nie myślał o tym w tamtym czasie. Był tak cholernie zły i zazdrosny, że nie myślał wcale, tylko reagował na to, co wyglądało jak zdrada. Nie wymyśliła tylko szybko sposobu uniknięcia związania, ale ruszyła mu na ratunek, jak tylko mogła, a gdy przypomniał sobie sposób, w jaki patrzyła, kiedy przeszła przez tamte drzwi, taka blada i dzika - bandziory Turego miały prawdopodobnie szczęście, że puścił ich wolno. Ona go kocha! Spojrzał w dół, na nią, na jej małej pięści, którymi wymachiwała niebezpiecznie blisko jego nosa. Była absolutnie wspaniała, włosy dziko splątane na ramionach, twarz wypełniona złością, która wyrwała się spod kontroli, krzycząca na niego jak jakaś zjawa. Trzymała ten śmieszny kawałek tkaniny przyciśnięty do swojej piersi ręką, żeby nie zagrażać jego profilowi. Nieposkromiona. Odważna. Szalona. I tak cholernie pożądana, że nagle zadrżał z potrzeby.

Złapał jej pięść i szarpnął do siebie, przyciskając tak mocno, że aż jęknęła, twarz schował w jej włosach.

Wciąż z nim walczyła, waląc go pięściami po plecach i znowu płacząc. - Puść mnie! Proszę, pozwól mi odejść.

- Nie mogę, - wyszeptał i chwycił ją za brodę, odwracając jej twarz do siebie. Zaciekle przycisnął do niej usta a ona jak osaczony kot, próbowała go ugryźć. Poderwał głowę, śmiejąc się z dziką radością, która przelatywała przez niego. Rozdarta bluzka opadła, a jej nagie piersi były spłaszczone na

nim, ich miękka pełność przypominała mu o tym, jak dobrze się czuł, kiedy z nim nie walczyła. Szorstko pocałował ją znowu, i ujął jej piersi w dłonie, pocierając kciukiem aksamitne brodawki dopóki nie zaczęły sterczeć.

Jane piszczała pod naporem jego ust, ale jej złość zniknęła, i zmiękła przy nim, nagle zdając sobie sprawę, że udało jej się go przekonać. Chciała, utrzymać swoją złość, ale nie mogła już dłużej żywić urazy. Wszystko co mogła zrobić, to oddawać mu pocałunki, i przesunąć ramiona, żeby objąć go za szyję. Jego ręka paliła jej piersi, jego kciuk podniecał ostro jej wrażliwą skórę wrażliwa i zaczęło ją skręcać pragnienie, znajdujące się głęboko w jej lędźwiach. Nie musiał już trzymać jej silnie, żeby ją całować, więc położył drugą rękę na jej pośladku i przycisnął do siebie, pokazując obrazowo, że nie tylko ona jedna coś czuje.

Oderwał od niej usta i przycisnął wargi do czoła. - Przysięgam, że twoja złość to jest coś, - wyszeptał. - Wybaczysz mi?

To było głupie pytanie; co niby miała mu powiedzieć, biorąc pod uwagę, że wisiała mu na szyi jak świąteczna ozdoba? - Nie, - powiedziała, pocierając twarz o zagłębienie jego szyi, szukając jego ciepłego, mocnego męskiego zapachu. - Mam zamiar zachować to, aby rzucić się na ciebie następnym razem, kiedy będziemy musieli walczyć, - Chciała powiedzieć "do końca życia", ale choć jego ramiona były mocno zaciśnięte wokół niej, nie powiedział, że ją kocha. Nie zamierzała wyciągać z niego tych słów, wiedząc, że nie może być w stanie powiedzieć tego, i mieć tego na myśli.

- Zrób tak. - powiedział i zaśmiał się. Niechętnie rozluźnił ramiona, i wyciągnął rękę, usuwając jej ręce ze swojej szyi. - Chciałbym tak zostać, ale musimy dostać się do Limon. - Spojrzał na jej piersi, i napięcie wyjrzało spod jego poobijanej twarzy. - Kiedy to się skończy, mam zamiar dostać się do hotelu i trzymać cię w łóżku tak długo, aż żadne z nas nie będzie mogło chodzić.

Wsiedli do samochodu, i Jane zdjęła resztki bluzki, wpychając ją do plecaka i wyciągając koszulkę Granta, którą spakowała do plecaka rano. Mogłaby owinać się nią dwa razy, a szwy na ramionach wisiały jej niemal na łokciach. Zawinęła rękawy ile mogła, a następnie zebrała długie poły i związała je w tali. Zdecydowanie niemodne, pomyślała, ale była zakryta.

Ford dotoczył się do Limon we wczesnych godzinach porannych, i choć

ulice były prawie puste, to było oczywiste, że port był dobrze zaludnionym miastem średniej wielkości. Jane zacisnęła ręce na siedzeniu samochodu. Czy byli już bezpieczni? Czy Turego dał się nabrać na opuszczoną ciężarówkę?

- I co teraz? - zapytała.

- Teraz postaram się z kimś skontaktować, kto może wydostać nas stąd dziś wieczorem. Nie chcę czekać aż do rana.

Więc uważał, że ludzie byli zbyt blisko, żeby było bezpiecznie. Czy to nigdy nie skończy? Żałowała, że nie pozostali w dżungli, ukryci tak głęboko w lesie deszczowym, że nikt by ich nie mógł znaleźć.

Widocznie Grant już przedtem był w Limon; bo przemierzał ulice z łatwością. Podjechał pod dworzec kolejowy, i Jane posłała mu zdziwione spojrzenie. - Będziemy jechać pociągiem?

- Nie, ale tutaj są telefony, chodź.

Limon nie był tak odosobnione, jak wioska w dżungli, a nawet małe miasteczko na skraju lasu; to było miasto, ze wszystkimi miejskimi rzeczami. Musiał odłożyć karabin do bagażnika kombi, ale zatrzymał pistolet w bucie. Nawet bez tego był oczywiście uzbrojony, Jane pomyślała, że nie było szans pójść gdzieś nie będąc zauważonym. Oboje wyglądali jakby zeszli prosto z pola bitwy, która w efekcie stoczyli. Kasjer przyglądał im się z ostrą ciekawością, ale Grant zignorował go, kierując się prosto do telefonu. Wezwał kogoś o imieniu Angel, a jego głos był ostry, kiedy zażądał numeru. Rozłączył się, wrzucił więcej monet do telefonu, a następnie wybrał kolejny numer.

- Do kogo dzwonisz? - wyszeptała Jane.

- Do starego przyjaciela.

Stary przyjaciel miał na imię Vincente i intensywna satysfakcja zagościła na twarzy Granta, kiedy odłożył słuchawkę. - Oni wyciągną nas stąd. Za godzinę będziemy wolni w domu.

- Kim są "oni"? - Zapytała Jane.

- Nie zadawaj zbyt wielu pytań.

Skrzywiła się na niego, a potem coś innego przyciągnęło jej uwagę.

- Jak już tu jesteśmy, to możemy się chyba trochę oczyścić? Wyglądasz okropnie.

Była tu publiczna toaleta - pusta, dziękowała Bogu, kiedy to zobaczyła - Grant umył twarz, podczas gdy Jane odgarnęła włosy i szybko splotła w luźny warkocz. Potem mokrym ręcznikiem starannie oczyściła ranę na ramieniu Granta; kula go nie trafiła, ale rozcięcie było głębokie i brzydkie. Po przemyciu silnie pachnącym mydłem, wyjęła z plecaka niewielką apteczkę.

- Któregoś dnia mam zamiar zobaczyć wszystko, co tam trzymasz, - warknął Grant.

Jane otworzyła małą buteleczkę alkoholu i wylała go na ranę. Złapał gwałtownie oddech i powiedział coś bardzo dosadnego. - Nie bądź dzieckiem, - skarciła go Jane. - Nie robiłeś tyle zamieszania, kiedy zostałeś postrzelony.

Posmarowała mu ranę antybiotykiem w kremie, a następnie ciasno owinęła bandaż wokół jego ramienia i związała razem końce. Po włożeniu apteczki z powrotem, upewniła się, że plecak jest nadal bezpiecznie przypięty do jej paska.

Grant otworzył drzwi, a potem nagle cofnął się i zamknął je ponownie. Jane była tuż za nim, a uderzenie jego ciała spowodowało, że straciła równowagę. Złapał ją za rękę, chroniąc przed upadkiem. - Turego i kilku jego ludzi, właśnie weszło na dworzec. - Rozejrzył się, jego oczy były zmrużone i czujne. - Wyjdziemy przez okno.

Jej serce waliło. Jane popatrzyła z przerażeniem na rząd małych, wysoko położonych okien, które były w toalecie. Były położone znacznie wyżej nad jej głową. - Nie dam rady się tam dostać.

- Jasne, że dasz radę. - Grant pochylił się i chwycił ją w okolicach kolan, unosząc, aż mogła dosięgnąć do okna. - Otwórz jedno, i przejdź przez nie. Szybko! Mamy tylko chwilkę.

- Ale w jaki sposób ty się tu dostaniesz...

- Dam radę! Jane, wyjdź przez okno!

Obróciła klamkę i pchnęła, żeby otworzyć okno. Nie dając sobie czasu na myślenie o tym, jak wysoko jest nad ziemią, chwyciła dolną krawędź ramy i wyciągnęła się przez okno, skacząc w ciemność i mając nadzieję, że nie wylądjuje na torach lub coś w tym stylu. Wylądowała na czworakach, na luźnym żwirze, i musiała powstrzymać okrzyk bólu, kiedy żwir pociął jej

dłonie. Szybko przetoczyła się na bok, a chwilę później obok niej wylądował Grant.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał, ciągnąc ją na nogi.

- Myślę, że tak. Nic nie złamałam, - doniosła bez tchu.

Ruszył wzdłuż boku budynku, ciągnąc ją za sobą. Za sobą usłyszeli strzał, ale nie zwolnili lub oglądali się do tyłu. Jane potknęła się i tylko uchwyt Granta na ręce uratował ją przed upadkiem. - Nie możemy wrócić do Forda? - jęknęła.

- Nie. Będziemy musieli dostać się tam na piechotę.

- Dostać się gdzie?

- Do punktu przejścia.

- Jak daleko to jest?

- Niezbyt daleko.

- Podaj mi to w jardach albo milach! - zażądała.

Minął ulicę i pociągnął ją w głębokie cienie alei. Roześmiał się. - Może z milę, powiedział i pocałował ją, jego usta były mocne i głodne, jego język znalazł jej. Przytulił ją mocno.

- Cokolwiek zrobiłaś Turego, kochanie, wygląda jakby przeszedł piekło.

- Myślę, że złamałam mu nos, - przyznała.

Roześmiał się znowu. - Myślę, że tak. Ten obrzęk zasłania mu całą twarz. Nie zapomni cię przez długi czas!

- Nigdy, jeśli uda mi się coś z tym zrobić. Powiemy rządowi o tym człowieku, - obiecała.

- Później, kochanie. Teraz musimy się stąd wynieść.

ROZDZIAŁ 12

Helikopter leciał nisko, szybko, i osiadł na ziemi lekko, wyglądając jak gigantyczny komar. Grant i Jane biegli przez małe pole, zgięci nisko przed podmuchem robionym przez wirniki, których pilot nie zatrzymał. Za nimi ludzie wyszli ze swoich domów, aby zobaczyć, co to za zamieszanie. Jane zaczęła chichotać, czując w tej chwili triumfalną lekkość; ale na razie Grant popychał ją do helikoptera, a ona śmiała się tak mocno, że płakała. Zrobili to! Teraz Turego nie mógł ich już złapać. Wyjadą z kraju, zanim będzie mógł zmobilizować własne helikoptery i ich szukać, a nie odważyłby się przekroczyć granicy.

Grant błysnął uśmiechem, mówiącym, że rozumie jej idiotyczny śmiech. Krzyknął, - Zapnij pasy! - a następnie usiadł na siedzeniu obok pilota i dał mu znak uniesionym kciukiem. Pilot skinął głową, uśmiechnął się i śmigłowiec wzbił się w noc. Grant założył słuchawki, które pozwalały mu rozmawiać z pilotem, ale z tyłu nie było żadnych. Jane zrezygnowała z prób usłyszenia, co mówią i chwyciła za boki fotelu, patrząc przez otwarte boki helikoptera. Nocne powietrze wirowało wokół niej, a świat rozciągnął się poza śmigłowcem. Pierwszy raz leciała helikopterem, i to było zupełnie inne uczucie od lotu samolotem. Czuła, jak unoszą się w aksamitnej ciemności, i żałowała, że jest noc i nie mogła zobaczyć nic poniżej.

Lot nie trwał długo, ale kiedy wylądowali, Jane rozpoznała lotnisko i sięgnęła, żeby uścisnąć ramię Granta. - Jesteśmy w San Jose! - krzyknęła, a lęk wypełnił jej głos. Była tu gdzie to wszystko się zaczęło. Turego miał dużo ludzi w stolicy!

Grant zdjął słuchawki. Pilot wyłączył wirniki i hałas zaczął opadać. Uścisnęli sobie ręce, a pilot powiedział: - Miło było cię znów zobaczyć! Dotarło do nas, że jesteś w okolicy, i że powinniśmy dać ci jakąkolwiek pomoc o jaką poprosisz. Powodzenia. Lepiej się pośpiesz. Nie masz wystarczająco dużo czasu, aby dostać się na ten lot.

Wskoczyli na asfalt i zaczęli biec w stronę terminalu. - Co to za lot? - Jane wysapała.

- Lot do Mexico City, który będzie za około pięć minut.

Mexico City! To brzmiało o wiele lepiej! Myśl o tym dodała jej sił.

Terminal o tej porze nocy był prawie wyludniony, bo pasażerowie lecący do Mexico City byli już na pokładzie. Urzędnik gapił się na nich, jak się zbliżali, przypominając Jane po raz kolejny o tym, jak wyglądali. - Grant Sullivan i Jane Greer, - powiedział krótko Grant. - Ma pan nasze bilety.

Urzędnik odzyskał panowanie nad sobą. - Tak, proszę pana, i samolot, - odpowiedział w doskonałym angielskim, przekazując dwa bilety. - Ernesto zaprowadzi was bezpośrednio na pokład.

Ernesto należał do ochrony lotniska, i poprowadził ich biegiem. Grant trzymał Jane za rękę, aby upewnić się, że nadażą za nimi. Pomyślała przelotnie o pistolecie tkwiącym w bucie, ale ominęli wszystkie punkty kontrolne. Grant niewątpliwie miał spore znajomości, pomyślała z podziwem.

Jet rzeczywiście czekał, a uśmiechnięta stewardesa powitała ich na pokładzie tak spokojnie, jakby w nich nie było nic niezwykłego. Jane zachciało się znowu zachichotać; może nie wyglądali tak dziwaczne, jak jej się wydawało. Zresztą, odzież kamuflująca w Stanach była teraz ostatnim krzykiem mody. Więc co z tego, że Grant ma niemal czarne oko, podpuchnięte wargi i bandaż na ramieniu? Może wyglądali jak ci dziennikarze, którzy byli na polu walki.

Samolot ruszył, gdy tylko usiedli. Kiedy zapięli pasy, wymienili spojrzenia. Teraz to był już naprawdę i nieodwołanie koniec, ale wciąż mieli jeszcze trochę czasu razem. Następnym przystankiem była Mexico City, ogromne międzynarodowe miasto ze sklepami, restauracjami... i hotelami. Jej ciało tęskniło za łóżkiem, ale jeszcze mocniej niż znużenie działała mrowiąca świadomość, że Grant będzie w tym łóżku razem z nią. Podniósł podłokietnik pomiędzy ich miejscami i pociągnął ją na tak, że jej głowa ułożyła się w zagłębieniu jego ramienia. - Już wkrótce - mruknął jej do ucha. - Za kilka godzin będziemy w Mexico City. Będziesz w domu, wolna.

- Mam zamiar zadzwonić do taty tak szybko, jak się tam dostaniemy, żeby on i mama przestali się martwić. - Jane westchnęła. - A czy ty masz do kogo zadzwonić? Czy twoja rodzina wie, gdzie jesteś?

Jego oczy automatycznie przybrały ten jego wygląd. - Nie, oni nie

wiedzą nic na temat tego, co robię. Nie jestem blisko z rodziną, już nie.

To było smutne, ale Jane przypuszczała, że gdy ktoś był tak jak Grant, w tym biznesie, to dla jego rodziny bezpieczniejsze było nie być blisko z nim. Wtuliła twarz w jego szyję i zamknęła oczy, przywierając ściśle do niego i starając się dać mu znać, że nie jest już sam. Czy ona spędzała swoje noce jak ona, leżąc w łóżku i nie śpiąc, tak boleśnie sam, że każdy nerw w jego ciele wołał przeciwko temu?

Zasnęła, i Grant zrobił to samo, wyczerpanie wreszcie wygrało i pozwolił swojemu posiniaczonemu ciału się rozluźnić. Z nią w swoich ramionach, łatwo znajdował potrzebne odprężenie. Przytulała się do niego, jak ufnie dziecko, ale nigdy nie zapominała, że była kobietą, tak zaciętą i pierwotną, jak wiatr czy ogień. Mogła być zepsutą paniusią, jakiej się spodziewał. Tak powinno być, i nikt by nie pomyślał o niej, że jest więcej niż produktem swojego środowiska - nikt nie spodziewałby się po niej więcej. Ale ona przerosła wszystkie oczekiwania i ponad wyniszczającą traumą dzieciństwa, stała kobietą pełną siły, humoru i pasji.

Była kobietą, w której ramionach mógł spać ostrożny, poobijany i wypalony wojownik.

Niebo zaróżowiło się perłowo o świcie, kiedy wylądowali w Mexico City. Terminal tętnił ludźmi próbującymi złapać wczesne loty, wiele języków i akcentów mieszało się w powietrzu. Grant zatrzymał taksówkę, która zabrała ich w jeżącą włosy na karku przejażdżkę przez korki, która w każdym momencie wyglądała jak szkoła przetrwania – albo może włosy na karku Jane jeżyły się bo miała siłę się martwić. Po tym, co przeszła, korki w Mexico City wyglądały przyziemne.

Miasto o świcie wyglądało pięknie, z szerokimi alejami, pachnącymi drzewami; i bielą budynków jaśniejących rosą w porannych promieniach słońca. Niebo nad głową było już intensywnie niebieskie, a w powietrzu było czuć aksamit, typowy dla cieplejszego klimatu. Mimo zapachu spalin mogła poczuć słodycz kwiatów pomarańczy, a Grant siedział ciepły obok niej, jego silne nogi przyciskały się do jej nóg.

Recepcjonista w dziewiczo białym, wielopiętrowym hotelu, nie był chętny dać im pokoju bez rezerwacji. Jego czarne oczy nieustająco wędrowały po posiniaczonej twarzy Granta kiedy tłumaczył coś szybko

i ognisćie po hiszpańsku. Grant wzruszył ramionami, sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka banknotów ze zwitka. Recepcjonista uśmiechnął się nagle; to wszystko zmieniało. Grant zameldował ich i recepcjonista podał mu klucz. Po zrobieniu kilku kroków, Grant odwrócił się. - Przy okazji, - powiedział niedbale, - Nie chcę żeby mi ktokolwiek przeszkadzał. Jeśli ktoś zadzwoni albo zapyta, nie ma nas tutaj. Comprende? Jestem śmiertelnie zmęczony, a robię się rozdrażniony jeśli ktoś przerywa mi zdrowy sen.

Jego głos był pełen grozy, jedwabisty, leniwy i urzędnik skinął szybko.

Z ręką Granta wokół ramion Jane, poszli do windy. Wcisnął przycisk dziewiętnastego piętra, i drzwi zasunęły się cicho. Jane powiedziała oszołomiona. - Jesteśmy bezpieczni.

- Masz problem, żeby w to uwierzyć?

- Zamierzam dostać tego człowieka. Nie uda mu się wykręcić!

- Na pewno nie, - wycedził Grant. - Zajmą się nim, przez dojścia.

- Nie chcę "dojść", aby się nim zajęły! Chcę to zrobić sama!

Uśmiechnął się do niej. - Jesteś małą krwiożerczą dziewczuchą, nie?

I mógłbym sobie pomyśleć, że się tym rokoszujesz.

- Tylko w części, - odpowiedziała, posyłając mu powolny uśmiech.

Ich pokój był przestronny, z tarasem, na którym można było się opalać, osobnym salon ze stołem jadalnym oraz oszałamiająco nowoczesną łazienką. Jane wsadziła tam głowę i cofnęła się z niebiańskim uśmiechem na twarzy. - Wszystkie nowoczesne udogodnienia, - zapiąła.

Grant studiował pozycje menu, żeby coś zamówić u obsługi. Podniósł słuchawkę telefonu, zamówił dwa ogromne śniadania i usta Jane rozchyliły się szeroko na tę myśl. Minęło prawie dwadzieścia cztery godziny odkąd jadła.

Podczas gdy czekali na jedzenie, Jane zatelefonowała do Connecticut. Przełączanie trwało około pięciu minut, i Jane czekała ściskając mocno słuchawkę, napięta z potrzeby usłyszenia głosów rodziców.

- Mamusia? Mamo, tu Jane! Nic mi nie jest! - nie płacz, nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy płaczesz, - powiedziała Jane i otarła kilka łez. - Daj tatusia do telefonu, żebym mogła mu powiedzieć, co się dzieje. Pobeczmy sobie razem, jak tylko wrócę do domu, obiecuję. - Czekała chwilę, uśmiechając się tajemniczo do Granta, jej ciemne oczy były wilgotne.

- Jane? Czy to naprawdę ty? - Głos ojca rozległ się w słuchawce.

- Tak, to naprawdę ja. Jestem w Mexico City. Grant mnie wydostał; właśnie przylecieliśmy kilka minut temu.

Jej ojciec wydał zdławiony dźwięk, i Jane zdała sobie sprawę, że płakał, ale opanował się. - No i co teraz? - domagał się odpowiedzi. - Kiedy tu będziesz? Gdzie masz zamiar stamtąd jechać?

- Nie wiem, - powiedziała, unosząc brwi, kiedy Grant odebrał jej słuchawkę od ucha. - Gdzie jedziemy dalej?

Wziął od niej telefon. - Mówi Sullivan. Prawdopodobnie zostaniemy tutaj kilka dni, załatwiając niektóre formalności i prostując sprawy. Przyjechaliśmy tutaj bez paszportów i pomijając ich kontrolę, więc będę musiał wykonać kilka telefonów, zanim będziemy mogli dostać się do Stanów. Tak, jesteśmy w porządku. Dam ci znać, jak tylko się czegoś dowiem.

Kiedy odłożył słuchawkę, odwrócił się i znalazł Jane mierzącą go z zaciśniętymi ustami. - Jak dostaliśmy się tutaj bez kontroli paszportów?

- Kilka osób odwróciło głowy, to wszystko. Wiedzieli, że musimy przejść. Zgłoszę nasze paszporty jako zagubione, i uzyskam duplikaty z ambasady amerykańskiej. Nic wielkiego.

- Jak udało ci się ustawić wszystko tak szybko? Wiem, że to nie był twój pierwotny plan.

- Nie, ale mieliśmy trochę pomocy od środka. - Sabin był tak dobry, jak jego słowa, pomyślał Grant. Były tam wszystkie stare kontakty i wszyscy zostali powiadomieni, żeby dać mu to, co potrzebował.

- Twoi... dawni współpracownicy? - Jane zaryzykowała domysł.

- Im mniej wiesz, tym lepiej. Cholernie szybko się pozbierałaś. Podobnie jak z okablowaniem w ciężarówce. Czy kiedykolwiek wcześniej to robiłaś?

- Nie, ale patrzyłam jak ty to robisz po raz pierwszy, - wyjaśniła, jej oczy były pełne niewinności.

Mruknął. - Nie trać czasu, posyłając mi to niewinne, szeroko otwarte spojrzenie.

Rozległo się pukanie do drzwi i śpiewny głos poinformował, że obsługa uwinęła się w rekordowym czasie. Grant sprawdził przez wizjer, a następnie otworzył drzwi i wpuścił młodego chłopaka. Aromat gorącej

kawy wypełnił pokój, i Jane napłynęła ślina do ust. Pochyliła się nad chłopcem, kiedy ustawiał na stole jedzenie.

- Spójrz na to, - zanuciła. - Świeże pomarańcze i melon. Tost. Morele duńskie. Jaja. Masło. Prawdziwa kawa!

- Masz ślinotok, - dokuczał jej Grant, wręczając chłopcu hojny napiwek, ale był tak wygłodniały, że oboje rzucili się na zastawiony jedzeniem stół. Kiedy już każdy okrucuch zniknął a dzbanek kawy był pusty, spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

- Znowu poczułam się prawie jak człowiek, - westchnęła Jane. - A teraz gorący prysznic!

Zaczęła rozwiązywać buty, ściągając je i wzdychając z ulgą, kiedy poruszyła palcami. Spoglądając na niego, zauważyła, że przygląda się jej z tym krzywym uśmiechem, który tak bardzo kochała. Jej serce fiknęło i zabiło w pół rytmu. - Nie idziesz pod prysznic ze mną? - zapytała niewinnie, kierując się do łazienki.

Była już pod cudownie ciepłymi strumieniami wody, z głową odchyłoną w taki sposób, że woda uderzała ją bezpośrednio w twarz, kiedy drzwi od prysznica rozsunęły się i Grant dołączył do niej. Odwróciła się, wycierając wodę z oczu, z gotowym uśmiechem na ustach, ale uśmiech zgasł, gdy zobaczyła cętkowane siniaki na klatce piersiowej i brzuchu. - Och, Grant, - szepnęła, przebiegając lekko palcami ciemne, brzydkie plamy. - Tak mi przykro.

Posłał jej pytające spojrzenie. Był obolały i sztywny, ale nie miał nic złamanego, a siniaki znikną. Wiele razy cierpiał znacznie gorzej niż teraz. Oczywiście, gdyby Turego był w stanie kontynuować bicie jak zamierzał, Grant wiedział, że prawdopodobnie umarłby od obrażeń wewnętrznych. Ale tak się nie stało, więc nie martwił się o to. Chwycił jej podbródek, i odwrócił twarz do siebie. - Oboje jesteśmy pokryci siniakami, kochanie, w przypadku, gdybyś nie zauważyła. Czuję się dobrze. - Przykrył jej usta, smakując słodycz swoim językiem, przyciągając ją do siebie.

Ich mokre, nagie ciała wspaniale ocierały się o siebie, ogrzewając i zwiększając pożądanie. Raczej nudny proces namydlenia i płukania stał się sesją głaskania, jej ręce ślizgały się nad jego mięśniami i intrygującą twardością jego ciała, jego głaskały jej miękkie krzywizny, krągłości

i kuszące głębie. Uniósł ją z nóg i przechylił przez swoje ramię, całując piersi i ssąc jej sutki, aż stały się twarde i zaczerwienione, smakując świeżość namydlonej skóry i słodycz jej ciała, której mydło nie było w stanie ukryć. Jane wiała się przy nim, owijając jego nogi swoimi, i gorączka zamglila mu umysł kiedy rzucił się do jej łona.

Jane go pragnęła, jego, właśnie jego. Jej ciało bolało i płonęło. Łóżko nagle było zbyt daleko. Rozchyliła nogi, uniosła i owinęła wokół jego bioder a Grant z chrapliwym krzykiem przyszpilił ją do ściany. Zadrżała, kiedy w nią wszedł, dostając się tak głęboko, jak mógł jednym, mocnym pchnięciem, tak jakby jakikolwiek dystans między nimi był dla niego zbyt duży. Zanurzając palce w jej włosy, odciągnął głowę i pocałował ją głęboko, jego usta były dzikie i surowe, jego język splótł się z jej językiem, woda uderzała w nich strumieniem. Moc jego pchnięć pozbawiła jej świadomości, ale tuliła się do niego, płacząc i prosząc, żeby nie przestawał. Nie mógł się zatrzymać, nie mógł nawet zwolnić, jego ciało żądało uwolnienia wewnątrz niej. Czerwona mgła przesłaniająca mu myśli zablokowała wszystko, poza gorącą ekstazą z jaką jej ciało okrywało go, tak miękko, tak ciasno.

Krzyknęła znów i znów, kiedy fale przyjemności, prawie nie do zniesienia, rozbiły się wokół niej. Przytuliła się mocno do jego ramion, trzęsąc się i drżąc, a aksamitna obręcz jej ciała doprowadziła go na krawędź. Rozlał się w niej, falując i czując, że niemal umiera, a jednak tak intensywnie żyje, że prawie krzyczał przez ten konflikt.

Ledwo udało im się dotrzeć do łóżka. Osuszenie zabrało całą ich energię, i Jane była tak słaba, że ledwo mogła chodzić. Każdy mięsień wielkiego ciała Granta trząsał się z wysiłku. Zwalili się na łóżko, nie troszcząc się, że ich mokre włosy moczą poduszki.

Grant wyciągnął do niej rękę. - Właż tutaj, - zagrzmiał, ciągnąc ją na siebie. Czując błogość, zamknęła oczy, i starała się wygodnie ułożyć na wielkiej przestrzeni jego klatki piersiowej. Poprawił jej nogi, rozsuwając je, a jej rzęsy zatrzepotały, kiedy spoczął w niej. Pomruk przyjemności uciekł z jej ust, ale była tak senna, zmęczona... - Teraz możemy spać, - powiedział, przesuwając ustami po jej włosach.

Kiedy się obudzili, w pokoju było gorąco, meksykańskie słońce

podpiekało przez zasunięte zasłony. Ich skóra była sklejoną od potu i wydała mokry, ssący dźwięk, kiedy Grant zdjął ją z siebie. Wstał i włączył klimatyzację na pełną parę, potem stał przez chwilę a zimne powietrze uderzało w jego nagie ciało. Następnie wrócił do łóżka i odwrócił ją na plecy.

Przez cały dzień nie wychodzili z łóżka. Kochali się, drzemali i budzili by znowu się kochać. Nie mogła się nim nacieszyć, i wydawało się, że on ją także nie. Teraz ich miłość nie odznaczała się poczuciem pilności, tylko głęboką niechęcią odrywania się od siebie. Odkrył przed nią nieograniczone rejony jej własnej zmysłowości, smakując ją całą, kochając się z nią ustami aż drżała i trzęsa się z rozkoszy, bezmyślna i bezradna. Mówiła mu, że go kocha. Nie mogła już utrzymać tych słów niewypowiedzianych, nie teraz, kiedy już to wyznała i kiedy wkrótce świat wtrąci się między nich ponownie.

Nadeszła noc, i wreszcie opuścili pokój. Spacerowali trzymając się za ręce w ciepłej meksykańskiej nocy i oglądali kilka sklepów, które były otwarte do późna. Jane kupiła różową sukienkę, która podkreślała jej opaloną na miodowo skórę, parę sandałów i nową bieliznę. Grant nie przepadał za zakupami, więc niefrasobliwie wybrał džinsy, mokasyny i białą koszulkę polo dla siebie. - Równie dobrze możesz się przebrać, - poleciła, popychając go w stronę przymierzalni. - Dzisiaj wieczorem wyjdziemy coś zjeść.

Nie miał to nic do powiedzenia. Dopiero kiedy siedział naprzeciwko niej w słabo oświetlonej restauracji, z butelką wina na stole, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od lat, spotkał się z kobietą w całkowicie towarzyskich celach. Nie mieli nic do roboty, poza jedzeniem i rozmową, piciem wina, i myśleniem o tym, co będą robić, kiedy wrócą do hotelu. Nawet po tym, jak przeszedł na emeryturę, siedział tylko na farmie, czasem nawet przez tydzień nie widząc innego człowieka. Kiedy musiał kupić jedzenie w mieście, jechał prosto tam i wracał nie odzywając się do nikogo. Nie był w stanie ścierpieć nikogo obok siebie. Ale teraz był zrelaksowany, i nie myślał nawet o otaczających go obcych, akceptując ich obecność, ale nie zauważając, bo jego umysł i zmysły skupione były na Jane.

Była promienna, emanując energią niczym żarówka. Jej ciemne oczy

błyszczą; jej opalona skóra promieniowała; jej śmiech migotał. Piersi przylegały ściśle do sukienki, jej sutki sterczały przez chłód restauracji i ponownie zaczęły się w nim budzić pragnienia. Nie mieli dla siebie zbyt dużo czasu; wkrótce wrócą do Stanów, a jego praca zostanie zakończona. To działo się zbyt szybko, aż za bardzo. Nie nasycił się jeszcze jej smakiem, dziką słodyczą jej ciała pod nim, lub sposobem w jaki jej śmiech łagodził jakoś wszystkie węzły napięcia wewnątrz niego.

Wrócili do hotelu i z powrotem do łóżka. Kochał się z nią wściekle, próbując zaspokoić siebie, starając się gromadzić jak najwięcej wspomnień, które będą trzymać go podczas długich, pustych lat. Bycie samym było jego głęboko zakorzenionym nawykiem; pragnął jej, ale nie mógł sobie wyobrazić, że zabiera ją do siebie na farmę, a nie było sposobu, żeby on mógł dopasować się do jej świata. Lubiła być otoczona ludźmi, podczas gdy on czuł się bardziej komfortowo ze ścianą za plecami. Była otwarta, podczas gdy on był opanowany i skryty.

Ona też wiedziała, że to już prawie koniec. Leżąc na jego klatce piersiowej, w ciemności, owinięta wokół niego jak koc, mówiła. To był prezent, który mu dała, opowieści o swoim dzieciństwie, gdzie chodziła do szkoły, co lubi jeść, jakiej muzyki słuchać i co czytać. Dlatego, że mówiła, łatwo było się zrewanżować, niskim i zardzewiałym głosem, opowiedział jej o białowłosym chłopcu, którym był, ze skórą spaloną na ciemno przez gorące, południowe lato w Georgii, szalejącym na bagnach. Nauczył się polować i łowić ryby prawie tak szybko, jak chodzić. Opowiedział jej o grze w piłkę nożną w szkole średniej, o pogoni za cheerleaderkami, o upijaniu się i rozrabianiu, a potem zakradaniu się do domu tak, żeby jego matka nie mogła go przyłapać.

Jej palce bawiły w włosami na jego klatce piersiowej, ze świadomością, że zamilkł, bo osiągnął punkt, w swojej historii, kiedy jego życie się zmieniło. Nie było już prostej opowieści o dorastaniu.

- Więc co się stało? - szepnęła.

Jego pierś unosiła się i opadała. - Stał się Wietnam. Zaciągnąłem się, gdy miałem osiemnaście lat. Byłem zbyt cholernie dobry w skradaniu się przez dżunglę, więc mnie tam wsadzili. Wróciłem do domu, raz, na R&R⁶,

⁶ Rest & Relaxation – odpoczynek i relaks – pewnie długi urlop.

i ludzie byli tacy sami jak zawsze, ale ja już w niczym nie przypominałem tego, kim byłem. Nie potrafiliśmy już nawet rozmawiać ze sobą. Więc wróciłem do wojska.

- I zostałeś w wojsku?

- Taa. Zostałem. - Jego głos był płaski.

- A jak dostałeś się do tego interesu z tajnymi agentami, czy jakkolwiek to nazywasz?

- Działania pod przykrywką. Misje wysokiego ryzyka. Wojna się skończyła, a ja wróciłem do domu, ale nie było tam nic, co mógłbym robić. Co niby miałem robić, pracować w sklepie spożywczym, kiedy byłem wyszkolony do życia na krawędzi, a tu największym wyzwaniem dla ludzi było, żeby podejść do mnie i poprosić o cenę jaj? Myślę, że w końcu bym tu osiadł, ale nie chciałem tu zostać, żeby się o tym przekonać. Zawstydziałem miejscowych, i już byłem dla nich obcym. Gdy stary kolega skontaktował się ze mną, przyjąłem jego ofertę.

- Ale teraz jesteś na emeryturze. Czy wróciłeś do Georgii?

- Tylko na kilka dni, żeby wiedzieli, że żyję. Nie mogłem się tam osiedlić;. Znało mnie zbyt wiele osób, a ja chciałem być pozostawiony sam sobie. Więc kupiłem farmę blisko gór w Tennessee, i zapadłem tam w stan hibernacji. Dopóki twój tata nie wynajął mnie, żeby sprowadzić cię do domu.

- Czy kiedykolwiek byłeś żonaty? Albo zaręczony?

- Nie, - powiedział i pocałował ją. - Wystarczy tych pytań. Idź spać.

- Grant?

- Hmm?

- Myślisz, że on naprawdę zrezygnował?

- Kto?

- Turego.

Rozbawienie zabarwiło jego głos. - Kochanie, obiecuję ci, że zajmą się nim. Nie martw się o to. Teraz, kiedy jesteś cała i zdrowa, można podjąć kroki, aby go zneutralizować.

- Używasz jakiś złowieszczo brzmiących fraz. Co oznacza „zajęcie się nim” i „neutralizacja”?

- To oznacza, że będzie musiał poświęcić trochę czasu w tych

chwalebnych więzieniach Ameryki Środkowej, o których się tyle słyszy.
Idź spać.

Posłuchała go, z ustami wygiętymi w zadowolonym uśmiech, i jego ramionami owiniętymi bezpiecznie wokół niej.

* * *

Ktoś znowu pociągnął za sznurki. To mógł być jej ojciec, albo tajemniczy "przyjaciel" Granta, który zorganizował te rzeczy, ewentualnie Grant zastraszył kogoś w ambasadzie. Ktokolwiek to był, około popołudnia mieli już paszporty. Mogli polecieć następnym lotem do Dallas, ale zamiast tego spędzili kolejną noc razem, kochając się w ogromnym łóżku i przy zablokowanych dla bezpieczeństwa drzwiach. Jane nie chciała wyjeżdżać. Tak długo, jak byli w Meksyku, mogła udawać, że to nie koniec, że praca nie została zakończona. Ale czekali na nią rodzice, a Grant miał swoje własne życie, do którego chciał wrócić. Musiała znaleźć kolejną pracę, a także zadbać o małe zadanie, które wpędziło ją w takie kłopoty. Nie było mowy o tym, że mogliby zostać w Meksyku.

Łzy wciąż paliły jej oczy, kiedy wsiadali na pokład odrzutowca, który zabierze ich do Dallas. Wiedziała, że Grant zarezerwował dla nich odrębne loty z Dallas; ona leciała do Nowego Jorku, a on do Knoxville. Powiedział, że pożegnają się na ogromnym, ruchliwym lotnisku Dallas-Fort Worth⁷, a ona nie mogła tego znieść. Jeśli nie weźmie się mocno w garść, będzie ryczeć jak dziecko, a on by tego nie chciał. Gdyby chciał więcej od niej, niż to, co już dostał, musiał by ją poprosić ją, bo to co zrobiła do tej pory było więcej niż oczywistym, że jest gotowa dać mu wszystko, co by zechciał. Ale on nie poprosił, więc jej nie chce. Wiedziała, że ten czas nadejdzie, i zaakceptowała to, podjęła ryzyko i złapała tyle szczęścia ile mogła dostać. Teraz nadszedł czas zapłaty.

Udało jej się powstrzymać łzy. Czytała magazyn lotniczy; i była nawet w stanie zrozumieć, co czyta. Przez chwilę trzymała go za rękę, ale wypuściła go, kiedy podano posiłek. Zamówiła gin z tonikiem, wypiła go a następnie zamówiła kolejny.

Grant przyglądał jej się spod zmrużonych powiek, ale posłała mu jasny, lśniący uśmiech, zdecydowana nie pozwolić mu zobaczyć, swojego

⁷ Międzynarodowy port lotniczy pomiędzy Dallas a Fort Worth

wewnętrznego drżenia.

Zbyt szybko, o wiele zbyt szybko, wylądowali w Dallas wyszli z samolotu przez przenośny tunel. Jane złapała swój brudny, zniszczony plecak, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że jego buty i mundur były w nim wraz z jej ubraniami. - Potrzebuję twój adres, - wyrzuciła szybko i nerwowo. - Żeby wysłać ci twoje ubrania. Chyba, że chcesz kupić torbę w sklepie lotniskowym, tam. Mamy mnóstwo czasu do odlotu naszych samolotów.

Spojrzał na zegarek. - Masz dwadzieścia osiem minut, więc lepiej znajdź swoją bramkę. Masz bilet?

- Tak, jest tutaj. Co z ubraniami?

- Będę w kontakcie z twoim ojcem. Nie martw się o to.

No tak, oczywiście; była przecież kwestia płatności za wydostanie jej z Kostaryki. Jego twarz była twarda i bez wyrazu, jego bursztynowe oczy zimne. Wyciągnęła rękę, nie zauważając, jak drży. - No to, do widzenia, a potem. To było.... - Urwała. Co mogła powiedzieć? Miło było cię poznać? Przełknęła. - To było zabawne.

Spojrzał na jej wyciągniętą ręką, a następnie z powrotem na nią, niedowierzanie dołączyło do chłodu jego oczu. Powiedział powoli. - Co ty do cholery opowiadasz? - złapał ją za rękę i szarpnął ją w swoje ramiona. Jego usta były gorące, obejmujące jej, jego język ruszał się powoli w jej ustach, jakby nie byli otoczeni przez dziwnie gapiących się ludzi. Przytuliła się do niego, drżąc.

Oderwał ją z dala od siebie. Jego szczeka była zaciśnięta. - Idź już. Twoi bliscy czekają na ciebie. Odezwę się w ciągu kilku dni. - To ostatnie zdanie wymknęło mu się; zamierzał przeciąć to ostatecznie, ale jej ciemne oczy były tak zagubione i pełne bólu, a ona pocałowała go tak łapczywie, że nie mógł powstrzymać tych słów. No więc będzie jeszcze jeden raz. Podaruje sobie jeszcze jedno spotkanie z nią.

Skinęła głową, biorąc się w garść. Nie chciała, się załamać i płakać przy nim. Prawie chciał, żeby płakać, bo wtedy miałby pretekst żeby przytulić ją ponownie. Ale ona okazała się silniejsza. - Żegnaj, - powiedziała, po czym odwróciła się i odeszła od niego.

Ledwo widziała, dokąd idzie; osoby rozmywały się w oczach, więc

uparcie mrugała oczami żeby powstrzymać łzy. No cóż, znowu została sama. Powiedział, że będzie w kontakcie, ale wiedziała, że tego nie zrobi. To był koniec. Musiała zaakceptować i być wdzięczna za czas, który miała. To było oczywiste od samego początku, że Grant Sullivan nie był człowiekiem, którego można do siebie przywiązać.

Ktoś dotknął jej ramienia, ciepłym i silnym dotykiem mężczyzny. Zatrzymała się, w dzikiej nadziei zrywającej się w jej piersi, ale kiedy się odwróciła zauważyła, że to nie Grant ją zatrzymał. Mężczyzna miał ciemne włosy i oczy, a jego skóra była ciemna, rysy silnie latynoskie.

- Jane Greer? - zapytał grzecznie.

Skinęła głową, zastanawiając się, skąd znał jej nazwisko i jak ją rozpoznał. Chwycił ją mocno za ramię.

- Proszę, żeby pani udała się ze mną, - powiedział, i choć jego głos pozostał uprzejmy, był to rozkaz, a nie pytanie.

Alarm przetoczył się przez nią, wyszarpując ją z żalości. Uśmiechnęła się do mężczyzny i zamachnęła się plecakiem uderzając go w bok głowy i przewracając. Patrząc, jak leży, z całkowitą pewnością, wiedziała, że dostał butami Granta.

- Grant! - krzyknęła, a jej głos poniósł się przez zgiełk tysięcy ludzi.

- Grant!

Mężczyzna podniósł się i rzucił się na nią. Jane zaczęła biec z powrotem w kierunku, skąd nadeszła, lawirując wokół ludzi. Przed sobą zauważyła Grant nadchodzącego przez tłum, jak biegł do niej, odpychając ludzi ze swojej drogi. Mężczyzna dogonił ją i złapał za rękę; zaraz potem zjawił się Grant. Ludzie krzyczeli i rozproszyli się, a w ich stronę biegli strażnicy z lotniska. Grant ściał faceta z nóg, a potem chwycił rękę Jane i pobiegł do najbliższego wyjścia, lawirując między kłębiącym się tłumem i ignorując okrzyki, żeby się zatrzymać.

- Co tu się kurwa dzieje? - ryknął, ciągnąc ją na jasne teksańskie słońce. Otoczyło ich wilgotne ciepło.

- Nie wiem, ten człowiek po prostu podszedł do mnie i zapytał, czy mam na imię Jane Greer; a potem złapał mnie za rękę i powiedział, żebym z nim poszła, więc uderzyłam go w głowę plecakiem i zaczęłam krzyczeć.

- To ma dla mnie sens, - mruknął, zatrzymując taksówkę, wsadzając Jane

do niej i wciskając się obok niej.

- Gdzie mam jechać, ludzie? - Zapytał taksówkarz.

- Do centrum.

- Jakies szczególne miejsce w centrum?

- Powiem ci, gdzie się zatrzymać.

Kierowca wzruszył ramionami. Kiedy odjeżdżali, wydawało się, że wiele osób, wylało się z terminalu, ale Jane nie oglądała się za siebie. Wciąż się trzęsła. - To nie może ponownie być Turego, czy może?

Grant wzruszył ramionami. - To jest możliwe, jeśli ma wystarczająco dużo pieniędzy. Muszę zadzwonić.

Myślała, że jest bezpieczna, że oboje są bezpieczni. Po dwóch spokojnych dniach spędzonych w Meksyku, nagły strach wydał się jej o wiele ostrzejszy i bardziej cierpki. Nie mogła przestać drżeć.

Nie dojechali do Dallas. Grant poinstruował kierowcę, żeby wysadził ich w centrum handlowym. - Dlaczego centrum handlowe? - zapytała Jane, rozglądając się dookoła.

- Tutaj są telefony, i jest bezpieczniej niż stać w budce telefonicznej na ulicy. - Objął ją ramieniem i krótko przytulił do siebie. - Nie martw się tak, kochanie.

Weszli do środka i znaleźli rządęk płatnych telefonów, ale to był pracowity dzień, i wszystkie aparaty były w użyciu. Czekali, podczas gdy nastolatka kłóciła się z matką o to, jak późno w nocy może wrócić, ale w końcu odłożyła słuchawkę i wybiegła, najwyraźniej tracąc argumenty. Grant wkroczył i zajął telefon, zanim ktokolwiek inny mógł to zrobić. Stojąc blisko niego, Jane patrzyła, jak wrzucił kilka monet, wystukał numer, a następnie wrzucił kolejnych kilka monet. Oparł się niedbale o przegrodę, która oddzielała drugi telefon, słuchając dzwonka na drugim końcu.

- Sullivan, - wycedził w końcu, kiedy ktoś odebrał telefon. - Prawie złapali ją w DFW. - Słuchał chwilę; potem jego oczy śmignęły do Jane.

- W porządku, rozumiem. Będziemy tam. Przy okazji, to był głupi ruch.

Mogła zabić tego faceta. - Rozłączył się, a wargi mu zadrżały.

- No i co? - zażądała Jane.

- Właśnie załatwiłaś agenta.

- Agenta? To znaczy, jednego z ludzi twojego przyjaciela?

- Taa. Zrobimy sobie mały objazd. Zdasz sprawozdanie. Zdecydowano, że inni ludzie cię przejmą, po tym jak się rozstaniemy, ponieważ ja nie jestem już w tym biznesie i oficjalnie mnie to nie dotyczy. Sabin musiał położyć uszy z powrotem.

- Sabin? Czy on jest twoim przyjacielem?

Uśmiechał się do niej. - To właśnie on. - Pogłodził jej kość policzkową bardzo delikatnie, opuszkami palców. - I to imię będziesz musiała zapamiętać, kochanie. Dlaczego nie zadzwonisz do rodziców i nie powiesz im, że nie przyjedziesz dziś w nocy? Może jutro; zadzwonisz ponownie, gdy będziemy coś wiedzieli.

- Ty też idziesz?

- Nie mógłbym tego przegapić. - Uśmiechnął się trochę drapieżnie, już przewidując reakcję Kella na Jane.

- Ale gdzie my w ogóle jedziemy?

- Do Virginii, ale nie mów o tym rodzicom. Powiedz im, że spóźniłaś się na lot.

Sięgnęła po telefon, a następnie przerwała. - Twój przyjaciel musi być bardzo ważny.

- Ma pewną władzę, - powiedział Grant zaniżonym głosem.

Więc musi wiedzieć o mikrofilmach. Jane wystukała numer swojej karty kredytowej. Była zadowolona, że całą sprawę będzie miała za sobą, a co najważniejsze Grant miał być z nią jeden dzień dłużej. Jeszcze tylko jeden dzień! To była ulga, ale nie wiedziała, czy znajdzie siły na kolejne pożegnanie

ROZDZIAŁ 13

Okolice Virginii wokół tego miejsca, były ciche i spokojne, drzewa zielone, krzewy kwitnące i zadbane. Wyglądało to raczej jak posiadłość ojca w Connecticut. Każdy był miły, a kilka osób powitało Granta, ale Jane zauważyła, że nawet ci, którzy z nim rozmawiali, robili to tak niepewnie, jak gdyby byli wobec niego trochę nieufni.

Biuro Kella było tam, gdzie zawsze, a drzwi nadal nie miały plakietki z nazwiskiem. Agent, który ich eskortował, zapukał cicho. - Przyjechał Sullivan, proszę pana.

- Wpuść go.

Pierwszą rzeczą, jaką Jane zauważyła był staroświecki urok pomieszczenia. Sufit był wysokie; gzyms na pewno oryginalny, powstały kiedy zbudowano ten dom ponad sto lat wcześniej. Wysokie szklane drzwi za wielkim biurkiem wpuszczały popołudniowe słońce. Sprawiały także, że sylwetka człowieka za biurkiem była, dla każdego, kto przyszedł, uwypuklona przez palące słońce, coś, o czym George jej opowiadał. Kiedy weszli, Sabin podniósł się nogi, był wysokim mężczyzną, może nie aż tak wysokim jak Grant, ale szczupły i mocny z żylastą twardością, której nie zdobył przez siedzenie za biurkiem.

Zrobił krok do przodu, aby ich powitać. - Wyglądasz jak diabeł, Sullivan, - powiedział i obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce; potem Sabin odwrócił wzrok na nią, i po raz pierwszy Jane poczuła jego siłę. Jego oczy były tak czarne, że w ogóle nie było w nich światła; jakby je pochłaniały, spychając je w głąb tęczówek. Jego włosy były gęste i czarne, cera ciemna, i emanował tak intensywną energię, że aż ją paliła.

- Pani Greer, - powiedział, wyciągając rękę.

- Pan Sabin, - odpowiedziała, spokojnie, potrząsając ręką.

- Mam bardzo zawstydzonego agenta w Dallas.

- Nie powinien taki być, - powiedział przeciągle Grant. - Przecież obeszła się z nim łagodnie.

- W plecaku były buty Granta, - wyjaśniła Jane. - To właśnie go tak bardzo oszołomiło, kiedy uderzyłam go w głowę.

To była pierwsza wskazówka w oczach Sabina, że Jane nie jest całkiem

tym, czego się spodziewał. Grant stał za nią, ze spokojnie założonymi ramionami i czekał.

Sabin ocenił jej otwartą twarz, koci kształt jej ciemnych oczu, piegi delikatnie rozsypane na policzkach. Potem szybko spojrzął na Granta, który stał za nią niczym skała gibraltarska. Mógł ją przepytwać, ale miał wrażenie, że Grant nie pozwoliłby, żeby ją nękał w jakikolwiek sposób. To nie było tak, że Sullivan się zaangażował, ale wypadł z branży, więc stare zasady nie miały zastosowania. Nie miała wielkiej urody, ale był w niej żywy urok, który sprawił że Sabin prawie chciał się uśmiechnąć. Być może, ona była blisko z Sullivanem. Sabin nie ufał tej otwartości, jednakże wiedział teraz o niej więcej, niż na początku.

- Pani Greer, - zaczął powoli, - czy pani wiedziała, że George Persall był...

- Tak, wiedziałam, - Jane przerwała wesoło. - Pomagałam mu czasami, ale nie za często, bo za każdym razem lubił używać różnych sposobów. Domyślał się, że tego pan chce. - Otworzyła plecak i zaczęła w nim kopać. - Wiem, że gdzieś tutaj jest. Mam! - Wyjęła małą rolkę filmu i położyła ją na biurku.

Obaj mężczyźni wyglądali jak rażeni piorunem.

- I cały czas miała go pani przy sobie? - zapytał Sabin z niedowierzaniem.

- Cóż, nie miałam czasu, aby go ukryć. Czasami umieszczałam go w kieszeni. W ten sposób Turego mógł przeszukiwać mój pokój ile razy chciał, ale nigdy niczego nie znalazł. Wy wszyscy szpiedzy robicie wszystko zbyt skomplikowane. George zawsze mi powtarzał, żebym wszystko upraszczała.

Grant zaczął chichotać. Nie mógł nic na to poradzić; to było zabawne.

- Jane, dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz mikrofilm?

- Myślałem, że będzie dla ciebie bezpieczniej, jeśli nie będziesz o nim wiedział.

I znowu Sabin spojrzął oszołomiony, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś rzeczywiście czuje potrzebę ochrony Granta Sullivana. Jak zwykle Kell był najbardziej niewzruszonym mężczyzną, ale Grant wiedział, że Jane wytrąciła go z równowagi, tak jak robiła to ze wszystkimi, których

poznawała. Sabin zakaszał, żeby pokryć swoją reakcję.

- Pani Greer, - zapytał ostrożnie: - Czy pani wie, co jest na tym filmie?

- Nie. George też nie wiedział.

Grant znowu zaczął się śmiać. - No dalej, - powiedział do Sabina.

- Powiedz jej o tym filmie. Albo, jeszcze lepiej, pokaż jej. Na pewno się ucieszy.

Sabin pokręcił głową, po czym podniósł film, wyciągnął go i rozwinął. Grant wyciągnął swoją zapalniczkę, pochylił się do przodu i ustawił płomień pod końcówką filmu. We troje patrzyli, jak płomień powoli pożera celuloid na całej długości aż dotarły blisko palców Sabina, który wrzucił go do dużej popielniczki. - Film, - wyjaśniał Sabin, - to kopia czegoś o czym nie chcemy, że ktokolwiek wiedział. Wszystko, czego chcieliśmy, to zniszczyć go, zanim ktokolwiek go zobaczy.

Ze smrodem płonącego plastiku w nozdrzach, Jane w milczeniu obserwowała, jak ostatnie kawałki rolki filmowej topią się i kruszą. Wszystko co chcieli, to go zniszczyć, a ona ciągnęła go przez dżunglę i przez pół kontynentu – po to, żeby po prostu oddać go i patrzeć jak płonie. Jej usta drgnęły; bała się, że robi z siebie widowisko, więc starała się kontrolować. Ale to było nie do zrobienia; spojrzała w górę, i z ust uciekł jej chichot. Odwróciła się, patrząc na Granta, a między nimi błysnęła pamięć wszystkiego, przez co przeszli. Znów zachichotała, a kiedy on też zaczął się śmiać, Jane uwiesiła się na jego koszuli, bo śmiała się tak mocno, że ugięły się pod nią kolana.

- Spadłam z urwiska, - jęknęła. - Ukradliśmy ciężarówkę... inną ostrzelaliśmy...! Złamałam Turego nos... i to wszystko, żeby zobaczyć jak to płonie!

Grant dostał kolejnego spazmu śmiechu, trzymając się za obolałe żebra i zginając się w pół. Sabin patrzył, jak opierają się o siebie, śmiejąc się głośno. Chwyciła go ciekawość. - Dlaczego strzelaliście do ciężarówki? - zapytał; ale nagle sam zaczął się śmiać.

Agent zatrzymał się przed drzwiami biura, z głową przechyloną, słuchając uważnie. Nie, to niemożliwe. Sabin nigdy się nie śmiał.

* * *

Leżeli w łóżku w hotelu gdzieś w centrum Waszyngtonu, przyjemnie

zmęczeni. Kochali się, jak tylko zamknęli za sobą drzwi, padając na łóżko i usuwając tylko niezbędną odzież. Ale to było godziny temu, i teraz byli zupełnie nadzy, zapadając stopniowo w sen.

Grant przejeżdżał ręką w górę i w dół jej pleców, kreśląc leniwe wzory.

- Jak bardzo byłaś zaangażowana w działalność Persalla?

- Nie bardzo, - mruknęła. - Och, wiedziałem o niej. Musiałam wiedzieć, żebym mogła go kryć, gdyby zaszła taka potrzeba. Czasami używał mnie jako kuriera, ale niezbyt często. Jednak dużo mi mówił, opowiadał różne rzeczy. Był dziwnym, samotnym człowiekiem.

- Czy on był twoim kochankiem?

Podniosła głowę z jego klatki piersiowej w zaskoczeniu. - George?

Oczywiście, że nie!

- Dlaczego "oczywiście, że nie"? Był mężczyzną, prawda? I był w twojej sypialni, kiedy umarł.

Przerwała. - George miał pewien problem - medyczny. On nie był zdolny do bycia czyimś kochankiem.

- Więc ta część raportu była nieprawdziwa.

- Celowo. Używał mnie jako swego rodzaju tarczę.

Włożył dłoń w jej włosy i trzymał podczas pocałunku. - Cieszę się. Był dla ciebie za stary.

Jane obserwowała go mądrymi, ciemnymi oczami. - Nawet gdyby nie był, nie byłam zainteresowana. Równie dobrze mogę ci powiedzieć, że jesteś jedynym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miałam. Dopóki cię nie poznałam, nigdy... nikogo nie chciałam.

- A kiedy mnie poznałaś...? - mruknął.

- To cię zapragnęłam. - Opuściła głowę i pocałowała go, owijając ramiona wokół niego i ocierając się o niego, aż poczuła jego reakcję.

- Ja ciebie też zapragnąłem, - powiedział, jego słowa były jedynie tchnieniem na jej skórze.

- Kocham cię. - Słowa były krzykiem bólu, uruchomionym przez desperację, bo wiedziała, że to na pewno ostatni, chyba że zaryzykuje.

- Ożenisz się ze mną?

- Jane, proszę, nie rób tego.

- Nie robić czego? Nie mówić, że cię kocham? Czy prosić, żebyś się ze

mną ożenił? - Usiadła, przesuwając nogi, siadając na nim okrakiem i odrzucając ciemne włosy za ramiona.

- Nie możemy żyć razem, - wyjaśnił, a jego oczy zmieniły się w ciemne złoto. - Nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz, i będziesz nieszczęśliwa.

- I tak będę nieszczęśliwa, - powiedziała rozsądnie, przybierając lekki ton. - Wolę być nieszczęśliwą z tobą niż nieszczęśliwą bez ciebie.

- Jestem samotnikiem. Małżeństwo to partnerstwo a ja wolę być sam. Pogódź się z tym, kochanie. Jest nam w łóżku razem dobrze, ale to wszystko, co będziemy mieli.

- Może dla ciebie. Kocham cię. - Wbrew sobie, nie udało jej się ukryć echa bólu z głosu.

- Jesteś pewna? Przeżyliśmy razem stresującą sytuację. To naturalne, że zbliżyliśmy się do siebie. Byłbym zdziwiony, gdybyśmy nie poszli do łóżka.

- Proszę, oszczędź mi swojej psychologii walki! Nie jestem dzieckiem ani głupkiem! Wiem, kiedy kogoś kocham, i, do cholery, kocham ciebie! Nie musi ci się to podobać, ale nie próbuj zabraniać mówić mi o tym!

- Dobrze. - Leżał na plecach, patrząc w jej gniewne oczy. - Czy chcesz, żebym zamówił sobie inny pokój?

- Nie, to nasza ostatnia noc razem i spędzimy ją razem.

- Nawet jeśli byśmy walczyli ze sobą?

- A dlaczego nie? - odważyła się powiedzieć.

- Nie chcę z tobą walczyć, - powiedział, rzucając się i przekręcając. Jane znalazła się na plecach, mrugając na niego ze zdziwieniem. Powoli, wszedł w nią, unosząc jej nogi wysoko. Zamknęła oczy, czując przechodzące przez nią emocje. Miał rację; lepiej spędzą czas kochając się ze sobą.

Nie spróbowała ponownie go przekonywać, że mają przed sobą przyszłość. Wiedziała z doświadczenia, jak trudno było nim kierować; sam będzie musiał to zrozumieć. Więc spędziła czas kochając się z nim, starając się upewnić, że nigdy jej nie zapomni, i że żadna inna kobieta nie da mu tyle przyjemności co ona. To będzie jej pożegnanie.

Późno w nocy, położyła się na nim. - Boisz się, - oskarżyła go cicho.

- Widziałeś wiele, więc boisz się pozwolić sobie kochać kogokolwiek, bo wiesz, jak łatwo można świat może ci to odebrać.

Jego głos był zmęczony. - Jane, tak musi być.

- W porządku. To moja ostatnie słowo, za wyjątkiem tego: jeśli zdecydujesz się zaryzykować, przyjdź do mnie.

Wstała z łóżka wcześniej rano i zostawiła go, kiedy spał. Wiedziała, że miał za lekki sen, żeby się nie obudzić, że obudził się podczas, gdy brała prysznic, lub podczas kiedy się ubierała, ale nie odwrócił się lub w jakikolwiek inny sposób pokazał, że nie śpi, więc zachowała te pozory między im. Bez żadnego pocałunku, wyslizgnęła się za drzwi. Zresztą, oni już się pożegnali.

Na odgłos zamykanych drzwi Grant przewrócił się na łóżku, i miał ponure oczy, kiedy patrzył na pusty pokój.

* * *

Jane i jej rodzice wpadli sobie w ramiona, śmiejąc się, płacząc i tuląc wylewnie. Jej powrót dał okazję do rodzinnej uroczystości, która trwała godzinami, więc było już późno w nocy kiedy została z ojcem sam na sam. Jane miała kilka sekretów przed swoim ojcem; on był zbyt sprytny, zbyt pragmatyczny. Na podstawie cichej, instynktownej umowy, trzymali matkę z daleka od rzeczy, które mogły ją zdenerwować, ale Jane była taka jak jej ojciec, i miała wewnętrzną wytrzymałość.

Opowiedziała mu o wszystkim, co przeszła w Kostaryce, nawet o wędrówce po lesie deszczowym. Ponieważ ojciec był sprytny, zwrócił uwagę na niuanse w jej głosie, kiedy wspominała Granta.

- Jesteś zakochana w Sullivanie, prawda?

Pokiwała głową, popijając lampkę wina. - Poznałeś go. Co o nim myślisz? - Odpowiedź była dla niej ważna, bo ufała ocenie charakteru Granta przez ojca.

- Pomyślałem sobie, że jest niezwykły. Jest coś w jego oczach, co jest prawie przerażające. Ale zufałem mu życiem mojej córki, jeśli coś ci to powie, i zufałbym jeszcze raz.

- Mógłbyś mieć go w rodzinie?

- Powitałbym go z otwartymi ramionami. Myślę, że może on utrzymałby cię w jednym miejscu, - powiedział James ponuro.

- Cóż, zapytałam go, czy się ze mną ożeni, ale on odwrócił się ode mnie. Mam zamiar dać mu trochę czasu, żeby to przetrawił, potem mam zamiar

walczyć nieczysto.

Jej ojciec uśmiechnął się, szybkim, wesołym uśmiechem, który jego córka odziedziczyła po nim. - Co planujesz?

- Będę ścigać tego człowieka jak nigdy przedtem nie był ścigany. Myślę, że zostanę tutaj przez tydzień lub dwa a potem jadę do Europy.

- Ale on nie jest w Europie!

- Wiem. Będę go ścigać z daleka. Pomysł jest taki, żeby dowiedział się, jak bardzo za mną tęskni, i będzie tęsknił jeszcze bardziej, gdy dowie się, jak daleko jestem.

- Ale jak on się tego dowie?

- Zaaranżuję to jakoś. A nawet jeśli to nie zadziała, to i tak podróż do Europy nie będzie stratą!

* * *

To było dziwne, jak bardzo za nią tęsknił. Nigdy nie była na jego farmie, ale czasami wydawało mu się, że ona jest przez nią nawiedzana. Wydawało mu się, że słyszał jak coś mówi i obracał się, by przekonać się, że jej tam nie ma. A w nocy... Chryste, noce były okropne! Nie mógł spać, brakowało mu jej miękkiego ciała rozwalonego na nim.

Próbował zatracić się w ciężkiej pracy fizycznej. Prace gromadziły się na farmie szybko, a jego nie było przez dwa tygodnie.

Za pieniądze, które dostał za znalezienie Jane, był w stanie spłacić dług za farmę i wciąż wiele mu zostało, więc mógł wynająć kogoś do pracy. Ale praca, była dla niego terapią na początku, kiedy przybył tu wciąż osłabiony z powodu ran, i tak mocno spięty, że spadająca w nocy szyszka wystarczyła, żeby zrywał się z łóżka, sięgając po nóż.

Pracował więc w słońcu, wykonując katorżniczą pracę, wykopując nowe otwory na słupki ogrodzeniowe, stawiając nowe odcinki ogrodzenia, łatając i malując stodołę. Wymienił dach, pracował na starym ciągniku, który kupił z farmą; i myślał o zasadzeniu czegoś więcej na wiosnę przyszłego roku. Wszystko, co do tej pory zasadził to kilka warzyw dla siebie, ale jeśli miał zamiar być właścicielem farmy, to równie dobrze mógł coś uprawiać. Może nie stanie się bogatym człowiekiem, nie na wielką skalę, ale wiedział, co ma robić. Praca z ziemią dała spokój, jak gdyby łącząc go z chłopcem, którym był kiedyś, zanim wojną nie zmieniła jego życia.

W oddali majaczyły się góry, wielkie, zamglone góry, gdzie wciąż krążyły duchy Cherokee. Rozległe stoki były teraz niezamieszkane, ale wtedy, kilka wytrwałych dusz innych niż Cherokee mogły kiedykolwiek nazwać góry domem. Jane polubiłaby góry. Były stare, spowite w srebrzyste zasłony, jeden z najpotężniejszych masywów górski na Ziemi, ale trwające przez więcej lat niż ludzie mogli sobie wyobrazić. W tych górach były miejsca, gdzie zatrzymał się czas.

Góry i ta ziemia uzdrowiły go, a proces był tak stopniowy, że nie zdawał sobie sprawy, że jest uzdrowiony aż do teraz. Być może ostateczne uzdrowienie nastąpiło, gdy Jane pokazał mu, jak się znowu śmiać.

Powiedział jej, że muszą się rozstać i ona to zaakceptowała. Zostawiła go w ciszy poranka, bez słowa, bo powiedział jej, żeby sobie poszła. Kochał go; wiedział o tym. Udawał, że to było coś innego, stresujące okoliczności, które połączyły ich ze sobą, ale nawet wtedy wiedział że to coś więcej, tak jak ona.

No cóż, do diabła! Tęsknił za nią tak mocno, że aż to bolało, a jeśli to nie była miłość, to miał nadzieję, że nigdy nikogo nie kochał, bo nie sądził, że mógłby to znieść. Nie mógł się jej pozbyć ze swojego umysłu, a jej brak był bolesną pustką, której nie mógł wypełnić, ani złagodzić.

Miała rację; bał się zaryzykować, bał się, że jeśli się otworzy, to zazna więcej bólu. Ale i tak bolało. Byłby głupcem, gdyby pozwolił jej uciec.

Ale najpierw trzeba było spróbować zaleczyć stare rany i podziały.

Kochał swoich rodziców, i wiedział, że oni go kochają, ale to byli prości ludzie, żyjący blisko ziemi, a on zamienił się kogoś, kogo nie rozpoznawali. Jego siostra była ładną blondynką, zadowoloną ze swojej pracy w lokalnej bibliotece, spokojnego męża i trójki dzieci. Minęło kilka lat, odkąd widział swego bratanka i dwie siostrzenice. Kiedy zatrzymał się tam przed rokiem, by powiedzieć rodzicom, że przeszedł na emeryturę i kupił farmę w Tennessee, wszyscy czuli się tak niewygodnie, że został tam tylko przez kilka godzin, i wyszedł, nie widząc się z Rae i dziećmi.

Więc pojechał do Georgii, i stanął na wyblakłym starym ganku, pukając do drzwi domu, w którym dorastał. Jego matka podeszła do drzwi, wycierając ręce w fartuch. Było około południa; i jak zawsze, od kiedy pamiętał, gotowała dla ojca lunch. Ale w tej części kraju nie nazywano tego

lunchem; posiłek w południe był obiadem a wieczorny był kolacją.

Niespodzianka zapaliła jej miodowo-brązowe oczy, oczy, które były takie jak jego, tylko ciemniejsze. - Witaj, synu, co za niespodzianka. Dlaczego na litość boską pukasz, zamiast po prostu wejść?

- Nie chciałem dostać kulki, - powiedział szczerze.

- Wiesz, że nie pozwalałam twojemu tacie trzymać broni w domu. Jedyna broń tutaj, to stary shotgun, w stodole. Co sprawiło, że powiedziałeś coś takiego? - Odwróciła się i poszła do kuchni, a on poszedł za nią. Wszystko w starym domu było znajome, tak znajome jak jego twarz.

Opadł całym ciężarem na jedno z prostych krzesel, które stały wokół kuchennego stołu. Przy tym stole jadł jako chłopiec.

- Mamo, - powiedział powoli, - Byłem tyle razy postrzelony, że myślę, że to normalna kolej rzeczy.

Stała przez chwilę, z wygiętą głową; potem wróciła do robienia ciastka.

- Wiem, synu. Zawsze wiedzieliśmy. Ale nie wiedzieliśmy, jak się z tobą skontaktować, jak doprowadzić cię do nas ponownie. Byłeś jeszcze chłopcem, kiedy wyjechałeś, ale wróciłeś jako mężczyzna, a my nie wiedzieliśmy jak z tobą rozmawiać.

- Nie umiałem rozmawiać. Byłem jeszcze zbyt surowy, zbyt dziki. Ale farma, którą kupiłem, w Tennessee... pomogła mi.

Nie musiał nic tłumaczyć, i wiedział o tym. Grace Sullivan posiadała prostą mądrość ludzi, którzy żyli blisko ziemi. Była wiejską dziewczyną, która nigdy nie udawała, że jest kimś innym, a on kochał ją z tego powodu.

- Zostaniesz na obiad?

- Chciałbym zatrzymać się na kilka dni, jeśli nie zniszczę wam tym żadnych planów.

- Grancie Sullivan, znasz swojego tatusia i nie mamy żadnych planów by gdzieś szaleć.

Brzmiała tak samo, kiedy miał już pięć lat i potrafił brudzić ubrania tak szybko jak mu je nakładała. Przypomniawszy sobie, jak wtedy wyglądała, ciemne włosy, gładka i młoda twarz, oczy koloru złotego miodu błyskające na niego.

Zaśmiał się, bo wszystko szło coraz lepiej, a matka spojrzała na niego ze zdziwieniem. Minęło dwadzieścia lat odkąd słyszała śmiech syna. - To

dobrze, - powiedział wesoło. - Ponieważ zajmie mi trochę czasu, żeby opowiedzieć o kobiecie, którą zamierzam poślubić.

- Co ty mówisz! - Odwróciła się do niego, też się śmiejąc. - Nabierasz mnie! Czy naprawdę chcesz się ożenić? Opowiedz mi o niej!

- Mamo, pokochasz ją, - powiedział. - Ona jest szalona.

* * *

Nigdy nie myślał, że znalezienie jej będzie takie trudne. Jakoś wydawało mu się, że to będzie tak proste, jak telefon do jej ojca i uzyskiwanie od niego jej adresu, ale powinien się domyśleć, że tak nie będzie. Z Jane, nic nigdy nie było takie jakie być powinno.

Na początek, zajęło mu trzy dni, aby skontaktować się z jej ojcem. Najwyraźniej jej rodzice byli poza miastem, i gospodyni albo nie wiedziała, gdzie jest Jane, albo ktoś jej kazał, żeby nie podawać żadnych informacji. Biorąc pod uwagę okoliczności, pomyślał, że prawdopodobne jest to ostatnie. Więc powstrzymywał się przez trzy dni, aż w końcu udało mu się porozmawiać z jej ojcem, ale nie było o wiele lepiej.

- Ona jest w Europie, - wyjaśnił James dość łatwo. - Została tu około tygodnie, a potem wystartowała ponownie.

Grant czuł, jakby był przeklęty. - Gdzie w Europie?

- Nie wiem. Była dość tajemnicza. Znasz, Jane.

Tego się właśnie obawiał. - Czy ona dzwoniła do pana?

- Tak, kilka razy.

- Panie Hamilton, muszę z nią porozmawiać. Gdy zadzwoni jeszcze raz, proszę dowiedzieć się, gdzie jest i powiedzieć jej, żeby się nie ruszała, dopóki się z nią nie skontaktuje?

- To może potrwać kilka tygodni. Jane nie dzwoni regularnie. Ale jeśli to pilne, możesz znać kogoś, kto dokładnie wie, gdzie ona jest. Ona wspomniała, że rozmawiała z twoim przyjacielem... chwilę, jak on się nazywał?

- Sabin, - podpowiedział Grant, zgrzytając zębami z wściekłości.

- Tak, to on. Sabin. Dlaczego nie zadzwonisz do niego? Zaoszczędzisz sporo czasu.

Grant nie zamierzał dzwonić do Kella; chciał zobaczyć się z nim twarzą w twarz i udusić go. Niech go szlag! Jeśli zwerbował Jane do szarej sieci...!

Stracił czas i pieniądze goniąc za nią przez cały kraj, i jego złość osiągnęła punkt krytyczny, kiedy dotarł do Virginii. Nie miał przepustki, aby przejść, więc zadzwonił bezpośrednio do Kella. - Tu Sullivan. Daj mi przepustkę. Będę u ciebie za pięć minut.

- Grant...

Grant odłożył słuchawkę, nie chcąc słuchać go przez telefon.

Dziesięć minut później stał już pochylony nad biurkiem Kella. - Gdzie ona jest?

- W Monte Carlo.

- Cholera!" wrzasnął, waląc pięścią w biurko. - Jak mogłeś ją w to wciągnąć?

- Ja jej nie wciągnąłem, - powiedział Kell chłodno, a jego ciemne oczy były czujne. - Sama do mnie zadzwoniła. Powiedziała, że zauważyła coś śmiesznego i pomyślała, że chciałbym to wiedzieć. Miała rację; byłem bardzo zainteresowany.

- Jak mogła do ciebie zadzwonić? Twój numer właściwie nie istnieje.

- Zapytałem ją o to samo. Wydaje mi się, że stała obok ciebie, kiedy dzwoniłeś do mnie z Dallas.

Grant przeklął, przecierając oczy. - Powinienem był wiedzieć. Powinienem się tego spodziewać po tym, jak uruchomiła kablami ciężarówkę. Przyglądała mi się kiedy to robiłem, tylko raz, a potem zrobiła to sama następnym razem.

- Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, to powiem ci, że nie pamiętała go dokładnie. Zapamiętała cyfry, ale nie odpowiedniej kolejności. Powiedziała mi, że to była piąta próba.

- Och, do diabła. W jaką sytuację się wplątała?

- W dość wybuchową. Natknęła się na wysokiej jakości fałszerza monet. Facet ma kilka wysokiej jakości pozłacanych funtów, franków i kilka naszych dolarów. Znalazł nabywcę i zawiera transakcję. Niektórzy z naszych towarzyszy, są tym bardzo zainteresowani.

- Mogę to sobie wyobrazić. Tylko co ona myśli, że może zrobić?

- Ona będzie próbować ukraść te monety.

Grant zrobił się biały. - A ty jej na to pozwoliłeś?

- Cholera, Grant! - Kell eksplodował. - To nie jest kwestia pozwolenia jej

i ty to wiesz! Problemem jest zatrzymanie jej bez niepokojenia faceta tak, żeby nie zapadł się głęboko pod ziemię, że nie będzie można go znaleźć. Mam agentów, którzy chodzą wokół niej na palcach, ale facet myśli, że jest w niej zakochany, a jego nabywca posiada psy stróżujące węszące dookoła, a my po prostu nie możemy wyrwać ją bez rozdmuchania całej sprawy aż do nieba!

- Dobra, dobra. Wyciągnę ją z tego.

- W jaki sposób? - zażądał odpowiedzi Kell.

- Sam ukradnę te monety, a następnie wyszarpię ją stamtąd i cholernie się upewnię, że nigdy więcej znowu do ciebie nie zadzwoni!

- Byłbym ci za to głęboko wdzięczny, - powiedział Kell powiedział.

- Co zamierzasz z nią zrobić?

- Ożenić się z nią.

Coś zaświeciło w ciemnej twarzy Kella, a on pochylił się w fotelu, zapętłając ręce za głowę. - No cóż, niech będę przeklęty. Czy wiesz, w co się pakujesz? Ta kobieta nie myśli jak większość ludzi.

To był miły sposób określenia zachowania Jane, ale Kell nie mówił mu niczego, czego sam już by nie wiedział. W kilka chwil po jej spotkaniu, Grant zdał sobie sprawę, że Jane była trochę niekonwencjonalna. Ale on ją kochał, a ona nie mogła dostarczyć mu większych problemów na farmie.

- Taa wiem o tym. Przy okazji, jesteś zaproszony na wesele.

* * *

Jane uśmiechała się do Feliksa, a jej oczy błyszczały. Był takim zabawnym małym facetem; ona naprawdę go polubiła, mimo że był fałszerzem i planował zrobić coś, co naprawdę może zaszkodzić jej krajowi. Był drobnej budowy, z nieśmiałymi oczami i lekkim jękaniem. Uwielbiał grać, ale miał straszne szczęście; to znaczy, miał okropne szczęście dopóki Jane nie usiadała obok niego. Od tego czasu, wygrywał regularnie, i był jej oddany.

Mimo wszystko bawiła się w Monte Carlo dobrze. Grant się trochę grzebał, ale ona się nie nudziła. Jeśli nawet miała problemy ze snem, czy czasem budziła się z mokrymi policzkami, to było coś, co musiała zaakceptować. Tęskniła za nim. To tak, jakby straciła część siebie. Bez niego nie było nikogo, komu mogłaby zaufać, nikogo, w czyich ramionach

mogłaby odpocząć.

Czuła się, jakby chodziła po linie, a emocje pomogły trzymać ją z dala od depresji. Jediną rzeczą, jak ją zastanawiała było: jak długo to potrwa? Jeśli zauważy, że Felix ostatecznie zdecyduje się co do sprzedaży, będzie zmuszona do zrobienia czegoś - szybko - zanim monety dostaną się w niepowołane ręce.

Felix ponownie wygrał, jak co noc od kiedy poznał Jane. Eleganckie kasyno wrzało, a żyrandole rywalizowały z blaskiem diamentów, które były na szyjach i kapały z uszu. Mężczyźni w swoich formalnych strojach wieczorowych, kobiety w swoich sukniach i klejnotach, od niechcienia stawiający fortuny na rzut kostką lub jedną kartę, wszystko tworzyło atmosferę, która była nieporównywalna do żadnego miejsca na świecie. Jane wpasowała się tu łatwo, szczupła i pełna wdzięku w swojej czarnej jedwabnej sukience, z odsłoniętymi ramionami i gołymi plecami. Świecące kolczyki zwiślały jej na ramiona, a jej włosy były ułożone na czubku głowy w niedbałym węźle. Nie nosiła naszyjników, bransoletek, nic poza kolczykami, które dotkały błyszczącej złoto skóry.

Po drugiej stronie stołu Bruno przyglądał się im uważnie. Stał się niecierpliwy z powodu wahania Felixa, a jego niecierpliwość mogła zmusić ją do działania.

No cóż, a dlaczego nie? Czekwała naprawdę tak długo, jak tylko mogła. Jeśli Grant był zainteresowany, to powinien pokazać się teraz.

Wstała i pochyliła się, by pocałować Felix w czole. - Wracam do hotelu, - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Boli mnie głowa.

Spojrzał na nią, skonsternowany. - Czy naprawdę jesteś chora?

- To tylko ból głowy. Byłam dzisiaj zbyt długo na plaży. Nie musisz wychodzić; zostań i ciesz się z gry.

Zaczął wyglądać na spanikowanego, a ona mrugnęła do niego. - Dlaczego nie sprawdzisz, czy możesz wygrać już beze mnie? Kto wie, może to nie byłam ja.

Rozchmurzył się, biedny mały człowiek, i wrócił do gry z nowym zapalem. Jane opuściła kasyno i pospieszyła z powrotem do hotelu, idąc prosto do swojego pokoju. Zawsze zachowywała się, jakby była śledzona, bo czuła, że tak zawsze było. Bruno był bardzo podejrzliwy. Szybko zdjęła

suknię, i właśnie sięgała do szafy po ciemne spodnie i koszulę, gdy jakaś ręka zamknęła jej ustach a umięśnione ramię zacisnęło się wokół jej talii.

- Nie krzycz, - powiedział jej do ucha niski, lekko chrapliwy głos, a jej serce podskoczyło. Ręka opuściła jej usta, i Jane odwróciła się w jego ramionach, chowając twarz w jego szyi, wdychając pyszny, znany męski zapach Granta.

- Co ty tu robisz? - szepnęła.

- A jak myślisz, że co ja tu robię? - zapytał z irytacją, ale jego ręce przesuwały się po jej niemal nagim ciele, przypominając sobie wszystkie chwile. - Kiedy zabiorę cię do domu, to po prostu może spuszczyć ci lanie, którym ci groziłem kilka razy. Zabrałem cię od Turego, i jak tylko się odwróciłem, ty błyskawicznie z powrotem wpakowałaś się w kłopoty.

- Nie mam kłopotów, - warknęła.

- Nie jesteś w stanie mi tego udowodnić. Ubieraj się. Zabieramy się stąd.

- Nie mogę! Tu są podrabiane monety, które muszę wydostać. Mój pokój jest obserwowany, więc miałam zamiar wyjść przez okno i dostać się do pokoju Felixa. Mam całkiem dobry pomysł, gdzie on mógł je ukryć.

- I mówisz mi, że nie jesteś w tarapatach.

- Nie jestem! Ale naprawdę, Grant, musimy dostać te monety.

- Już je mam.

Zamrugła, Jej brązowe oczy otworzyły się szeroko. - Naprawdę? Ale... jak? To znaczy, skąd wiedziałaś – zresztą nieważne. Kell ci powiedział, prawda? Dobra, a gdzie Felix je ukrywał?

Bawiło ją to. Westchnął. - A jak myślisz, gdzie on je miał?

- Na suficie. Myślę, że wepchnął je pod kaseton na suficie i ukrył monety w środku. To tak naprawdę jedyna dobra kryjówka w pokoju, a on nie jest typem, który umieściłby je w sejfie w banku, czyli tam, gdzie ja bym ukryła.

- Nie, nie zrobiłabyś tego, - powiedział, zirytowany. - Umieściłabyś je w suficie, tak jak on to zrobił.

Uśmiechnęła się. - Ale miałam rację!

- Tak, miałaś rację. - I pewnie nigdy nie powinien jej tego powiedzieć. Obracając ją wokół, dał jej klapsa w pośladek. - Zacznij się pakować. Twój mały przyjaciel należy chyba do tych nerwowych, którzy sprawdzają swoje

kryjówki każdej nocy, zanim pójdą do łóżka, a my chcemy być już daleko przed nim.

Złapała swoje walizki i zaczęła wrzucać do nich ubrania. Grant obserwował ją, pot pojawił się na jego czole. Wyglądała jeszcze lepiej niż pamiętał, jej piersi były dojrzałe i okrągłe a nogi długie i zgrabne. Nawet jej nie pocałował. Złapał ją za ramię i obracając dookoła przyciągnął do siebie. - Tęskniłem za tobą, - powiedział i zniżył usta.

Jej reakcja była natychmiastowa. Uniosła się na palcach, przysuwając się do niego, jej ramiona owinęły się wokół jego szyi a palce zanurzyły się głęboko w jego włosach. Był u fryzjera, a ciemne blond pasemka przesuwały się przez jej palce, by powrócić na miejsce, przylegając idealnie do głowy. - Też za tobą tęskniłam, - szepnęła, gdy opuścił się na jej usta.

Jego oddech się rwał kiedy niechętnie ją wypuścił. - Dokończymy to kiedy będziemy mieli więcej czasu. Jane, mogłabyś, proszę, się ubrać?

Posłuchała bez pytania, wciągając zielone jedwabne spodnie i dopasowaną zieloną tunikę. - Gdzie jedziemy?

- Teraz? Jedziemy na plażę i oddajemy monety agentowi. Następnie złapiemy lot do Paryża, Londynu i Nowego Jorku.

- Chyba że Bruno czeka tuż za drzwiami, i zamiast tego skończymy żeglując po Morzu Śródziemnym.

- Bruno nie czeka za drzwiami. Możesz się pospieszyć?

- Jestem gotowa.

Podniósł walizki i zeszli na dół, gdzie ją wymeldował. Wszystko poszło jak z płatka. Nie było śladu Bruno, lub któregokolwiek z mężczyzn, których rozpoznawała jako "bandziory Bruna". Zwrócili monety obiecane agentowi i pojechali na lotnisko. Serce Jane waliło w powolnym, silnym, mocnym rytmie kiedy Grant wsunął się na siedzenie obok niej. - Wiesz, nigdy mi właściwie nie powiedziałaś, co tu robisz. Jesteś na emeryturze, pamiętasz? Nie powinieneś robić takich rzeczy.

- Nie udawaj niewiniątka, - poradził, rzucając jej spojrzenie oczami koloru płynnego złota. - Widziałem w tym twoją znakomitą rękę od początku. Udało ci się. Przyszedłem do ciebie. Kocham cię; zabieram cię do Tennessee, i tam się pobierzemy. Ale lepiej pamiętaj, że znam twoje sztuczki, i wiem, że jesteś zbyt śliska dla swojego własnego dobra. Czy nie

pomiąłem niczego?

- Nie, - powiedziała Jane, rozsiadając się w fotelu. - Myślę, że jesteś wszędzie kryty.

EPILOG

Leżał na wznak na łóżku, ręce miał owinięte wokół Jane. Jej ciemne włosy rozłożyły się na jego ramieniu, a on głaskał ją po głowie, plecach, i zaokrąglonej krzywiźnie jej pośladków. - Nie mogłem spać bez ciebie, - wymruczał. - Przyzwyczaiałem się do ciebie używającej mnie jako łóżka.

Milczała, ale wiedział, że nie spała. Byli zmęczeni, ale zbyt zmęczeni, by spać. Kiedy przybyli do Paryża, udanie się do Londynu i Nowego Jorku, nie wydawało się ważne. Zamiast tego, zameldowali się w hotelu, a kochanie było nawet lepsze niż wcześniej, odczucia zaostrzone przez czas jaki spędzili bez siebie.

- Co bym zrobiła, gdybyś nie przyszedł po mnie? - szepnęła, a pustka samotnych dni bez niego przebijała się w jej głosie.

- Wiedziałaś, że przyjdę.

- Miałam nadzieję. Ale nie byłam pewna.

- Możesz być pewna, od teraz, - powiedział, przekręcając się i przyciskając ją pod sobą. - Kocham cię. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa w Tennessee, bo ja naprawdę nie sądzę, że mogę żyć w mieście, nie teraz. I to mnie martwi.

Powolny uśmiech dotknął jej warg. - Czy nie nauczyłeś się już, że nie jestem uzależniona od miasta? I mogę być szczęśliwa gdziekolwiek jeśli tylko jesteś tam ze mną. Poza tym, myślę, że wieś będzie dobrym miejscem dla dorastania dzieci.

- Nie rozmawialiśmy o tym, prawda? Chciałbym mieć dzieci, ale jeśli chcesz trochę poczekać, zaczekam.

Obrysowała zarys jego ust swoim palcem. - Trochę za późno, aby myśleć o czekaniu. Jeśli chciałeś czekać, powinieneś trzymać się z dala ode mnie w dżungli. I w Meksyku. I w Waszyngtonie.

Przełknął ślinę, patrząc na nią. - Czy chcesz mi powiedzieć, to, co myślę, że mi mówisz?

- Myślę, że tak. Nie jestem jeszcze pewna, ale wszystkie znaki na to wskazują. Masz coś przeciwko?

- Przeciwno? Boże, nie!

Nabrzmiałe emocje w jego głosie ogrzewały ją, i objęła go, zamykając

oczy i przytulając blisko go. Już nie bała się ciemności, ponieważ był z nią Grant.
